

Śmierć na ulicy Wilczej

Zapadł zmierzch. Tego dnia wcześniejszy niż zazwyczaj, bo chociaż minęła dopiero połowa września, było chłodno, a czarne chmury wędrowały po niebie. Kilka razy dobrze popadało, lecz teraz, wieczorem, jezdnie i chodniki obeschły. Przy tak niepewnej pogodzie nikt bez wyraźnej potrzeby nie wychodzi z domu. Nic więc dziwnego, że na ulicy Wilczej, nawet na jej najruchliwszym odcinku, tym pomiędzy Marszałkowską a Kruczą, było dość pustawo.

Pani Maria Bolecka spieszyła się do domu. Mieszkała niedaleko, na Mokotowskiej. Jak prawie każda kobieta wracająca z pracy, w jednej ręce miała torebkę, w drugiej okazałych rozmiarów siatkę wyładowaną zakupami. I nagle - co za pech! - pani Bolecka poczuła, że odpięła się jej podwiązka. A tu obie ręce zajęte. Jeszcze parę kroków i drugie zapięcie także puściło. Pończocha zaczęła się powoli zsuwać z nogi. Wprawdzie współczesne kobiety preferują rajstopy, ale pani Bolecka była wierna pończochom i elastycznemu paskowi tuszującemu trochę jej nieco zbyt wydatne kształty.

W tej sytuacji nie pozostawało nic innego, jak schronić się do najbliższej bramy, żeby tam poprawić garderobę.

Pani Maria postawiła siatkę z zakupami na betonie, położyła na niej torebkę i mając obie ręce wolne zajęła się nieposłuszną pończochą. Kiedy kończyła te niezbyt skomplikowane zabiegi, prawie tuż przed samą bramą zatrzymała się syrena. Wysiadł z niej średniego wzrostu mężczyzna w brązowym garniturze, bez płaszcza i bez nakrycia głowy. Pani Bolecka wyraźnie dostrzegła ślady dość zaawansowanej łysiny, której już nie udawało się ukryć przez zaczesywanie włosów do góry.

Kierowca zamykał drzwi samochodu, kiedy zbliżył się do niego jakiś mężczyzna. Wysoki, raczej młody, w jasnym płaszczu i w popielatej czapce-cyklistówce nasuniętej na głowę tak, że zasłaniała górną połowę twarzy. Mężczyzna powiedział coś do kierowcy. Ten podziękował mu lekkim skinieniem głowy i zaraz przeszedł na tył samochodu, aby nachylić się nad bagażnikiem. Wydawało się, że próbował go otworzyć, a może sprawdzał, czy zamek trzyma.

Kiedy człowiek w brązowym ubraniu pochylił się, ten drugi, w jasnym płaszczu, nagle podniósł ramię. Pani Bolecka zdążyła zobaczyć, że mężczyzna trzyma w ręce jakiś czarny przedmiot i zaraz piekielny cios spadł na głowę kierowcy.

Człowiek w brązowym garniturze osunął się bez jęku na tył samochodu, a potem bezwładnie stoczył na jezdnię. Napastnik odskoczył od auta i szybkim krokiem podążył w stronę Kruczej.

W tym momencie pani Bolecka uświadomiła sobie, czego była świadkiem, i ile sił w płucach zaniosła się krzykiem: - Ratunku! Milicja!

Napastnik obejrzał się i przyspieszył kroku. Doszedł, a właściwie dobiegł, do małej przerwy pomiędzy domami i tam, koło warsztatu naprawy maszyn biurowych, zniknął.

Pani Bolecka ciągle krzyczała:

- Ratunku, ratunku! Milicja!

Jej krzyki zaalarmowały przechodniów. Wśród nich sierżanta milicji. Nadbiegł od strony Marszałkowskiej. Widocznie szedł Wilczą w kierunku znajdującej się przy tej ulicy dzielnicowej

komendy MO.

Milicjant zajął się leżącym. Był nieprzytomny. Koło jego głowy rozlewała się szybko rosnąca kałuża krwi. Sierżant widząc, że sam nic nie poradzi, polecił komuś z ciągle zwiększającej się grupki ludzi wezwać pogotowie ratunkowe i zawiadomić komendę milicji. Telefon na szczęście znajdował się w najbliższym sklepie. Jakiś młody człowiek zaofiarował się pobiec do komendy, aby i w ten sposób ją zaalarmować.

Może pomóc? Jestem lekarzem - starszy siwy pan zbliżył się do sierżanta. Pochylił się nad leżącym.

Tu potrzeba natychmiastowej interwencji chirurga - stwierdził po chwili. - Obawiam się najgorszego - zmiążdżenia sklepienia czaszki i uszkodzenia mózgu.

Już wezwałem pogotowie - informował mężczyznę, który wrócił ze sklepu - zawiadomiłem także milicję.

Niech pan doktor pomoże tej kobiecie - sierżant wskazał na panią Bolecką, która przeżywała wstrząs. Ciągle stała w bramie domu, kurczowo trzymając się framugi. Siatka z zakupami i torebka leżały u jej stóp.

Lekarz podszedł do pani Marii, podniósł jej rzeczy, a następnie, ująwszy ją pod ramię, zaprowadził do najbliższego sklepu i tam posadził na krześle. Więcej nie mógł zrobić. Nie miał przy sobie żadnych leków, w sklepie także nie było apteczki pierwszej pomocy. Ekspedientka przyniosła po prostu szklankę wody, co zresztą bardzo pomogło przestraszonej i zszokowanej kobiecie.

Tymczasem od strony Kruczej przybiegło trzech milicjantów. To młody człowiek sprowadził posiłki sierżantowi. Prawie jednocześnie nadjechała karetka pogotowia i milicyjny radiowóz. Funkcjonariusze milicji odsunęli powiększający się tłumek ludzi; wiadomo - gapiów nigdy nie zabraknie. Lekarz przystąpił do fachowych oględzin. Jego opinia pokrywała się ze zdaniem kolegi, który przedtem badał ranego.

- Natychmiast zabieramy go na Kasprzaka - oświadczył lekarz pogotowia. - Mają tam dzisiaj ostry dyżur. Nie ma ani chwili do stracenia.

Kierowca i noszowy szybko postawili nosze - zręcznie ułożyli na nich napadniętego.

- Roszkowski, jedźcie z panem doktorem - polecił jednemu ze swoich ludzi dowódca radiowozu, starszy sierżant. - Ustalcie tożsamość ranego i zabezpieczycie wszystkie rzeczy, jakie ten człowiek ma przy sobie. Odwiezicie cały majdan od razu do Pałacu Mostowskich.

Karetka pogotowia na sygnale pognęła w stronę szpitala. Jej miejsce zajął drugi wóz milicyjny. To z Komendy Stołecznej przyjechała ekipa dochodzeniowa. Kapitan Janusz Tokarski, który kierował tą grupą, spytał:

Co tu się stało?

Usłyszałem krzyk: „Ratunku, milicja!” - meldował sierżant Krawczyk. - Szedłem właśnie Marszałkowską i skręciłem w Wilczą, do naszej komendy. Krzyczała kobieta. Rzuciłem się biegiem w tę stronę. Znalazłem leżącego koło samochodu ranego z rozbitą głową. Był nieprzytomny. Widząc, że nic mu nie pomogę, wezwałem pogotowie ratunkowe. Telefonowano także do komendy stołecznej, a z dzielnicowej przybiegło trzech kolegów do pomocy. Przyjechał również radiowóz.

Gdzie ten człowiek?

Przed chwilą zabrało go pogotowie.

Kto mu rozbił głowę?

Nie wiem. Ja nic nie widziałem. Usłyszałem tylko krzyk kobiety.

-Gdzie jest ta kobieta?

Sierżant spojrział w kierunku bramy, gdzie niedawno widział panią Bolecką. - Tam stała, ale teraz jej nie ma.

Jak się nazywa ranny?

Nie wiem. Nie przeszukaliśmy jego ubrania. Lekarz mówił, że stan bardzo ciężki i trzeba natychmiast wieźć go na salę operacyjną. - Biedny sierżant orientował się, że sporo „zawalił”.

Z chorym pojechał kapral Roszkowski - dowódca radiowozu przyszedł z pomocą koledze. - Poleciłem kapralowi, aby ustalił tożsamość rannego i dostarczył jego rzeczy do Pałacu Mostowskich. A kobieta, która podniosła alarm, jest tu, w tym sklepie. Zaprowadził ją tam lekarz, niestety on także znalazł się tutaj przypadkiem i niewiele mógł nam pomóc.

Bierzcie się do roboty - kapitan wydał polecenie swojej ekipie - a was poproszę o odsunięcie tego tłumu. Przecież w takich warunkach nie można pracować. Ja porozmawiam z tą kobietą - to mówiąc Tokarski skierował się do wskazanego mu sklepu.

Nawet nie potrzebował pytać, kto jest świadkiem wypadku. Pani Maria Bolecka siedziała na krześle pod ścianą nadal bardzo blada. Kapitan bez ceremonii wyprosił ze sklepu wszystkich klientów i gapiów, których i tutaj nie brakowało. Kierownicze sklepu polecił zamknąć drzwi na klucz. Następnie zwrócił się do siedzącej:

Co się pani stało?

To było straszne! - Kobieta starała się opanować i mówić jak najwyraźniej. - On na moich oczach zabił tego człowieka. Uderzył w głowę...

Jaki on?

Nie wiem.

Niech się pani opanuje i postara sobie przypomnieć - surowo powiedział Tokarski. - Jak to było?

Ja... ja stałam w bramie. Zapinałam pończochę. Pod dom podjechał samochód. Wsiadł z niego jakiś łysawy mężczyzna w brązowym garniturze. Zamykał drzwi auta, kiedy podszedł do niego inny mężczyzna - pani Bolecka w miarę opowiadania uspokajała się - i zwrócił mu na coś uwagę. Nie słyszałam słów, ale domyśliłam się z gestów, bo obaj podeszli do bagażnika. Kierowca nachylił się, ten drugi uderzył go w głowę. To było straszne...

Niech się pani nie denerwuje - oficer milicji starał się przywrócić spokój kobiecie - rannego już zabrano do szpitala... Widziała pani coś jeszcze?

Ten drugi odszedł. Zaczęłam krzyczeć „ratunku” i on chyba wtedy rzucił się biegiem do ucieczki i skręcił w prawo. W tę przerwę pomiędzy domami. Był w jasnym płaszczu i w popielatej czapce nasuniętej na oczy.

Chwileczkę - Tokarski przerwał rozmowę, wyszedł ze sklepu i polecił dwóm milicjantom przeszukać wskazany przez panią Bolecką teren.

My to przejście znamy, panie kapitanie! - odpowiedział jeden z milicjantów komendy dzielnicowej. - Tamtędy przechodzi się na Piękną. Na tyłach kina „Polonia”. Na pewno bandzior dawno zwiął.

Proszę jednak dokładnie przeszukać zakamarki i przepytac ludzi. Może ktoś coś zauważył. Facet w jasnym płaszczu, popielata czapka.

Kapitan wrócił do sklepu.

Co jeszcze pani zauważyła?

Nic więcej.

Pani zna tego rannego?

Nie. Pierwszy raz go widziałam.

Pani tu mieszka? Jak się pani nazywa?

Maria Bolecka. Mieszkam na Mokotowskiej. Zaraz przy rogu Wilczej.

A co pani tutaj robiła?

Przecież mówiłam! - Kobieta znowu się zdenerwowała. - Poprawiałam w bramie pończochę! Wraciałam do domu. Z pracy. Wsiadłam z tramwaju przy MDM-ie i przeszłam Marszałkowską do Wilczej. Skręciłam w Wilczą, żeby dojść do Mokotowskiej.

Z której strony podjechał samochód?

Od Kruczej, bo na Wilczej jest przecież ruch jednostronny.

A ten człowiek w płaszczu?

Zauważyłam go dopiero wtedy, kiedy podszedł do tego w brązowym garniturze.

Czy napastnik miał coś w ręce?

Jakiś czarny przedmiot. Ale nie wiem, co to było.

A kiedy tamci dwaj rozmawiali ze sobą, widziała pani twarz napastnika?

Nie. Nie przyglądałam się. Zresztą stał tyłem do mnie. On był na trotuarze, a kierowca na jezdni, przy samochodzie.

Jak był ubrany napastnik?

Przecież mówiłam! Jasny płaszcz, prochowiec. Dość brudny i chyba stary.

A spodnie? Buty?

Spodnie! - Pani Bolecka ożywiła się. - Nosił tak modne teraz dzinsy. Jasnoniebieskie. Na jednej nogawce miał dużą plamę, jakby po jakimś smarze. To była prawa nogawka, a plama miała kształt gęsiego jaja. To zauważyłam jeszcze przedtem, zanim ten człowiek uderzył kierowcę. Nawet sobie pomyślałam, że taka plama jest bardzo trudna do usunięcia. Bo ja, panie kapitanie, pracuję w pralni chemicznej. Na ulicy Topiel. I dlatego tę plamę od razu zauważyłam. Płaszcz, był także przybrudzony.

Brawo! - ucieszył się Tokarski. - Najpierw pani mówi, że nic pani nie pamięta, nie widziała, a potem przekazuje mi ważne rzeczy.

A ten napadnięty? Będzie żył?

Zabrało go pogotowie - powtórzył Tokarski. - Lekarz mówił, że stan jest bardzo ciężki.

Czy mogę już iść do domu? Czuję się lepiej.

Może panią odwieźć albo odprowadzić?

Nie. Dziękuję. Sama dojdę. Nie taka ze mnie stara baba.

Ale cóż znowu! Nie to miałem na myśli. Taki wypadek nawet najmłodszą zdenerwuje - oponował oficer milicji. - Pozwoli pani, że zapiszę jej adres. Dostanie pani wezwanie do komendy stołecznej, gdzie panią oficjalnie przesłuchamy.

No i co? - Tokarski po rozmowie z panią Bolecką wrócił do swoich ludzi.

Znaleźliśmy narzędzie zbrodni - jeden z techników dochodzeniowych pokazał kapitanowi dwukilogramowy odważnik ze śladami krwi. - Leżał pod samochodem.

Przesłać od razu do Zakładu Kryminalistyki - zdecydował Tokarski. - A samochód? Oglądaliście?

Nic w nim nie ma. Bagażnik zamknięty. Na razie nie próbowaliśmy otwierać. Chyba przetransportujemy auto do Pałacu Mostowskich i tam je dokładnie zbadamy.

Dobrze - zgodził się kapitan. - A co z tym przejściem na Piękną?

Żadnych śladów. Nikt też nie zauważył mężczyzny w jasnym płaszczu.

Czy możemy już odjechać? - dopytywał się dowódca radiowozu.

Jedźcie. My też będziemy się stąd zabierać. Jankowski, potraficie uruchomić tę syrenkę?

Zrobi się, panie kapitanie. Podłączę za stacyjką. Przecież już ją otworzyłem, chociaż była zamknięta na kluczyk.

- No, to jedźcie nią do Mostowskich. A my za wami. Ruszyli. Na Wilczej, tuż przy krawężniku trotuaru, pozostała ciemna, czerwona plama. Jedyne znaki po tragedii, która zdarzyła się tak niedawno.

W Stołecznej Komendzie MO znano już personalia. Niestety, ofiara napadu zmarła, zanim pogotowie dojechało do szpitala. Mężczyzna nazywał się Zygmunt Stojanowski. Z zawodu był inżynierem magistrem budownictwa lądowego. Pracował w Przedsiębiorstwie Robót Budowlanych. Samochód marki „Syrena” był jego własnością. Sto Janowski mieszkał w domu przy ulicy Wilczej. W tym, przed bramą którego go zabito. Ostatnio pracował przy budowie Trasy Toruńskiej. W odpowiedniej rubryce dowodu osobistego Stojanowskiego figurowała adnotacja „żonaty”.

Przy zmarłym znaleziono portfel z czarnej skóry. Było w nim czterysta pięćdziesiąt złotych w banknotach: cztery po sto złotych i pięćdziesiątka; dowód osobisty, prawo jazdy i dowód rejestracji samochodu. W kieszeniach brązowego garnituru znaleziono dwa pudełka papierosów marki „Sport”, jedno, nie napoczęte pudełko zapalek, notes w zielonej okładce z adresami i numerami telefonów, bilon o łącznej wartości sześćdziesięciu siedmiu złotych i osiemdziesięciu groszy, używaną chusteczkę do nosa. W lewej kieszonce marynarki tkwiła druga chusteczka, zupełnie czysta, w wewnętrznej kieszeni okulary przeciwsłoneczne, grzebyk, pilnik do paznokci i proszki od bólu głowy.

Zabity miał trzydzieści siedem lat.

Siedem „złotych pytań”

Porucznik Andrzej Ciesielski siedział w małym pokoju na drugim piętrze gmachu Stołecznej Komendy MO, którą warszawiaczy nazywają „Pałacem Mostowskich”. Na jego biurku leżała szara, nowiutka teczka. Znak, że założono ją zaledwie przed kilkoma dniami, a może nawet godzinami. Zawartość była więcej niż skromna. Kilka arkuszy papieru w większości zapisanego ręcznie.

Pomimo to, a może właśnie dlatego, młody człowiek nie miał zadowolonej miny.

Przy drugim stojącym w pomieszczeniu biurku nie było nikogo, chociaż minęła już ósma rano. Dopiero teraz otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł, a raczej wtargnął młody człowiek. Na jego mundurze błyszczały dwie gwiazdki. Przybyły opadł na stojące przy biurku krzesło i nie witając się z kolegą zagadnął:

Masz może coś do picia? Coca-cola albo chociaż woda sodowa? Tak gorąco dzisiaj... Zgrzałem się...

O której ty przychodzisz do pracy? Jest już dawno po ósmej. Żeby tak „stary” cię zobaczył!

Ale mnie nie zobaczył. Zaspałem trochę... Wczoraj przyjechał kumpel z Katowic, gadaliśmy... Rano nie miał mnie kto obudzić, bo żona na wczasach. - Podporucznik Antoni Szymanek starał się usprawiedliwić swoje spóźnienie.

Oj, Antek, Antek! Źle skończysz. To już trzeci raz w tym miesiącu.

Co ja zrobię, kiedy nie umiem się obudzić? Nastawiam budzik, on dzwoni, ja wciskam guzik i śpię dalej.

To stawiaj go tak, żebyś nie mógł sięgnąć ręką.

To jest pomysł - roześmiał się podporucznik - widzę że „baśka” pracuje. Ale... dlaczego jesteś

taki smutny jak bar mleczny w Częstochowie?

Wchodziłem do komendy razem z pułkownikiem. Kiedy mnie zobaczył, od razu zabrał do swojego gabinetu i wręczył tę teczkę niczym jakiś skarb. Sprawa o zabójstwo.

Sprawa o zabójstwo!

Winszuję, Widzę, że akcje porucznika Andrzeja Ciesielskiego szybko idą w górę.

Boję się, że spadną na łeb, na szyję. Grubo niżej od poziomu startu. Już po pobieżnym przejrzeniu tych kilku kartek widać, że na czymś takim mogłoby sobie połamać zęby dziesięciu Sherlocków Holmesów i Pinkertonów razem wziętych.

Ale nie wschodząca gwiazda polskiej kryminalistyki, Adam Ciesielski - roześmiał się podporucznik - on tylko trochę pomyśli i natychmiast znajdzie przestępcę.

Jasne. Tym bardziej, że będzie miał genialnego pomocnika w osobie młodego, ale zdolnego i już doświadczonego podporucznika, Antoniego Szymanka.

Coo? - podporucznikowi nagle odechciało się żartów.

To, co słyszysz. Pułkownik przydzielił mi właśnie ciebie do współpracy. A mogę cię zapewnić, że sprawa jest trudna do rozwikłania i tajemnicza. Żadnego punktu zaczepienia.

Ale o co właściwie chodzi!

Po prostu morderstwo. Zabity został inżynier magister Zygmunt Stojanowski.

Gdzie?

W Warszawie. Na ulicy Wilczej, kiedy wysiadał z samochodu przed swoim domem. Dwieście metrów od dzielnicowej komendy milicji.

O, to wyjątkowa bezczelność, nie uważasz?... Kiedy?

Przedwczoraj wieczorem. Ustalono, że zbrodnię popełniono mniej więcej dwadzieścia minut przed dziewiętnastą.

Jak?

Zmiażdżenie czaszki.

Czym?

Dwukilogramowym odważnikiem. Znalaziono go potem pod samochodem.

Kto to zrobił?

Jakiś człowiek w jasnym prochowcu, który oczywiście nie czekał na dalszy rozwój wypadków, lecz uciekł, nie zatrzymany przez nikogo.

Dlaczego?

Adam Ciesielski rozłożył ręce.

Zadałeś mi słynne siedem „złotych pytań” i teraz jesteś tak samo mądry jak ja.

Nikt nie zabija bez przyczyny.

Tak. O tym wiedzieli już nawet starożytni Rzymianie. Is fecit cui prodest. Ten zrobił, kto ma z tego korzyść. Nie musisz wyłamywać otwartych drzwi.

Ten człowiek jest żonaty?

Tak.

A co mówi żona?

Na razie nic. Jest na wczasach wędrownych. Nadawaliśmy wczoraj komunikaty przez radio, żeby natychmiast wracała.

Ach, to o nią chodziło? Przypominam sobie: „Irena Stojanowska, przebywająca na wczasach wędrownych w Bieszczadach, proszona jest o natychmiastowy powrót do domu w ważnych sprawach rodzinnych”.

Właśnie.

Wiesz, ja na miejscu tych wzywanych „w ważnych sprawach rodzinnych” wolałbym od razu dowiedzieć się nawet najgorszej prawdy, niż denerwować jeszcze długie godziny w drodze do domu. Najgorsza prawda jest lepsza od najlepszej niepewności.

Jestem tego samego zdania, no ale ta forma jakoś się utarła w naszych komunikatach... Zresztą za jej utrzymaniem przemawia fakt, że mimo alarmu zachowuje się dyskrekcję wobec osób trzecich.

I co? Zgłosiła się?

Do tej pory nie. Chyba nie zdążyła jeszcze wrócić z Bieszczad.

A mieszkanie?

Zamknięte. Wprawdzie mamy klucze, ale nie otwieraliśmy, czekając na żonę. Dłużej jednak nie można czekać. To może być klucz do rozwiązania zagadki. Dlatego też pułkownik polecił mi, żebym przede wszystkim przeprowadził przeszukanie tego lokalu. Od natychmiastowego wykonania rozkazu powstrzymał mnie jednak pewien podporucznik. Nie ma on zwyczaju punktualnie przychodzić do pracy. - Ciesielski skorzystał z okazji, by jeszcze raz dociąć młodszemu koledze.

Przyjechali wraz z dwoma pracownikami komendy, fachowcami od przeszukania, które do niedawna nazywało się po prostu „rewizją”. Mieszkanie było na drugim piętrze. Jako świadka zabrano dozorcę. Zresztą porucznik obiecywał sobie uciąć z nim dłuższą pogawędkę, żeby dowiedzieć się czegoś o zamordowanym inżynierze.

Mieszkanie składało się z dwóch dość dużych pokoi i obszernej kuchni. Było znacznie większe niż przeciętne „M-3”. Dom okazał się stary, jeszcze sprzed pierwszej wojny. Wilcza była w tamtych czasach „piękną dzielnicą”, w której mieszkało wzbogacone mieszczaństwo czy też niezupełnie podupadłe ziemiaństwo. Dozorca, pan Ksawery Rotocki, wprawdzie tamtych „dobrych” czasów już nie pamiętał, ale prezentował swoją osobą wspaniałą postać starego polskiego szlachciury. Prawdziwą jego ozdobą były piękne sumiaste wąsy.

Pomieszczenie, do którego weszli, było dziwnie kontrastowo umeblowane. Jeden pokój, ten zajmowany przez panią domu, został urządzony nowocześnie, może nawet odrobinę pretensjonalnie. Na podłodze jaskrawy dywan, kolorowe zasłony w oknach, meble z „Ładu”. Na ścianach jakiś kilimek i reprodukcje poułarnych obrazów impresjonistów z nieśmiertelnym „Łanem pszenicy ze żniwiarzem w słońcu” Van Gogha. Duża szafa aż pękała od różnych kobiecych ciuchów. Natomiast drugi pokój prezentował się skromnie. Duży stół z blatem poplamionym różnego rodzaju i koloru tuszami, zwykłe „biurowe” krzesło. Tapczan pod ścianą i półki pełne książek. Przeważnie literatura fachowa z zakresu budownictwa, chociaż nie brakowało „klasyki”, znalazło się też sporo kryminałów.

Wszędzie jednak, w obu pokojach, w kuchni i łazience, panował wzorowy porządek. Zupełnie, jakby nie było to mieszkanie „słomianego wdowca”, którego małżonka wybrała się daleko na wczasy. Nawet podłoga była świeżo wyfroterowana, a okna umyto przed tygodniem.

Pan inżynier - stwierdził Ksawery Rotocki - był bardzo porządnym człowiekiem i dobrym lokatorem. Nosa nie zadzierał. Po nocach nie wracał pijany i nie rozrabiał. Kiedy w mieszkaniu czasem dochodziło do awantury, wiadomo, jak to w małżeństwie, to tylko jej głos było słychać. On się nie odzywał albo mówił po cichu. Za bramę od niego dużo nie zarobiłem, ale na Nowy Rok i na Wielkanoc zawsze setka leciała. Nie to co ona. Nieraz taką pijaną różni mężczyźni odprowadzali, że sama na drugie piętro nie potrafiła się wdrapać.

Tak lubi wypić?

Młoda jest, to i lubi się zabawić - skwitował pytanie pan Ksawery, który wyraźnie uznał, że zbyt wiele powiedział o swojej - lokatorce i teraz starał się osłabić znaczenie słów. - Co w tym

dziwnego? Ładna kobieta.

Dawno są małżeństwem?

Coś ze trzy lata. Przedtem inżynier mieszkał z rodzicami. Kiedy się ożenił, przenieśli się pod Warszawę. Do Wiązownej. Mieli tam domek. Przed przeprowadzką przebudowali, żeby i w zimie można było mieszkać, a lokal na Wilczej zostawili synowi.

Ona także pracuje?

Pewnie że tak! Najpierw pracowała w tej firmie, w której pan inżynier był zatrudniony. A potem została kelnerką.

Gdzie?

Tu, w pobliżu, w „Grandzie”. W kawiarni.. Ale później kilka razy zmieniała miejsce pracy. Gdzie pracuje teraz? Nie wiem.

Funkcjonariusze milicji systematycznie przeszukiwali całe mieszkanie. Znalezione między innymi porządnie ułożone rachunki za komorne, radio i światło, książeczki PKO. Ta na nazwisko Zygmunta Stojanowskiego opiewała na kwotę około piętnastu tysięcy złotych, zaś Irena miała zaledwie siedemset sześćdziesiąt złotych. Poza tym była jeszcze książeczka samochodowa, również Zygmunta Stojanowskiego. Z rzeczy wartościowych znaleziono trochę skromnej biżuterii pani domu, futro z nutrii i złotą obrączkę. W trzech męskich garniturach kieszenie były tak dokładnie opróżnione, że nawet skrawka papieru w nich nie odkryto. W szufladach stołu leżał komplet cyrkli i jakieś prace z dziedziny budownictwa. Zapewne „chałtura” wykonywana w domu.

Zarówno w pokoju „damskim”, jak i w tym drugim walało się kilkanaście najrozmaitszych pocztówek. Typowe pozdrowienia z wczasów lub z wyjazdu za granicę, jakieś listy o treści bez znaczenia.

Krótko mówiąc: wynik przeszukania negatywny. Nic nie wskazywało powodu, dla którego zginął właściciel mieszkania.

Może dowiemy się czegoś od żony - wyraził nadzieję podporucznik, kiedy opuszczali lokal. - Albo od rodziców? Trzeba będzie zatelefonować na posterunek milicji w Wiązownej, aby uprzedzono tych ludzi o śmierci syna.

A poza tym podporucznik. Szymanek - dodał Andrzej Ciesielski - jutro rano tam pojedzie i porozmawia z rodzicami zabitego. Może oni mają jakieś podejrzenia?

Skoro muszę, to pojedę - zgodził się bez cienia entuzjazmu podporucznik.

A ja spróbuję porozmawiać z dyrektorem przedsiębiorstwa, w którym pracował Stojanowski.

Podporucznik odjechał wraz z dwoma milicjantami do Pałacu Mostowskich, zaś Ciesielski postanowił zrealizować swój zamiar i porozmawiać z gospodarzem domu. Wszedł do dozorcówki.

Panie Rotocki - zaczął - mam propozycję. Zanim pana wezwiemy do komendy milicji na przesłuchanie, pogadajmy tutaj, w cztery oczy, dobra? Bez świadków i pisania protokołu.

Ja nic nie wiem! - zastrzegł się dozorca.

Każdy człowiek zawsze coś tam wie - porucznik usadowił się na jednym z krzeseł. Wyjął paczkę zefirów i wyciągnął rękę w stronę pana Ksawerego.

Dziękuję. Już trzy lata jak rzuciłem palenie.

Szczęśliwy z pana człowiek. Tak od razu pan przestał?

Od razu. Dopaliłem paczkę sportów i więcej papierosa do ust nie wziąłem. A paliłem przeszło czterdzieści lat. Zacząłem jako dwunastoletni chłopak.

Silną ma pan wolę... Ja już trzy razy przestawałem, ale nic z tego nie wyszło. No, ale wracajmy do naszej sprawy, co pan mi może o tym powiedzieć?

- Nic nie wiem - uparcie powtórzył dozorca. - Nawet się nie domyślam, kto to mógł zrobić?

Kto zabił, to ja wiem - odpowiedział porucznik.

Kto? - zdziwił się Rotocki zaskoczony. - Już go macie?

Zabił ten, kto odniósł z tego jakąś korzyść. Tylko pytanie: komu Stojanowski tak przeszkadzał, że aż go zabito? Pan, jako długoletni gospodarz domu, zna przecież wszystkich lokatorów, a więc i inżyniera.

Zna się ludzi - przyznał pan Ksawery. - A Stojanowskiego pamiętam od chłopaczka, jak z teczką do szkoły ganiał. A później na politechnikę. Miał brata i siostrę, ale oboje dużo starsi od niego. Kiedy on był w szkołach, Marysia już szła za męża i wyjechała gdzieś do Francji, bo wyszła za Francuza. Kilka razy odwiedzała rodzinę. Wielka dama, ma własny samochód. Stara Stojanowska, kiedy tu jeszcze mieszkała, mówiła, że córce doskonale się powodzi. Mają jakieś własne przedsiębiorstwo.

A brat zabitego?

Uczył się w Krakowie, w szkole górniczej, ale po jej skończeniu nie powrócił do Warszawy. Został na Śląsku, pracuje w jakiejś kopalni. Rzadko przyjeżdżał do rodziców, tak że z nimi chował się tylko Zygmunt. Starszy pan Stojanowski pracował w tramwajach miejskich. Potem przeszedł na emeryturę i kiedy syn się ożenił, odstąpił mu mieszkanie. Pomagałem mu w przeprowadzce do Wiązownej. Nie bardzo starym chciało się wyjeżdżać z Warszawy, ale nie krył, że synowa nie w jego guście, więc woli żyć na wsi, niż się tutaj stale denerwować.

Przecież sam pan mówił, że taka ładna.

Ładna to jest, bestia, nie można powiedzieć. Kiedy idzie ulicą, każdy mężczyzna się za nią obejrzy. Ale coś mi się widzi, że w tym małżeństwie nie wszystko grało. Nie taką żonę powinien sobie pan Zygmunt znaleźć.

Dlaczego?

To człowiek spokojny. Kiedy chodził do szkoły, nie pamiętam, żebym miał z nim jakieś kłopoty. Nie to, co z innymi chłopaczyskami, co to szybko czy żarówkę potrafią zbić, a na schodach tak naśmiewać, że tylko sprzątaj i sprzątaj. Zygmunt był inny. Uczył się dobrze, skończył politechnikę, miał dobrą posadę i zarabiał dobrze... Kupił sobie samochód.

A ona?

Mówi się, że była urzędniczką czy też maszynistką, ale ja wiem swoje, bo mam znajomego, co mieszka na Targówku i zna całą rodzinę. Ona z takich, co jak ptaki boże - nie sieją, nie orzą, a zbierają. Tatuś coś z dziesięć razy siedział w kryminale. Mamusia nie lepsza. Braciszek dźgnął kogoś nożem. Irena skończyła powszechniak i poszła pracować w „smarówce”. Po prostu przy mieszalniku. A że była ładna i miała mimo młodego wieku spore doświadczenie w tych sprawach, więc strzelała na prawo i na lewo tymi swoimi zielonymi ślipiami, aż sobie ustrzeliła za męża pana inżyniera. Tyle że starszego od niej o piętnaście lat.

Takie małżeństwa także bywają szczęśliwe. Miłość nie zna żadnych reguł.

To prawda. Ale jeśli chodzi o miłość, to w tym związku zakochany był tylko pan inżynier. Jej chodziło wyłącznie o to, żeby się wyrwać z Targówka, z tej rodzinki i z tego otoczenia. Wyjście za męża za Stojanowskiego dawało jej możliwość startu do dalszej kariery.

Kariery? Kelnerki w „Grandzie”?

Ładna kelnerka w modnej kawiarni może daleko zajść. Ma więcej okazji do zawarcia odpowiednich znajomości niż w „smarówce” na Targówku.

Co to jest ta „smarówka”?

Taka niezbyt wielka fabryka. Przed wojną robili smary do wozów i do maszyn. Rozlewali w

butelki i produkowali różne chemikalia. Nikt tego inaczej nie nazywał jak „smarówka”. Teraz to wszystko przejęła jakaś spółdzielnia, ale nazwa pozostała.

Przy jakiej to się mieści ulicy?

Przy Księcia Ziemowita. Tuż przy torach kolejowych.

Irena mogła być tylko wdzięczna inżynierowi, że ją wyrwał z tamtego środowiska. A z wdzięczności często rodzi się miłość.

Pan Ksawery machnął ręką.

- Widziałem Irenę, kiedy się tutaj sprowadzała z maleńką walizeczką. A teraz... Same zagraniczne ciuchy. Pan porucznik zresztą widział w szafie. Stojanowski był ślepo zakochany w żonie, pieniędzy jej nie żałował. Dopiero później mu się oczy otworzyły, co sobie znalazł.

Zdradzała go?

Tego nie wiem. Pod niczym łóżkiem nie leżałem. Ale lubiła się bawić i, co gorsza, lubiła sobie wypić. Dawniej, zaraz po ślubie, często w tym mieszkaniu bywali goście. Dozorca przecież wie najlepiej, kto i jak się bawi. A od dwóch lat nikt do inżyniera nie zachodził. Już rodzice go nie odwiedzali, tylko on do nich, do Wiązownej, prawie co niedzielę jeździł. Ale bez Ireny.

Często młodzi źle żyją ze świekrą. Nigdy nie wiadomo, po czyjej stronie leży wina... Inżynierowi mogło być dobrze z żoną.

Gdyby było dobrze, to by się nie kłócili. Irena na całą kamienicę wykrzykiwała: „ty niezdaro, ty głuptasie”... aż przykro było słuchać. A ostatnio prawie stale odwoził ją w nocy do domu jakiś wysoki, przystojny brunet. Zielonym samochodem.

Jakiej marki? Może pan zauważył numer rejestracyjny?

Ja tam się na samochodach nie znam. Konia, o to bym poznał jakiej rasy! Ale w każdym razie to był nowy wóz. Na pewno zagraniczny, bo niepodobny do naszych fiatów... Nie powiem, porządny facet, za każde otwarcie bramy dał najmarniej dziesiątkę. A jak nie miał drobnych - to i dwudziestkę. Przypuszczam, że Irena chciała zamienić Stojanowskiego na tego faceta. Kudy syrenie inżyniera do tamtego auta!

Może ją tylko odprowadzał? Ot, zwykły kawiarniany flirt. - Porucznik celowo zaprzeczał twierdzeniom dozorca, żeby dowiedzieć się najwięcej.

Jaki tam flirt! - zaprotestował gorąco pan Ksawery. - Irena nie kryła, że chce się rozwieść, ale inżynier nie daje zgody... A wiadomo, z własnej winy rozwodu dostać nie można.

Mówiła o rozwodzie?

Kiedy się kłócili, nieraz wołała: „Jak ci się nie podoba, to daj mi rozwód”.

A inżynier?

On nigdy głosu nie podniósł. Ale pewnie zgody nie dawał, bo inaczej by tak nie gadała.

Często zdarzały się między nimi kłótnie?

Ostatnio coraz częściej. Ale największa to chyba była przed samym wyjazdem inżynierowej na wczasy.

Co pan powie?

Właśnie myłem schody na tej klatce. Wcale nie chciałem słuchać, bo co mnie sprawy innych ludzi obchodzą? Mam - własne kłopoty.

Oczywiście! Rozumiem - dyplomatyzył porucznik - ale czasami człowiek nie chce, a mimo to coś mu w uszy wpadnie.

No właśnie - zgodził się dozorca. - Więc myję schody, a tu za drzwiami Stojanowskich Irena wydziera się: „Żebyś wiedział, że z tych wczasów już tutaj nie wrócę!” Inżynier coś tam po cichu odpowiedział, a ona znowu: „Jak mi nie dasz rozwodu, to pożałujesz!”

- Pamięta pan może, kiedy była ta kłótnia? Gospodarz się zamyślił i coś na palcach rachował.

- Inżyniera zabili przedwczoraj - powiedział - to znaczy we wtorek. Ona wyjechała trzy dni przedtem, to znaczy w sobotę rano. Pamiętam dobrze, bo zamiatałem ulicę, kiedy wynosiła z domu walizki i wsiadła do samochodu.

- Tego zielonego?

Nie, do taksówki..

Mąż jej nie odprowadzał?

Najpierw inżynier pojechał do pracy, a dopiero stamtąd wrócił po nią, ale ona pojechała chyba w kwadrans przed nim. Jak odjeżdżała, to mi powiedziała: „Gdyby Zygmunt przyjechał, niech pan mu powie, że dłużej nie mogłam na niego czekać. On się zawsze musi spóźnić, a pociąg ma swój czas odjazdu.”

Pan to powtórzył Stojanowskiemu?

Kiedy go tylko zobaczyłem, powiedziałem: „Pani odjechała taksówką, bo się bała, że nie zdąży na pociąg”. On spojrzał na zegarek i coś mówił, że go zatrzymali po drodze. Dodał także, że żona wyjechała w Bieszczady na wczasy wędrownie. Ja to już mówiłem kapitanowi, który mnie przesłuchiwał.

A ta kłótnia? - przypomniał porucznik.

To było dwa dni przed wyjazdem inżynierowej. A więc w czwartek.

Pan był w domu, kiedy zabito inżyniera?

Nie. Pojechałem do krewnych. Na Żoliborz. Chce pan sprawdzić? Podać nazwisko i adres?

Porucznik machnął ręką.

Przecież pan nic nie zyskuje na śmierci Stojanowskiego.

Mojej żony także nie było w domu. Poszła do „Delikatesów”. Kiedy wróciła, zastała milicję i krwawą plamę na jezdni. Inżyniera już zabrało pogotowie. Żona początkowo nie wiedziała, kogo zabito. Dopiero pani Mierzejewska, ta lokatorka z pierwszego piętra, jak schodziła ze śmieciami, to ją poinformowała, że ofiarą bandyty padł pan Stojanowski. To było po odjeździe milicji. Inaczej żona powiedziałaby im nazwisko Stojanowskiego.

Przecież stał samochód? Żona nie wiedziała, że to inżyniera?

- Oczywiście, znała tę syrenę, ale nikt nie powiedział, że właśnie zabito jej właściciela. Podobno jakaś kobieta widziała napad na inżyniera, ale ja z nią nie rozmawiałem. W ogóle z nikim nie rozmawiałem. Później ten kapitan mnie wypytywał, ale to było na drugi dzień rano. Wtedy on już wiedział, że zamordowano Stojanowskiego.

Gdzie mieszka pani Mierzejewska?

Na pierwszym piętrze, pod trójką.

Porucznik podziękował panu Ksaweremu Rotockiemu za informacje i poszedł na piętro. Drzwi otworzyła mu sama pani Mierzejewska, jak się później okazało farmaceutka, mieszkająca wraz z córką, jej mężem i ich dwojgiem dzieci. W tym tygodniu pani Mierzejewska miała jakieś pilne roboty domowe, więc wzięła sobie krótki urlop.

Zacząło się od tego - opowiadała farmaceutka - że usłyszałam głośne krzyki na ulicy: „Ratunku! Milicja!” Podbiegłam do okna i widzę: stoi samochód, a przy nim I leży mężczyzna, cały zakrwawiony. Wkrótce nadbiegł jakiś milicjant i zaczął ratować tego człowieka. Odwrócił go twarzą do góry. Wtedy poznałam pana Stojanowskiego. Zrobiło się zbiegowisko. Przyjechały radiowozy i karetka pogotowia, która zabrała rannego.

Czy pani widziała uciekającego napastnika?

Nie. Na ulicy nie było nikogo. A krzyki wzywające pomocy dochodziły z naszej bramy.

A dlaczego pani nie poinformowała milicjantów, że zabitym jest lokator tego domu, Zygmunt Stojanowski?

A po co miałam informować? - dziwiła się kobieta. - Przecież mieli i Stojanowskiego, i jego samochód. Na pewno obejrzeliby dokumenty. Poza tym nikt mnie o to nie pytał. Dopiero na drugi dzień chodził po mieszkaniach jakiś funkcjonariusz milicji i interesował się tym, czy ktoś z lokatorów nie widział przebiegu zbrodni lub uciekającego bandyty. Ten milicjant wymienił wtedy nazwisko Stojanowskiego.

Pani znała inżyniera?

Od dziecka. Przecież mieszkał z rodzicami na tej samej klatce schodowej, tyle że piętro wyżej. Znałam też i jego rodziców, chociaż bliższych stosunków towarzyskich nie utrzymywaliśmy.

- A jego żonę, Irenę Stojanowską, znała pani także?

Po twarzy farmaceutki przemknął cień.

Jedynie z widzenia, a raczej ze słyszenia. Straszna kobieta.

Dlaczego?

Ordynarna i pyskata. A wyraża się! Przekupki z Bazaru Różyckiego słuchając jej zarumieniłyby się. Kiedyś tak obrugła na schodach teściową, że biednej mało szlag nie trafił. A jak się odzywała do męża podczas kłótni! Niech pan porucznik nie wymaga, abym powtarzała.

Aż tak?

To małżeństwo wyjątkowo się Zygmuntovi nie udało. Spokój panował najwyżej pół roku. Później był tam stale „meksyk”.

Może to on nie był w porządku w stosunku do młodej i podobno przystojnej żony?

To fakt, urody jej odmówić nie można. Ale charakterek! Tylko by się bawiła, popijała... Ile razy budził nas w nocy jej powrót w rodzinne pielesze! Ostatnio te awantury się nasiliły, bo pani inżynierowa znalazła sobie stałego wielbiciela i postanowiła przez taką wojnę podjazdową zmusić Stój ano wskiego do rozwodu. Czego ona nie wygadywała pod adresem Zygmunta, a właściwie wykrzykiwała przy otwartych oknach, żeby cała kamienica słyszała. A jakie groźby przy tym padały!

Sądzi więc pani, że Stojanowską byłaby zdolna do zbrodni?

Nie mnie sądzić. Ale nieraz słyszałam, jak krzyczała: „Zabiję cię” albo: „Żebym miała siekiere w domu, to bym ten twój głupi łeb od razu rozwalila”.

Pani to słyszała na własne uszy i gotowa jest potwierdzić na przesłuchaniu?

A także przysiąc w sądzie - dodała pani Mierzejewska.

Przypuszczam, że poprosimy panią do Pałacu Mostowskich w celu sporządzenia protokołu.

Z tego, co panu powiedziałam, nie zaprę się ani jednego słówka.

Andrzej Ciesielski, zadowolony z zebranych wiadomości, wrócił do Pałacu Mostowskich. Tam czekał na niego podporucznik z meldunkiem. Dzwonił do Wiązównej, gdzie odszukano adres Karola Stojanowskiego, ojca Zygmunta, i miejscowy milicjant podjął się zawiadomienia starszych państwa o tragedii, której ofiarą padł ich syn. Milicjant miał także poinformować rodziców, że ciało syna jest obecnie w kostnicy, a decyzję o pogrzebie należy uzyskać u prokuratora.

Nie zazdroścę chłopakowi takiej misji - zauważył Antoni Szymanek. - Ja sam oddałbym chętnie całą swoją miesięczną pensję, żeby tam jutro nie jechać.

A co z Ireną Stojanowską?

Nie zgłosiła się do tej pory.

Natomiast w aktach sprawy pojawiły się dwa nowe dokumenty. Pierwszy omawiał wyniki sekcji zwłok. Stwierdzał on, że Zygmunt Stój ano wski był człowiekiem przeciętnie zdrowym; śmierć

nastąpiła od uderzenia tępym narzędziem, które zdruzgotało czaszkę i uszkodziło mózg.

Drugim dokumentem była ekspertyza przysłana z Zakładu Kryminalistyki. Znaleziony w miejscu zbrodni dwukilowy odważnik nosił ślady włosów i krwi ludzkiej. Poza tym był zardzewiały. Prawdopodobnie przechowywano go w jakimś wilgotnym pomieszczeniu. Na odważniku znaleziono mikroślady białawego proszku, najprawdopodobniej pudru kosmetycznego. Niestety, ze względu na zbyt nikłą ilość śladów, nie można było przeprowadzić bardziej dokładnych badań tej substancji.

Porucznik dwukrotnie przeczytał wynik ekspertyzy, - znany już Szymankowi, i zauważył:

Że włosy i krew z głowy Stojanowskiego, wiedziałem o tym i bez mędrców z Alej Ujazdowskich. A ten puder nie ma żadnego znaczenia. I tyś się rano dziwił, że mam niewyraźną minę? Miałem się cieszyć z tej cholerne sprawy?

Jednak widzę nikłe światełko - pocieszył go podporucznik.

Te groźby Stojanowskiej? Nie ulega wątpliwości, że to mężczyzna zabił.

Mężczyzna, ale może napuszczony przez kochaną żoneczkę?

Pójdziemy tym śladem - przytaknął Andrzej Ciesielski.

W małym domku w Wiązowej

Nazajutrz porucznik Andrzej Ciesielski od rana denerwował się na swojego podwładnego i przyjaciela, Antoniego Szymanka. Minęło pół godziny od rozpoczęcia pracy, minęła nawet dziewiąta, a młody człowiek nie zjawił się w Pałacu Mostowskich.

„Znowu zaspał - podejrzewał oficer. - Już ja mu dam, jak tylko przyjdzie. Dłużej nie będę tego tolerował i jeszcze go wyłgiwał przed „starym”. Niech go raz pułkownik przyłapie na spóźnieniu i zaprosi na rozmowę do swojego gabinetu, a nasz Antoś od razu nauczy się punktualności”. Tak rozmyślając i złościąc się na kolegę, Ciesielski chyba po raz setny odczytywał treść kilku kartek znajdujących się w brązowej teczce z napisem „Zabójstwo na ulicy Wilczej”. A im dłużej czytał, tym mniej widział szans na znalezienie mordercy. Wreszcie zatelefonował do sekretarki zwierzchnika i zapytał, czy pułkownik Niemiroch jest skłonny poświęcić mu parę minut rozmowy. Otrzymawszy pozwolenie, Andrzej wziął akta sprawy i pomaszerował do „starego”.

U pułkownika był właśnie major Wyderko, więc sekretarka, panna Krysia, poleciła porucznikowi zaczekać.

Nie wie pani, co się dzieje z Szymankiem? - zapytał. - Może pułkownik gdzieś go wysłał? Do tej pory Antek nie zjawił się w naszym pokoju. A jest mi bardzo potrzebny. Czekam na niego i czekam.

Podporucznik Szymanek brał wczoraj delegację do Wiązowej - wyjaśniła sekretarka. - Wiem dobrze, bo sama mu ją wystawiałam. Mówił, że pojedzie tam prosto z domu. Proponowałam mu jeden z naszych wozów, ale śmiał się, że ma zbyt niską szarżę i woli jechać autobusem, bo służbowe auto mogą mu sprzątnąć sprzed nosa jakieś wyższe rangi.

Ja przez tę sprawę zupełnie zgłupieję - roześmiał się Ciesielski. - Przecież sam przykazywałem Szymankowi, żeby jechał do Wiązowej przesłuchać rodziców zabitego. Jak mogłem o tym zapomnieć?

W tej chwili drzwi gabinetu pułkownika otworzyły się, wyszedł major Wyderko i powiedział do kolegi:

Możecie wejść.

No, co tam nowego? - spytał pułkownik Niemiroch.

Ciężko idzie - szczerze przyznał porucznik. - Nie bardzo wiem, co dalej robić.

Nie ma żadnych poszlak? Nikt nie widział mordercy?

Tylko ta Bolecka, ale pułkownik już wie, bo jej zeznanie było w aktach, kiedy przejąłem sprawę. Poza tym nikt nic nie widział.

Nie macie żadnych podejrzeń?

Niby mam. Zarówno dozorca domu, jak i sąsiedzi zeznali, że w małżeństwie Stojanowskich sprawy nie układały się zbyt dobrze. Często dochodziło do kłótni, a nawet ordynarnych awantur. Żona groziła mężowi, że go zabije.

No i co?

Nie możemy odnaleźć Stojanowskiej. Jest podobno na wczasach, gdzieś w Bieszczadach. Ogłaszaliśmy przez radio i w telewizji, ale się nie zgłosiła. Mieszkanie opieczętowałem. Nie znaleziono w nim nic ciekawego.

A co myślicie o tych groźbach?

Nie bardzo chcę w nie wierzyć. Mało to rzeczy ludzie wygadują w czasie kłótni? Podobno Zygmunt Stojanowski nie chciał dać żonie rozwodu, ale to nie te czasy, żeby odzyskiwać wolność za pomocą dwukilowego odważnika. Nie chciał dać rozwodu? Ludzie obywają się bez takiego papierka. Sam znam kilka par mieszkających razem bez wyroku sądowego. Nawet dzieci mają. A po latach w końcu albo druga strona ustąpi, albo sąd dla dobra tych dzieci rozwiąże poprzednie małżeństwo. Irena Stojanowska pochodzi z Targówka, z rodziny - delikatnie mówiąc - takiej, która nigdy zbytnio nie szanowała kodeksów. Zarówno tego rodzinnego, jak i karnego. Nie podejmowałaby ryzyka zbrodni tylko dlatego, że jej mąż obrzydł i znalazła sobie innego. - Pułkownik nie przerywał podwładnemu. - Naturalnie, ta poszlaka jest poważna. Sprawę pod tym kątem zbadamy najdokładniej. Ale mój nos mi mówi, że daleko nie zajdziemy.

Kierujcie się, poruczniku, nie nosem, ale dowodami śledztwa. Tak będzie lepiej, i dla sprawy, i dla nas.

Stojanowskiego nie zabito dla kaprysu czy też przez omyłkę. Nie zrobił tego także szaleniec. Gdybym mógł znaleźć powód tej zbrodni...

Szukajcie.

Dlatego tak sprawdzam wszelkie poszlaki przeciwko Irenie Stojanowskiej, chociaż w jej udział w morderstwie nie mogę uwierzyć.

Zbadajcie przeszłość tego człowieka. Nawet stosunkowo odległą przeszłość. A także przeszłość i obecne kontakty jego żony. Nie można z góry zakładać, że jest niewinna. Logicznie myśląc, na pewno nie ryzykowałaby zbrodni, aby się uwolnić od nie kochanego męża. Ale mogło być inaczej. Mogła się powodować emocjami.

Tak jest, panie pułkowniku. Zbadamy wszystko.

A co robi Szymanek?

Posłałem go do Wiązownej, aby porozmawiał z rodzicami Zygmunta Stojanowskiego.

To bardzo dobrze - pochwalił Niemiroch. - Jeżeli będziecie mieli coś nowego, proszę natychmiast mnie zawiadomić.

Podporucznik Antoni Szymanek jak zwykle zasnął. Postawienie budzika na stole, poza zasięgiem ręki, niewiele pomogło. Kiedy młody człowiek na dobre otworzył oczy, z przerażeniem stwierdził, że dochodzi dziewiąta. Ubrał się jak do pożaru i wybiegł na ulicę. Nie próbował nawet jechać na dworzec autobusowy. Uznał to za zbyt wielką stratę czasu. Wskoczył w autobus, dojechał nim do Placu na Rozdrożu, tam wysiadł i zszedł na Trasę Łazienkowską. Miał szczęście - prawie w biegu wsiadł do ruszającego autobusu „182”. Dojechał nim do skrzyżowania Ostrobramskiej z Grochowską. Tutaj znowu się przesiadł, tym razem w pośpieszny „P” i dojechał do stacji

benzynowej „Agip”. Jak zwykle, tankowało tu wiele samochodów osobowych. A żaden kierowca nie odmówił oficerowi w mundurze milicji, proszącemu o podrzucenie go do Wiązownej „w pilnej sprawie służbowej”.

Dziękując uprzejmemu właścicielowi wiśniowego fiata i wysiadając w centralnym punkcie osady, to jest przed restauracją, Szymanek spojrzął na zegarek. Było już dobrze po dziesiątej. „No - pomyślał sobie - dałby mi Andrzej bobu, żeby wiedział, o której się tu przywlokłem. Dałby! Całe szczęście, że się o tym nigdy nie dowie”.

Okazało się jednak, że podporucznik wysiadł za daleko. Trzeba było zatrzymać samochód nie przed restauracją, a co najmniej pół kilometra bliżej, przy szosie odchodzącej w lewo. Właśnie tam, i to jeszcze o kilometr marszu, znajdowała się mała posiadłość pana Karola Stojanowskiego. W głębi ogrodu stał schludny, acz niewielki domeczek. Najwyżej pokój z kuchnią. Ścieżka prowadząca od ulicy cała była po bokach wysadzana krzewami i kwiatami. Róże, malwy, dalie i astry. Na prawo i na lewo od ścieżki rosły drzewa owocowe. Młode, ale już obwieszone owocami. Jabłonie, morele, grusze i śliwy. Jeśli właściciel tego małego gospodarstwa był takim dobrym motorniczym, jak ogrodnikiem, Miejskie Zakłady Komunikacyjne straciły doskonałego fachowca.

Oboje państwo Stojanowscy czekali na oficera milicji. Byli bardzo przybici nieszczęściem, jakie ich dotknęło. Taką cichą, ale najgorszą rozpaczą. Bez łez, bez wybuchów płaczu.

Kiedy milicja zawiadomiła nas o tym nieszczęściu - powiedział Karol Stojanowski - natychmiast pojechałem na Wilczą: Chciałem się czegoś dowiedzieć. Znalazłem mieszkanie opieczętowane. Tylko dozorca, pan Rotocki, powiedział mi, że syn został zabity, kiedy wysiadał z samochodu. Jak to się stało? Dlaczego?

Na razie niewiele wiemy i sami szukamy - przyznał szczerze podporucznik. - Ustaliliśmy tylko to, co i państwo wiecie. Nie mamy żadnych poszlak. Może państwo kogoś podejrzewają?

Nikogo.

Czy syn miał jakichś wrogów?

Zygmunt? - zdziwiła się pani Stojanowska. - Taki dobry i uczynny człowiek? Własną koszulę by drugiemu oddał... Od dziecka był taki. Mieliśmy trójkę dzieci. Zygmunt był najmłodszy. Staraliśmy się kochać wszystkie dzieci jednakowo. Ale tamci dorastali, szli w świat, na swoje. Zygmunt został z nami. Dla nas pozostał najdroższym dzieckiem... Marysia daleko, we Francji. Maciej w Zabrze. Dzwoniliśmy wczoraj do niego. Odpowiedział, że w tej chwili nie może przyjechać, bo tam jakąś wieżę w kopalni montują, ale synowa będzie u nas jutro rano.

Kiedy państwo widzieli Zygmunta?

Przyjechał do nas jak zwykle w niedzielę. Tak około dziesiątej. Spędził z nami cały dzień i dopiero wieczorem wrócił do Warszawy. Zajmował się ogródkiem. Bardzo lubił tę robotę. Śmiał się, że musi zarobić na owoce, które mu dajemy...

Nie zauważyliście państwo, czy był zdenerwowany lub przygnębiony? - Nie okazywał złego humoru? Złości?

Nie. Był zupełnie normalny. Zachowywał się jak zwykle. Zresztą Zygmunt nie należał do tych, po których wszystko można poznać. Nawet jeśli go coś gnębiło, tłumił to w sobie i na zewnątrz nic nie ujawniał. Wspominał wprawdzie, że w pracy ostatnio mu nie idzie, ma jakieś trudności z wykonaniem planu. Ale nie wydawało mi się - tłumaczył ojciec zabitego - żeby to mogło być dla niego powodem do specjalnego zdenerwowania.

A co się dzieje z Ireną? - zapytała pani Stojanowska. - Zygmunt, kiedy tu był, ani słowa nie powiedział o żonie, a my nie chcieliśmy pytać.

Podobno wyjechała w Bieszczady na wczasy - informował podporucznik - i dotychczas nie

wróciła. Widocznie nie słucha radia i nie ogląda telewizji, bo wzywaliśmy ją dwukrotnie do natychmiastowego powrotu.

Myśmy także nie zwrócili na to uwagi - zauważył pan Karol - chociaż na ogół słuchamy radia.

- W małżeństwie waszego syna ostatnio nie wszystko się układało jak należy? Prawda? -

Podporucznik czekał na potwierdzenie.

Pani Eufemia Stojanowska westchnęła.

Nawet bardzo źle tam było - przytaknął pan Karol.

Irena nie jest złą dziewczyną - pani Eufemia próbowała bronić synowej - tylko trochę brakuje jej, jak to się mówi, „kindersztuby” i jest za porywacza. Nie umie zapanować nad sobą. Ale Zygmunt także nie był bez winy. Ciągle ją usiłował poprawiać i wychowywać. Powtórzyła się historia z „Pigmaliona” Bernarda Shawa. Wiedział przecież, z kim się żeni. Dziewczyna młoda, ciekawa życia, chciałyby się trochę zabawić. A on po pracy zawsze był zmęczony i najbardziej lubił siedzieć w domu. W takiej sytuacji łatwo o konflikty, tym bardziej jeżeli kobieta jest wybitnie przystojna i nietrudno jej znaleźć innych wielbicieli. Najgorzej, że nie mieli dzieci.

Od tego się wszystko zaczęło - potwierdził Stojanowski.

Coś w dziesięć miesięcy po ślubie Irena poroniła. Zygmunt ją posądzał, że to naumyślnie... Lekarz stwierdził konflikt krwi i synowa nie chciała ryzykować drugiej ciąży. To było główną przyczyną późniejszych, coraz bardziej nasilających się niesnasek. W końcu ona zażądała rozwodu. Zygmunt niewątpliwie kochał ją nadal, ale myślę, że bardziej przez upór niż z miłości nie chciał jej dać tej upragnionej wolności. Ot, i cała historia. Nie udało mu się z tym małżeństwem, po co ciągnąć razem życie, które staje się z każdym dniem dla obojga coraz większym koszmarem? Dzieci nie mieli, nikomu by się krzywda nie stała. Syn był jeszcze młody... Dopiero trzydzieści siedem lat. Jeszcze przed nim szmat czasu. Mógł znaleźć kobietę bardziej nadającą się na jego żonę niż Irena.

Ona kogoś miała?

Nie wiem. Zygmunt nam się nie zwierzał, a jej przecież nie pytałam. O tym, że Irena wyjeżdża na wczasy, ani słówkiem nie wspomniał. Ona także, kiedy przyjechała do nas ostatnio, nic o tym nie mówiła. Byłam bardzo zdziwiona tą wizytą, bo od przeszło roku nigdy się tu nie zjawiała.

To dziwne. Przecież kiedy syn był u państwa, żona już bawiła na wczasach.

Ależ nie - zaprotestowała pani Eufemia Stojanowska - Zygmunt był w niedzielę, a Irena przyjechała w poniedziałek.

Na drugi dzień po Zygmunście?

Tak. - Stojanowska nie mogła zrozumieć, czemu ten młody człowiek w mundurze oficera zrobił taką zdziwioną minę. - Irena przyjechała do nas w poniedziałek, tak około dwunastej godziny. Mówiła, że znowu doszło pomiędzy nimi do awantury i Zygmunt znowu ją uderzył.

Pani w to uwierzyła?

Tam sprawy zaszły tak daleko, że niczemu już się nie dziwiłam. Sam Zygmunt kiedyś nam się tłumaczył, że tak się zdenerwował podczas kłótni, iż nie zdołał zapanować nad sobą i uderzył żonę w twarz. To było przed półtora rokiem. Wtedy jeszcze nie wspominało się o rozwodzie. Syn Irenę przeprosił i przez pewien czas było między nimi dobrze.

A w poniedziałek? Czego pani Irena chciała od państwa? Chyba nie przyjechała z towarzyską wizytą?

Och, Irena była bardzo miła. Kiedy chciała, umiała być taką, że lepszej i ze świecą się nie znajdzie. Przywiozła mi pudełko czekoladek, mam je jeszcze w domu, a Karolowi dwie paczki zagranicznych papierosów.

Morrisy - pan Karol wyciągnął napoczęte pudełko w stronę podporucznika.

Dziękuję, nie palę.

Irena powiedziała, że nas zawsze lubiła i darzyła szacunkiem i jej stosunek do nas się nie zmieni, ale dłużej nie może żyć z Zygmuntem pod jednym dachem. Prosiła nas, abyśmy porozmawiali z synem. Żeby się wreszcie zgodził na rozwód.

A państwo? Co jej odpowiedzieliście?

Potwierdziłmy tylko, że my również uważamy rozwód za najlepsze wyjście z sytuacji i że już nieraz mówiliśmy o tym z Zygmuntem. Bez żadnego rezultatu zresztą.

Obiecałem jej - dodał pan Karol - że spróbuję synowi przetłumaczyć, ale zaznaczyłem, iż wątpię w skuteczność moich słów, bo Zygmunt uparty od dziecka. Niekiedy sięgałem i po pasek, ale to też nic nie pomogło.

- Ona nam powiedziała - przypomniała sobie pani Stojanowska - że jeżeli Zygmunt zgodzi się na rozwód, zostawi mu wszystko, co od niego dostała, natychmiast się wyprowadzi i zapłaci mu sto tysięcy złotych.

Sto tysięcy! - podporucznik aż gwizdnął.

Wyraźnie powiedziała: sto tysięcy.

Taka bogata?

Ostatnio dobrze zarabiała. Była kelnerką w eleganckich lokalach. Ale na pewno nie ma aż takiej sumy. Sądzę, że tak rzucała słowami, żeby Zygmunt zmiękł.

Albo ktoś jej taką sumę obiecał dać - dorzucił podporucznik.

Nie wiem, powiedziała to jakby mimochodem. Najwięcej mówiła o tym, że takie ich wspólne życie jest dalej niemożliwe. Wspominała coś o samobójstwie.

A nie o zabójstwie?

Państwo Stojanowscy spojrzeli na siebie z przerażeniem.

Pan myśli, że byłaby zdolna? Żona zabijająca męża?

Ja nic nie myślę. Pytam po prostu. Takie zbrodnie już się zdarzały.

Nie - zaprzeczyła pani Eufemia - Irena jest taka, jaka jest, ale na pewno nie posunęłaby się do takiej podłości. I to nazajutrz po rozmowie z nami. Kiedy stąd wychodziła, żegnając się powiedziała: „Liczę, że rodzice trafią mu nareszcie do rozumu”. A ze mną się nawet wycelowowała.

Pani podobno miała kiedyś nieprzyjemną przeprawę z Ireną?

Ach, to było przed kilkoma miesiącami. Przyjechałam do nich po południu. Syna nie było w domu, jeszcze nie wrócił z pracy, a Irenę zastałam w przedpokoju, gotową do wyjścia. Powiedziała, że się spieszy do kawiarni, bo jakaś koleżanka prosiła ją o zastępstwo. A w kuchni ani jednego garnka na kuchence. Ani śladu obiadu. Więc pytam, co Zygmunt będzie miał na obiad, jak przyjdzie? A ona mi odpowiedziała, że to ją nic nie obchodzi i nie wyszła za mąż po to, żeby pichcić obiady. Odpowiedziała może trochę za ostro i tak poszło od słowa do słowa, aż synowa zrobiła naprawdę nieprzyjemną scenę. Od tego czasu już nigdy tam nie chodziłam.

Czy syn utrzymywał jakieś kontakty towarzyskie?

Kiedy pracował w spółdzielni, przyjaźnił się z paroma kolegami, ale niezbyt mocno. Zygmunt był raczej iypeni samotnika. Nawet zaraz po maturze i jako młody student nie „szalał” jak inni młodzi ludzie w jego wieku, i Był typem domatora. Wygodny fotel, telewizor lub ciekawa książka - to jago najmilszy sposób spędzania czasu. Pamiętacie państwo nazwiska jego przyjaciół?

- Niektórych. Inżynier Henryk Kowalski, księgowy Malinowski... i bodaj jeszcze pan Adamczyk.

Wszyscy pracowali w tej samej spółdzielni?

Nie. Ten Adamczyk... chyba w Przedsiębiorstwie Budownictwa Przemysłowego. To kolega syna ze studiów. On właśnie ściągnął Zygmunta do spółdzielni.

Co to za spółdzielnia?

„Pomoc Budowlanym”, tak się nazywa. A mieści się na Targówku. Właśnie tam Zygmunt poznał swoją żonę.

Dlaczego zrezygnował z tej pracy? Wiedzą państwo?

Przede wszystkim zaważyły względy materialne - w przedsiębiorstwie budowlanym zarabiał więcej - no; i także pewne ambicje syna. W spółdzielni osiągnął już; maksimum tego, co mógł. Co innego praca w wielkiej firmie budowlanej. Tam i szanse awansu są nieograniczone i możliwość doskonalenia swojego warsztatu pracy znacznie większa. Poza tym powstała trochę delikatna sytuacja z żoną. Pewnie już wiecie, że Irena była tam zwykłą robotnicą. A tu wychodzi za mąż za głównego technologa. Trochę głupia sytuacja.

No tak, rozumiem. A późniejsze stosunki towarzyskie, w czasie małżeństwa?

Prawie żadnych. Tak nam się wydaje. Niech pan nie zapomina poruczniku, że przed ślubem Zygmunta wyprowadziliśmy się z Warszawy i kontakty z synem i jego żoną utrzymywaliśmy raczej luźne; odwiedzali nas czasem w Wiązownej. Jak się jednak zorientowaliśmy z pewnych odezwań, Irena nie paliła się do podtrzymywania stosunków z przyjaciółmi męża, jej dawnymi zwierzchnikami. Zygmunt także nie życzył sobie otwierania drzwi domu przyjaciółkom żony czy też jej rodzinie.

A jaka właściwie jest pani Irena?

Bardzo ładna - odpowiedział Karol Stojanowski - brakuje jej wykształcenia, ale niewątpliwie ma dużo sprytu życiowego i wrodzoną inteligencję, także dar przystosowania się do środowiska. Małżeństwo z Zygmuntem, inżynierem z zarządu spółdzielni, to był dla niej duży awans społeczny, nawet materialny. Umiała tę szansę wykorzystać. Kiedy pierwszy raz ją zobaczyliśmy, na widok jej ubrania i sposobu bycia włosy nam z przerażenia stanęły na głowie. Dziś ubiera się i zachowuje zupełnie inaczej niż dziewczyna z jakiejś drewnianej budy z Targówka. Ale naturalnie, tak całkowicie nie potrafiła zmienić swojego charakteru. Kiedy wpada w gniew, ten jej Targówek bierze górę... Kiedy wychodziła za Zygmunta była bardzo młoda. Nie miała nawet dwudziestu lat. Syn był od niej starszy o przeszło piętnaście lat. To nawet nie byłoby żadną przeszkodą, gdyby nie rzeczywiście niedobre charakterystyki. Ona lubi siei bawić. Tańce, dansingi, jeśli muzyka - to ta najbardziej] nowoczesna. Dom i zajęcia domowe ją nudzą. Dziecko może by ich zbliżyło i zatarło różnice. Niestety, dziecka,1 jak już mówiłam, nie było.

Od początku było widać, że to niedobre małżeństwo - dorzuciła pani Eufemia.

Zygmunt należał do odludków - ciągnął pan Stojanowski - zawsze stronił od kobiet. Aż się bałem, że mają jakieś nienormalne skłonności. Ale kiedy już spotkał! „swoją idealną”, to zakochał się bez pamięci. Przypuszczam,] że jej także nasz syn się podobał, był przecież przystojnym mężczyzną - zgrabny, wysoki. Chętnie więc] nawiązała flirt z takim zwierzchnikiem. Zapewne o ślubie nie marzyła. Dopiero później zauważyła swoją szansę i wykorzystała ją, choć szczęścia również i ona w tym małżeństwie nie znalazła.

Ciągle nie możemy się pogodzić z tym ciosem - pani Stojanowska dyskretnie otarła oczy - ani uwierzyć.

A Co z pogrzebem? - zapytał pan Karol. - Ponieważ! Irena nie wraca, chcielibyśmy się tym zająć.

Jeżeli nie zdołamy odszukać młodej pani Stojanowskiej - wyjaśnił podporucznik - ten smutny obowiązek przypadnie państwu. Prokurator musi wydać zezwolenie na pochowanie, ale to zwykła

formalność, bo powód śmierci jest przecież doskonale znany i nie zachodzi konieczność przeprowadzania dalszych badań. Mam nadzieję, że przedsiębiorstwo, w którym pracował syn państwa, pomoże wam w załatwieniu formalności.

Zaraz pojedę z panem do Warszawy - oświadczył ojciec zamordowanego.

Może jednak jutro? - zaproponował podporucznik widząc że oboje starsi państwo jeszcze się nie uspokoili po tragicznej wiadomości. - Może pani Irena zjawi się w tym czasie w Warszawie? Zresztą druga synowa państwa ma tu jutro przyjechać.

Stojanowski od razu ustąpił. Umówił się z podporucznikiem, że skomunikuje się z nim nazajutrz i wtedy ewentualnie podejmie odpowiednie kroki.

Antoni Szymanek miał szczęście. Pierwszy samochód, jaki usiłował zatrzymać na szosie lubelskiej, podwiózł go nie tylko do Warszawy, ale wprost przed Pałac Mostowskich. Zjawił się tam stosunkowo tak wcześnie, że nawet przyjaciel i zwierzchnik, Andrzej Ciesielski, nie powinien się być domyślić, że młody człowiek znowu przegrał bitwę z budzikiem.

Ciesielski wysłuchał raportu podporucznika i polecił mu sporządzić notatkę z wizyty w Wiązownej.

Trzy momenty z tej rozmowy uważam za bardzo ciekawe i charakterystyczne - pochwalił się Szymanek. - Pierwszy to te sto tysięcy, które Irena rzekomo chciała zapłacić mężowi za zgodę na rozwód. Skąd mogła zdobyć taką wielką sumę?

To jasne. Jeżeli ten facet z pięknym samochodem, o którym wspominał dozorca domu, rzeczywiście na serio zajął się Ireną, mógł zaofiarować duże pieniądze, aby usunąć przeszkodę.

Ale mógł też machnąć dwukilowym odważnikiem. Jednym uderzeniem sporo oszczędzał.

To prawda - zgodził się Ciesielski - ale tego trzeba dowieść, a przede wszystkim odnaleźć Irenę Stojanowską i jej tajemniczego wielbiciela.

Drugi moment, a zwracam ci na to specjalną uwagę, to słowa Ireny o samobójstwie. Czy traktować je jako zwykły bluff? A skoro była bliska załamania nerwowego tak, że dopuszczała myśl targnięcia się na swoje życie, mogła także dojść do wniosku, że lepiej się jednak targnąć na cudze. Te słowa, moim zdaniem, są także jedną z poszlak.

Znam osoby, które co drugie zdanie mówią: „Ja się I zabiję” i nikt tego nie traktuje poważnie. Nawet one I same.

Trzeci fakt zaliczam nie do poszlak, a do dowodów. I Irena nie wyjechała na wczasy w Bieszczady. A przynajmniej nie wyjechała w sobotę, na trzy dni przed śmiercią I męża. W przeddzień zbrodni była u jego rodziców w Wiązownej.

To świadczy - porucznik Ciesielski był ostrożny i w formułowaniu zarzutów - że coś ukrywała przed I mężem, ale wcale nie znaczy, że go zabiła czy też namówiła do morderstwa osobę trzecią.

Wszystko to razem wzięte do kupy wyraźnie wskazuje na Irenę Stojanowską jako co najmniej organizatorkę i współniczkę zbrodni! Rozesłałbym za nią listy gończe. A po jej odnalezieniu natychmiast bym ją zamknął.

Prokurator prowadzący razem z nami śledztwo nigdy się na to nie zgodzi, już nie mówiąc o pułkowniku Niemirochu, a i ja sam jestem przeciwny takim krokom.

Rób, co chcesz. Jesteś moim zwierzchnikiem. - Podporucznik poczuł się nieco urażony.

Odwaliłeś kawał dobrej roboty - Ciesielski starał się udobruchać przyjaciela - i przyznaję, że poszlaki poważne - I nie się zageściły. Dotychczas szukaliśmy Ireny Stojanowskiej przez radio i telewizję. Teraz spróbujemy ją odnaleźć przy pomocy aparatu milicji. Ale bez tak drastycznych środków jak list gończy i zatrzymanie czy też transport pod konwojem do Warszawy. Nie ucieknie nam na pewno.

Może już uciekła? Za granicę?

Sprawdzimy i to. Zajmiesz się tym jutro rano.

Dobrze szefie, rozkaz przyjęty. - I podporucznik; wysunąwszy szufladę swojego biurka, zaczął do niej chować wszystko, co się znajdowało na wierzchu.

Co robisz? - zdziwił się Ciesielski.

Po prostu kończę pracę. Nie mam zamiaru nocować w tej budzie.

Andrzej spojrzął na zegarek. - Masz jeszcze dziesięć minut.

Zanim uporządkuję papiery i umyję ręce, będzie akurat czwarta.

Polacy są najbardziej punktualnym narodem świata

- mruknął Ciesielski. - Nikt tak punktualnie, co do sekundy, nie kończy pracy jak my. A pewien podporucznik bije pod tym względem wszelkie rekordy.

- Nie zapominaj, mój kochany - odgryzł się Szymanek - że już od siódmej rano byłem w Wiazownej. No, ale tego to mój gorliwy zwierzchnik nie raczył zauważyć.

- O, umiesz się rozdwajać! To cenna sztuka! No, No. Więc od świtu, powiadasz, byłeś w Wiazownej? A około dziesiątej, kiedy jechałem do Komendy Głównej MO, widziałem ciebie na Placu na Rozdrożu.

Antek zrobił tak głupią minę, że Ciesielski w głos się roześmiał. Za przykładem przyjaciela zaczął chować akta do biurka.

- Jutro rano - powiedział - pojedę do „smarówki” na Targówku. Może znajdę tam któregoś z tych przyjaciół Stojanowskiego, o którym wspominali jego rodzice.

Trzy białe widma

Chłodne i deszczowe dni września nagle odmieniły się jakby na skinienie zaczarowanej różdżki. Znikły gdzieś chmury, zaczęło prażyć słońce. Najwidoczniej przypomniało sobie, że lato jeszcze się nie skończyło. Dlatego porucznik Andrzej Ciesielski, wybierając się na Targówek do spółdzielni pracy „Pomoc Budowlanym”, zrezygnował z opiętego i ciepłego munduru. Włożył dzinsy, koszulę w brązowo-białą kratkę i lekki sweterek. Nie wyglądał w tym stroju na przedstawiciela władzy, ani na swoje bądź co bądź dwadzieścia osiem lat. Ale tym się młody człowiek nie przejmował, przecież nie jechał na ulicę Księcia Ziemowita po to, aby; kogoś oficjalnie przesłuchiwać, ale po prostu dla „zasięgnięcia języka”.

porucznik nie znał za dobrze tej części Warszawy, toteż na wszelki wypadek wysiadł już na przystanku autobusowym przy ulicy Radzymińskiej, przy przejeździe kolejowym. Przeszedł pod wiaduktem i skręcił na prawo w ulicę Naczelnikowską. Drogowskazem była raui widoczna z daleka wieżyczka niewielkiego kościoła, o którym wiedział, że znajduje się na ulicy Księcia Ziemowita. Trafił więc bezbłędnie, chociaż nie od razu znalazł nazwę tej głównej arterii Targówka Fabrycznego.

Dalej poszło łatwo. Po minięciu kilku małych uliczek; przecinających Księcia Ziemowita zobaczył cementowy, biały parkan i mały budynek portierni z umieszczoną na nim tablicą:

POMOC BUDOWLANYM Spółdzielnia Pracy

Portiernia - jak portiernia. Z lewej strony była brama, w tej chwili szeroko otwarta, obok niej wąskie przejście dla pieszych, za szybą siedział pracownik spółdzielni. W głębi podwórza porucznik dostrzegł ciężarowy samochód. Kilku robotników ładowało nań plastikowe worki z czymś białym, podobnym do mąki. Obok stał młodyj człowiek, który na trzymanej w lewej ręce karcie notować ilość ładunków umieszczanych na platformie stara.

Pan do kogo? - zapytał portier.

Chciałem się zobaczyć z panem Malinowskim - wyjaśnił oficer milicji, nie legitymując się jednak pracownikowi spółdzielni.

Nie ma go tutaj.

A inżynier Kowalski?

Nie znam.

Z kim ze spółdzielni mógłbym porozmawiać? Chciałbym uzyskać trochę informacji.

Ja tam nie wiem. Pracuję tu dopiero od dwóch tygodni. Niech się pan zapyta lepiej Wiśniewskiego.

Kogo?

Magazyniera Wiśniewskiego. Ten przy samochodzie - dodał portier.

Oficer milicji wszedł do środka i z zainteresowaniem rozejrzał się dookoła. Nie był zbyt zbudowany panującym tutaj ładem. Wszędzie wałały się jakieś beczki, a wielkie zbiorniki, najprawdopodobniej mieszalniki, pordezwiątałe i zapewne już zużyte, tarasowały i tak niewielką przestrzeń. Jak się bowiem porucznik zorientował na pierwszy rzut oka, spółdzielnia rozporządzała wąskim pasem gruntu ciągnącym się od ulicy Księcia Ziemowita aż do torów kolejowych, po których właśnie z łoskotem przejeżdżał pociąg towarowy. Po bokach placu ciągnęły się jakieś szopy i wiaty kryte dachem z papy, a w głębi stała dość spora hala z czerwonej cegły. Na pewno wzniesiona wiele lat przed wojną. Plastikowe worki z białym proszkiem nie były umieszczone nawet pod wiatą, lecz tworzyły duży, bezładny stos na samym środku placu. Odnosiło się wrażenie, że leżały tam od momentu, kiedy je tutaj samochody przywiozły i zwały, gdzie popadło.

Podwórze było niegdyś brukowane. Ale ten bruk, rozjeżdżany setkami kół ciężarówek czy wozów konnych, dzisiaj przedstawiał smętny obraz. W zagłębieniach stały kałuże wody po wczorajszym deszczu. Jedna z tych kałuż obejmowała swoim zasięgiem dolne warstwy plastikowych worków. Wszystkie te zaniedbania nie najlepiej świadczyły o gospodarności spółdzielni i wyraźnie wskazywały na to, że jej władze zwierzchnie lub choćby dzielnicowi milicjanci rzadko zaglądną na to podwórko. Omijając kałuże i starając się nie wpakować nogi w jakąś dziurę, Andrzej Ciesielski dotarł do ciężarówki, okrążył ją i podszedł do magazyniera.

Przepraszam pana - starał się zwrócić uwagę Wiśniewskiego.

Pan do mnie? - magazynier oderwał się od liczenia worków.

W tej chwili przechodzący koło nich z pięćdziesięciokilowym workiem na plecach robotnik pośliznął się. Zaklął pod nosem i chwytając równowagę puścił worek. Ten upadł płasko na ziemię i pękł z hukiem. Ogromny tuman białego pyłu natychmiast zakrył wszystko dookoła. Dopiero po chwili, krztusząc się i kichając, wybiegły z tego obłoku trzy białe widma. Nikt by nie rozpoznał, które z nich jest oficerem milicji, które magazynierem Wiśniewskim, a które pechowym robotnikiem.

Dwaj ładowacze stojący na przyczepie samochodu - do nich chmura pyłu nie dotarła - mało z wozu nie spadli, tak się zanosili od śmiechu. Również inni robotnicy pracujący przy załadunku czy znajdujący się w pobliżu nie mogli pohamować wesołości. A trzy białe widma przecierając oczy i wypluwając z ust wciskający się wszędzie proszek, biegły do portierni. Tam dopiero zaczęło się mycie rąk, twarzy i włosów oraz czyszczenie ubrania.

Co to jest? - zapytał porucznik, kiedy wreszcie już z grubsza oporządził się i zdołał usunąć część białych śladów. Jakże się cieszył, że nie włożył dzisiaj munduru! Zupełnie nowe ubranie trzeba by było oddać do pralni. Z džinsami i ze sweterkiem jakoś sobie poradzi.

Do diabła z taką robotą! - klął niefortunny robotnik.

- Worki leżą w błocie, a bruk pełen dziur. Mało nogi nie skręciłem.

Ile razy mówiłem prezesowi, że to się może skończyć wypadkiem! - magazynier pieniał się ze złości. - Zawsze słyszę: „w przyszłym roku”. Całe spodnie sobie zniszczyłem. Zeosil to jeszcze głupstwo. Kiedyś oblałem sobie wiksilem nowiutkie dżinsy, ledwie je w pralni doczyścili.

Co to jest? - porucznik powtórzył pytanie.

Przepraszam, pan do kogo? - dopiero teraz Wiśniewski przypomniał sobie o obecności nieznanego mężczyzny w portierce.

Chciałbym się widzieć z inżynierem Kowalskim - wyjaśnił Ciesielski.

Inżynier już u nas nie pracuje. Chyba ze dwa lata.

A pan Malinowski?

Który? Mamy tutaj co najmniej ze czterech Malinowskich.

Chyba... Stanisław.

Stanisławów jest też dwóch. Jeden to główny księgowy, a drugi jeździ jako kierowca naszą nysą. Właśnie wyjechał do Słupska. Po obuwie dla załogi.

Nie, nie. Mnie chodzi o głównego księgowego.

To nie tutaj. Źle się pan wybrał. Tutaj mieści się tylko jeden z oddziałów produkcyjnych. A zarząd spółdzielni znajduje się na ulicy Solec. Koło Mostu Poniatowskiego.

Zostałem słusznie ukarany za to, że zamiast zatelefonować i upewnić się, gdzie szukać pana Malinowskiego, przyjechałem na Targówek. Ale co to jest? - Porucznik pokazał wielką białą plamę i stosik proszku przykrywający resztki plastikowego worka. - Podobne do mąki, ale w smaku jakby piasek. Do tej pory czuję go między zębami.

To jest zeosil - wyjaśnił robotnik.

Zeosil? A co to takiego?

Taki proszek. Biały jak mąka, ale dużo bardziej od niej miałki. Jest też bardziej miałki niż najlepszy cement. - Robotnikowi wyraźnie poprawił się humor. Jego stary wyświechtany kombinezon wyszedł z tej białej burzy w dużo lepszym stanie niż ubrania dwóch pozostałych uczestników małej katastrofy. - Robi się go z mielonego kwarcu z innymi dodatkami.

Czym to się je? - Porucznikowi także już gniew przeszedł, a pozostała ciekawość. Nie ta zawodowa, a po prostu zwykła, ludzka ciekawość.

Tego się nie je. To służy do robienia wiksilu w takich wielkich mieszalnikach, jak te, które pan widzi. - Robotnik wyraźnie stawał się rozmowniejszy. - Te są stare, do niczego. Ale mamy teraz nowe, znacznie większe.

Żeby ja jeszcze wiedział, co to jest wiksil...

Wiksil to taki płyn. Robi się go z różnych smarów i chemikalii, między innymi z zeosilu. Tego się używa przy betonowaniu. Smaruje się wiksilem ścianki szalunku albo jego formy i dopiero wtedy wlewa się płynny beton. Dzięki wiksilowi beton lepiej wypełnia formę, nie przylega do ścianek, szybciej też się wiąże i schnie. Dawniej betony trzeba było trzymać w szalunkach po dziesięć dni czy nawet po dwa tygodnie, a teraz dwa, trzy dni wystarczą. Wprawdzie cement jest bardziej szybko-sprawny, ale i w tym duża zasługa naszego wiksilu. Nie możemy nastarczyć z produkcją. A jeszcze do niedawna nikt nie chciał kupować. Obecnie robimy go tutaj i w jeszcze jednym oddziale naszej spółdzielni. Ten samochód ładowaliśmy właśnie dla tamtego oddziału.

- Zeosil także robicie na miejscu?

Coś pan! To aż z Francji. Trzy razy droższe od najdroższej mąki!

Nie widzę, żebyście go specjalnie szanowali - zauważył oficer.

Ten przytyk magazynier wziął do siebie i otworzył usta. - Co wam się, Walendziak, zebrało na gadanie? Lepiej weźcie się do roboty. Samochód miał wyjechać o dziesiątej, a tu prawie jedenasta i końca załadunku nie widać!

Robotnik chciał coś odpowiedzieć, ale się rozmyślił, machnął ręką i odszedł do swojej roboty. Tam też pospieszył i Wiśniewski. Zaś Andrzej widząc, że tutaj, na Księcia Ziemowita, niczego się nie dowie, kiwnął głową portierowi i wychodząc zapytał go:

Jak tu się najlepiej zabrać na Solec? Do Zarządu Spółdzielni?,

Można autobusem „138” z przystanku przy przejeździe Ale trzeba się na rondzie przy Saskiej Kępie przesiadać. Poza tym autobus rzadko chodzi. Lepiej przejść paręset metrów do Bazyliki na Kawęczyńskiej i stamtąd bezpośrednio tramwajem „25”.

Porucznik podziękował i postanowił skorzystać z tej drugiej propozycji. Po przygodzie z zeosilem nabrał ochoty na spacer. Wciąż jeszcze biały proszek łaskotał go pod koszulą i trzeszczał w zębach. Więc spluwając, zdjawszy sweterek i rozpiąwszy koszulę do maksimum, Ciesielski wędrował wzdłuż nasypu kolejowego w stronę ulicy Kawęczyńskiej. Droga była wprawdzie nieco dłuższa, szło się ścieżką, ale za to żywej duszy dokoła. Można było się nareszcie pozbyć tego przeklętego białego prochu.

Pana Stanisława Malinowskiego mocno zdziwiła wizyta oficera milicji. Na pytanie dotyczące znajomości z Zygmuntem Stojanowskim odpowiedział ostrożnie:

- Przypominam sobie takiego pracownika. Był bodajże technikiem w naszym oddziale produkcyjnym na Targówku. Ale odszedł od nas przed czterema laty. Przypuszczam, panie poruczniku, że nasz dział kadr będzie mógł coś więcej powiedzieć o inżynierze Stojanowskim.

- Zdawało mi się, że trafiłem pod właściwy adres. Przecież panowie byli ze sobą dość blisko. Chyba nawet się przyjaźnili? Pan bywał w domu Stojanowskiego na Wilczej.

Główny księgowy trochę zmienił ton. - Cóż to za przyjaźń - bronił się nadal - ot, po prostu pracowaliśmy w tej samej spółdzielni, ale nawet nie w tym samym miejscu. Ja tutaj, on za Wisłą. Rzeczywiście, byłem na Wilczej raz albo też dwa. Nie pamiętam z jakiej okazji. Karty czy też imieniny pana Zygmunta. A co się stało?

Porucznik postanowił nie ukrywać niczego.

- Inżynier Stojanowski nie żyje. Przed tygodniem został zamordowany przed swoim domem na Wilczej, kiedy wysiadał z samochodu.

Główny księgowy z wrażenia upuścił na ziemię długopis, który obracał w palcach w czasie rozmowy z porucznikiem.

Zamordowany?!

Niestety. Prowadzimy dochodzenie w tej sprawie i nie możemy się pochwalić wielkimi sukcesami. Dlatego przyszedłem do pana.

Ja naprawdę niewiele będę mógł powiedzieć o Zigmuncie, ale naturalnie, służę tym, co wiem. Czego pan chciałby się dowiedzieć?

Jeżeli kogoś mordują, to znaczy, że ten ktoś był dla mordercy niewygodny lub był jego wrogiem. Dosłownie „śmiertelnym”.

Zygmunt - główny księgowy pozbył się oficjalnego tonu i opuszczał słowa „pan” i „inżynier” - był trudnym człowiekiem we współpracy. Przyznaję, że jako fachowiec był bez zarzutu i spółdzielnia wiele mu zawdzięcza, może też wiele straciła, kiedy odszedł. Z drugiej strony jednak... Wszystko mu się nie podobało. Wszystko chciał zmienić lub poprawić. Dawał ludziom odczuć, że uważa ich za głupszych od siebie. A tego nikt nie lubi. Ale oczywiście, trudno mówić, żeby przysporzył sobie wrogów, i to takich, którzy nie zawahaliby się pozbawić go życia.

Dlaczego odszedł? Spółdzielnia tak łatwo pozbyła się dobrego fachowca?

Wiem, że nie zatrzymywali Stojanowskiego, chociaż zdawali sobie sprawę, kogo tracą. Zważyły głównie tak zwane „stosunki międzyludzkie”. Otóż zapewne pan wie, że Stojanowski ożenił się z naszą pracownicą?

Wiem. Była robotnicą.

Tak. Dozowniczką przy mieszalniku. Bardzo ładna dziewczyna. Podobno jej łaskami cieszyło się w spółdzielni sporo osób. Może to jedynie plotki, ale faktem jest, że tę młodą osóbkę łączono często z nazwiskiem pana inżyniera Henryka Kowalskiego, wówczas wiceprezesa naszej firmy. Właśnie Zygmunt odbił Irenę Kowalskiemu. Po prostu przelicytował go. Tamten chciał mieć ładną kochankę, nie szczędził jej zresztą pieniędzy. Ten się z nią ożenił. Kobieta zawsze wybierze w takiej sytuacji związek pobłogosławiony w pałacu ślubów.

Na pewno - Ciesielski uśmiechnął się.

Kowalski był wściekły, bo zaangażował się dość poważnie. W zakładzie ludzie śmieli się z obu inżynierów. Nazywali ich „szwagarami”... Stojanowski kiedyś omal nie pobił jakiegoś robotnika. Ostatecznie na jego żądanie zwolniliśmy tego pracownika. To tylko dołało oliwy do ognia. Między Zygmuntem a Kowalskim rozgorzała walka podjazdowa. Co robił główny technolog, to nie znajdowało uznania w oczach wiceprezesa, i odwrotnie. Trzeba było przeciąć ten węzeł gordyjski. Sam radziłem Stojanowskiemu, żeby się przeniósł na budowaną właśnie wtedy Trasę Łazienkowską. Tam potrzebowano specjalistów. Warunki finansowe otrzymał dużo lepsze, niż miał u nas, nawet z premiami racjonalizatorskimi.

A jego stosunek do pana?

Zygmunt wyszedł ze spółdzielni śmiertelnie obrażony. Również na mnie, chociaż to właśnie ja podałem mu rękę i pomogłem wybrnąć z sytuacji. Więc nasze towarzyskie kontakty nagle się urwały. Po prostu zaproszony przeze mnie dwa razy wymówił się, że jest zajęty, a sam nie pośpieszył ani z zaproszeniem do siebie, ani nie pofatygował się zatelefonować w dniu imienin moich czy żony. Przypadkowo spotkałem go chyba przed miesiącem.

Rozmawialiście?

Parę minut, na ulicy. Powiedział, że teraz pracuje przy budowie Trasy Toruńskiej. Zapraszałem go na kawę do pobliskiej kawiarni, odmówił. Tłumaczył się brakiem czasu. Zapytałem o panią Irenę. Zrobił taką minę, jakbym mu dotknął nerwu w zębie. Najzwyczajniej w świecie splawił mnie słowami: „Kiedy będę wolniejszy, zatelefonuję”. Więcej go nie widziałem.

Nie wie pan, czy Irena i Kowalski widywali się potem?

- Nie wiem. - Główny księgowy wyraźnie zeszywniał.

A nie plotkowano na ten temat?

Nie mam zwyczaju słuchać plotek.

Proszę pana - powiedział porucznik - odłóżmy na bok konwenanse i dobre wychowanie. Tu chodzi o poważniejsze rzeczy. O śledztwo w sprawie morderstwa.

Irena jeszcze przed ślubem przestała pracować w spółdzielni. Ktoś tam kiedyś gadał, że ją widział razem z Kowalskim na Krakowskim Przedmieściu w jakiejś kawiarni. W ogóle od plotek na temat obojga Stojanowskich przez dłuższy czas aż się trzęsło. Powiadali, że inżynier wyrzucił z mieszkania rodzinę Ireny, a nawet pobił starego Urbaniaka, którego podobno złapał na podkradaniu mu garderoby. Podobno teść i szwagrowie odgrażali się Zygmunтови, że niech go tylko spotkają na Targówku, to mu wszystkie gnaty policzą.

Ale jakoś skończyło się na pogrózkach?

Zygmunt jednak trochę się bał. Od tamtej pory nigdy inaczej nie jeździł na Targówek jak samochodem. Nie zatrzymywał syreny przed zakładem na ulicy, lecz wjeżdżał do środka. Miał zresztą rację. Irena nie pochodzi ze zbyt arystokratycznego rodu. Tatuś złodziej, braciszkwowie - znane bandziory. O konduicie mamusi też podobno można by było dużo powiedzieć.

Czy pan Henryk Kowalski pracuje jeszcze w spółdzielni?

Ależ skąd! Teraz, panie, ze spółdzielczości ucieka, kto tylko może. Codziennie ludzie się zwalniają. Każdy lepszy fachowiec idzie gdzie indziej. Często wystarczy przejść przez ulicę i za tę samą pracę dostanie się tysiąc złotych więcej. Nie wytrzymujemy konkurencji z przemysłem państwowym. Tam i płace wyższe, i warunki pracy bez porównania lepsze, i o przydział mieszkania dużo łatwiej. Spółdzielność pracy jest nie doinwestowana. Nasze zakłady to w przeważającej części rozwalające się stare przedwojenne rudery. Kto w takich warunkach chce u nas pracować? Ja sam myślę o ucieczce, chociaż pracuję przy tym biurku dwadzieścia lat. Taka jest smutna prawda o spółdzielczości pracy, panie poruczniku. Już dwa lata jak pan inżynier Kowalski nas pożegnał.

Gdzie go odnajdę?

W biurze projektów na Tamce. Bez nerwów, pracując w ściśle określonych godzinach, zarobi dużo więcej niż tutaj przy ciągłym użeraniu się o wszystko... Kiedy zamordowano Zygmunta?

- We wtorek czternastego września.

- Dopiero w sobotę wróciłem z Krakowa, gdzie w jednej z tamtejszych spółdzielni kontrolowałem sporządzenie bilansu. Dlatego śmierć Stojanowskiego tak mnie zaskoczyła. Nie czytałem wczoraj i przedwczoraj „Życia Warszawy” i widocznie dlatego przegapiłem w „kronice towarzyskiej” nekrolog Zygmunta. W przeciwnym razie przyjechałbym na pogrzeb.

Pogrzebu jeszcze nie było.

Coo? - zdziwił się główny księgowy. - Dlaczego?

Opóźniły go różne czynności śledcze. Poza tym poszukujemy Ireny Stojanowskiej, która wyjechała na wczasy wędrowne w Bieszczady i nic nie wie o tej tragedii. Dlatego też pogrzeb odbędzie się dopiero za dwa dni.

Bez żony?

Niestety, bez. Dłużej nie można czekać. Formalnościami zajęli się rodzice inżyniera. A nekrolog jest dopiero w dzisiejszym „Życiu”.

O, jak to dobrze, że pan porucznik do mnie przyszedł. Moglibyśmy nie zauważyć. Trzeba przecież, żeby spółdzielnia kupiła wieniec, a delegacja załogi wzięła udział w tych smutnych obrzędach. Ja także tam będę.

Jak pan myśli, kto go mógł zabić?

Nie wiem. - Stanisław Malinowski rozłożył ręce. - Ten człowiek miał swoje wady, któż ich zresztą nie ma... Nie był lubiany, to prawda. Bywał nieraz zbyt ostry dla ludzi i zbyt wiele od nich wymagał. Ale to dotyczy okresu sprzed czterech lat. Nie przypuszczam, aby mordercy trzeba było szukać wśród pracowników naszej spółdzielni. Bardzo mi przykro, panie poruczniku, że właściwie nic nie mogę pomóc.

Nie żałuję jednak czasu przeznaczanego na tę rozmowę - odpowiedział porucznik. - Dochodzenie milicyjne można porównać do skomplikowanej mozaiki budowanej z różnego rodzaju, różnej wielkości i różnego koloru kamyczków. Pan także dorzucił parę takich kamyczków do mojej układanki.

Gdyby pan porucznik kiedykolwiek potrzebował dodatkowych informacji o moim tragicznie zmarłym przyjacielu, naturalnie zawsze jestem do dyspozycji. - Główny księgowy wyraźnie dał oficerowi odczuć, że uważa rozmowę za skończoną.

W swoim pokoju, w Pałacu Mostowskich, Andrzej Ciesielski referował Antoniemu Szymankowi zarówno przygodę na Targówku, jak i przebieg spotkania ze Stanisławem Malinowskim. Podporucznik wyraził szczery żal, że nie wybrał się również na ulicę Księcia Ziemowita. Stracił okazję obejrzenia oficera milicji w roli „białej damy”. Komentując zaś przebieg rozmowy, zwięźle zdefiniował:

Ten Malinowski to nieprzeciętny cwaniak.

Dlaczego?

W czasie jednak krótkiej rozmowy zdołał rzucić podejrzenie na inżyniera Henryka Kowalskiego i na rodzinę Ireny. A jednocześnie sprytnie podkreślił swoje alibi. Każde słowo z tego, co powiedział, było wyważone z dokładnością do jednej setnej milimetra.

O nic go nie posądzałem - roześmiał się Ciesielski - a o alibi nawet nie miałem zamiaru pytać.

On jednak wolał z góry tę kwestię wyjaśnić.

Jaki stąd wniosek?

Nie wiem. Niewątpliwie miał jakiś cel wypowiadając te słowa. Może po prostu nie chciał powiedzieć ci wszystkiego? Może i on miał jakieś poważniejsze zatargi z Zygmuntem Stojanowskim? Bał się, że i tak, prędzej czy później, musisz się o tym dowiedzieć. Więc z góry się ubezpieczył. To zresztą nie ma żadnego znaczenia.

A to dlaczego?

Bo zabójczynią, a w każdym razie inicjatorką zbrodni, jest Irena Stojanowska.

Jesteś bardzo apodyktyczny w swoich sądach. Na jakiej podstawie tak twierdzisz?

Masz. - Porucznik podał przyjacielowi wąski pasek papieru. - Teleks ze stacji granicznej Zebrzydowice.; Zachowałem ten rodzynek na sam koniec. Żeby ci nie przeszkadzać w opowiadaniu.

Teleks był krótki. Placówka Wojsk Ochrony Pogranicza w odpowiedzi na pytanie milicji wyjaśniła, że Irena Stojanowska w dniu piętnastego maja w godzinach po rannych przekroczyła granicę polsko-czechosłowacką w pociągu pośpiesznym jadącym do Wiednia. Irena Stojanowska legitymowała się ważnym paszportem zagranicznym i odpowiednim przydziałem dewiz. Jakichkolwiek przemyczanych towarów przy niej nie znaleziono. Wyjechała z Polski legalnie, bez najmniejszych przeszkód. WOP nie miał żadnych podstaw, aby zatrzymać warszawską turystkę.

Zwiała! - zawołał porucznik.

Czternastego września mniej więcej około godziny siódmej wieczorem zabito Stojanowskiego. Jego żona w parę godzin później wsiadła do wiedeńskiego pociągu. Na tym etapie śledztwa nikomu nie przyszło do głowy, aby zgłaszać na granicy jakieś zastrzeżenia. I to w stosunku do żony zabitego.

Tym bardziej - potwierdził Ciesielski - że od początku sugerowano nam, iż Irena bawi na wczasach wędrownych w Bieszczadach... No tak, zbrodnia musiała by z góry zaplanowana, i to na wiele tygodni przed tragicznym wtorkiem. Przecież trzeba było wyrobić sobie przydział dewiz i załatwić formalności paszportowe, a także zarezerwować bilet na ściśle określony dzień. Dzień popełnienia zbrodni.

Porucznik energicznym ruchem schował swoje notatki do teczki z aktami i podniósł się z biurka.

Dokąd idziesz?

Do pułkownika Niemirocha. Niech on decyduje, czy mamy się starać o ekstradycję Ireny Stojanowskiej u władz austriackich.

Zaproponuj staremu - powiedział podporucznik z powagą - żeby mnie wysłał w delegację służbową do Wiednia, do pomocy austriackiej policji.

Na pewno to zrobię. - Ciesielski wyszedł z pokoju.

Czy morderca przybył na pogrzeb?

- Przypuśćmy - rozważał pułkownik Niemiroch - że skłoniłbym nasze władze do zażądania ekstradycji Ireny Stojanowskiej z Austrii. Przypuśćmy także, że Austriacy poszliby nam na rękę i wydali uciekinierkę. Czym byśmy wówczas rozporządzali przekazując sprawę prokuratorowi dla sporządzenia aktu oskarżenia? - Mamy bardzo wiele poszlak - stwierdził porucznik.

- Podsumujmy je - pułkownik wziął kartkę papieru i zaczął pisać:

Zeznanie dozorca domu, że słyszał pogróżki Ireny Stojanowskiej wypowiediane pod adresem męża.

Zeznanie sąsiadki Stojanowskiej poświadczające, że w mieszkaniu często dochodziło do kłótni, przy czym padały słowa: „Zabiję cię” lub: „Gdybym miała siekiere, to roztrzaskałabym ten głupi łeb”. A poza tym stwierdzenie, że pewnego dnia Irena Stojanowska na schodach zwymyślała nieparlamentarnymi słowami swoją teściową. A ściślej mówiąc „świekrę”.

Zeznanie dozorca, że na cztery dni przed zabójstwem Stojanowska opuściła dom, informując, iż wyjeżdża na wczasy w Bieszczady.

Zeznanie matki Zygmunta Stojanowskiego, że Irena jeszcze w przeddzień morderstwa była w Warszawie i odwiedziła Więzownię. Irena wspomniała, że chce popełnić samobójstwo, jeśli nie otrzyma rozwodu.

W parę godzin po morderstwie, Irena Stojanowska wsiadła do pociągu pośpiesznego i wyjechała do Wiednia, okazując na granicy legalnie otrzymany paszport. 6. Zeznania Stanisława Malinowskiego, że Irena Stojanowska była rzekomo przed ślubem kochanką inżyniera Henryka Kowalskiego i także potem, rzekomo, się z nim widywała. Druga plotka powtarzana przez Malinowskiego to pogróżki rodziny Ireny pod adresem jej męża.

Niemiroch odczytał napisany tekst i zapytał porucznika: - Chyba niczego nie opuściłem? Świadomie pominąłem stwierdzenia świadków, że Irena jest młodą, piękną kobietą lubiącą się bawić i mającą zbyt wielki pociąg do alkoholu. A także do pewnego nieznanego młodego człowieka posiadającego drogie zagraniczne auto, bo te szczegóły w niczym dziewczyny nie obciążają. A zatem wszystko?

Tak jest, panie pułkowniku - przyznał Ciesielski.

Jesteście prawnikiem. Ukończyliście Uniwersytet Warszawski i macie z kodeksem karnym do czynienia na co dzień. A teraz wyobraźcie sobie akt oskarżenia oparty na tych przesłankach. Nie byłoby chyba potrzeba tak sławnych obrońców jak Ruszyński czy Bayer, żeby go rozbić w proch i pył. Wystarczyłby najbardziej fajtlapowaty aplikant adwokacki.

Andrzej Ciesielski przyjął w milczeniu krytykę. Słowa pułkownika, choć bezlitosne, były jednak prawdziwe. Ten zaś kontynuował:

Nie myślę się kompromitować, cała KGMO śmiałaby się z takiego wygłupu starego Niemirocha. Wniosku o wszczęcie postępowania ekstradycyjnego nie podpiszę.

To co mam robić, panie pułkowniku?

Prowadzić śledztwo - odpowiedział Niemiroch.

Rozkaz! - Porucznik powstał, stuknął obcasami i wykonał prawidłowy zwrot w tył. Przy drzwiach zatrzymał go głos „starego”.

Wróć! Siadaj i nie rób obrażonej miny. - Pułkownik najczęściej zwracał się do młodych - i nie tylko zresztą młodych - oficerów per „ty”. Tylko wtedy, gdy był naprawdę bardzo zły, tytułował ich

„obywatelu poruczniku” czy też „obywatelu kapitanie”.

Tak jest!

Na ogół jestem z was obu zadowolony. Wykazujecie inicjatywę i jesteście operatywni. Ale strzeżcie się najpoważniejszego błędu, jaki może popełnić oficer dochodzeniowy: budowania pięknej teorii i prowadzenia śledztwa wyłącznie pod kątem tej teorii.

Kiedy ja, panie pułkowniku, na początku nie bardzo wierzyłem w winę tej kobiety. Dopiero teraz, po ucieczce...

Więc nie wierz i teraz. Ale śledztwo prowadź tak, jakbyś wierzył. Nie ograniczaj się jednak do prowadzenia go tylko w tym kierunku. Szukaj innych powodów zbrodni i szukaj innych ewentualnych morderców. - Nie ma zbrodni bez motywów.

Według mnie jedyny motyw mogła mieć Irena.

Powtarzam: szukaj innego. Ważniejszego. To dobrze, że rozmawialiście z dozorcą domu, sąsiadką, księgowym ze spółdzielni. Idźcie dalej tą drogą. Przesłuchajcie jak największą ilość osób. Analizujcie pilnie każde słowo, mało tego - każdy gest tych osób. Szukajcie motywu - jeszcze raz podkreślił z naciskiem - szukajcie przyczyn morderstwa.

Andrzej Ciesielski powłókł się do swojego pokoju niczym zbity pies. Szymanek nie potrzebował pytać, jaki przebieg miała rozmowa z szefem.

Splawił cię!

Jeszcze mi porządnie nawtykał. Powiedział, że najgorszy fajtłapa ze wszystkich adwokackich aplikantów wyśmiałby na procesie nasze „poważne poszlaki”. Kategorycznie odmówił starań o ekstradycję Sto janowskiej.

Kazał szukać innych motywów. Najgorzej, że muszę mu przyznać rację.

Zgadzasz się ze „starym”?!

Przecież tak naprawdę nic nie wiemy. Irena mogła po prostu drapnąć z kochankiem. Postawiła męża w dość śmiesznej sytuacji, może uważała, że w ten sposób łatwiej wymusi zgodę na rozwód. A to, że wyjechała akurat w dniu morderstwa, mogło być zbiegiem okoliczności.

A pogróżki? - Antoni Szymanek nie dawał za wygraną.

Sam słyszałem przed paroma dniami, jak podporucznik Szymanek pijąc coca-colę w kasynie powiedział o kelnerce: „Ja tę babę kiedyś zamorduję, znowu przyniosła mi ciepłą butelkę”. I co, gdyby tę babę rzeczywiście ktoś zamordował, byłbyś pierwszym podejrzanym?

Więc co robimy dalej? Masz jakiś pomysł?

Pójdę do Dyrekcji Przedsiębiorstwa Robót Przemysłowych, a ty wybierzesz się na Tamkę do inżyniera Henryka Kowalskiego. Ale dopiero pojutrze. Jutro pójdziemy na pogrzeb Zygmunta Stojanowskiego.

Uważasz za słuszne porzekadło, że zbrodniarz zawsze wraca na miejsce swojej zbrodni albo przychodzi na pogrzeb swojej ofiary?

Coś w tym jest. Naturalnie nie zawsze, ale jak potwierdza milicyjna praktyka, przestępca rzeczywiście często uczestniczy w pogrzebie ofiary. Uważa, że samą obecnością na tych ceremoniach żałobnych odsunie od siebie podejrzenia. Albo też chce się przekonać, czy go nie podejrzewają. Zorientować się w klimacie panującym wokół jego osoby, jak na niego patrzą. Mówią, że taki facet chce się sprawdzić, czy potrafi zachować zimną krew w obliczu rodziny i znajomych. Gdybym był komendantem głównym MO to tam, gdzie chodzi o ofiary zbrodni, wszystkie pogrzeby kazałbym filmować!

Całe szczęście, że nie jesteś. Dopiero byśmy się mieli z pyszna!

Nie możemy filmować, ale na pogrzeb pójdziemy. Zjawimy się tam stosunkowo wcześniej i będziemy obserwować uczestników tej ceremonii. A także będziemy nastawiali ucha. Może usłyszymy coś ciekawego.

Przed kościołem na Powązkach panował duży ruch.

Z chwilą, gdy jedno nabożeństwo się kończyło, natychmiast grabarze ustawiali na katafalku następną trumnę i następny ksiądz wychodził odprawiać żałobne egzekwie. Można powiedzieć - „produkcja taśmowa”.

Mój Boże - zauważył podporucznik - gdyby mnie ojciec posłał do seminarium duchownego, nie martwiłbym się dzisiaj, skąd wziąć trzy tysiące pięćset złotych na nowe dżinsy. Takie, jakie wczoraj widziałem na Bazarze Różyckiego.

A nawet dobrze byłoby ci w sutannie - dorzucił Ciesielski. - Ale co z Hanką? Już nie mówiąc o tym tabunie dziewcząt sprzed małżeństwa.

Hanka mogłaby być moją gospodynią.

Zaraz cię zmartwię - śmiał się Andrzej. - O ile sobie przypominam wykłady prawa kanonicznego, gospodyni księżowska musi mieć skończone przynajmniej czterdzieści osiem lat.

Naprawdę? - przestraszył się Szymanek.

Raczej się nie myślę.

To nie zostanę księdzem.

Tymczasem zjawili się rodzice zmarłego w towarzystwie jakiejś przystojnej młodej kobiety. Nadchodziły także grupki osób nie znanych oficerom milicji. Przyszła pani Mierzejewska, a także pan Ksawery Rotocki. Kiedy gospodarz domu zauważył trzymających się nieco z boku obu milicjantów, natychmiast do nich podszedł i przywitał się jak ze starymi znajomymi.

Panowie służbowo?

Raczej nie. Po prostu pogrzeb „naszego nieboszczyka”, więc odprowadzamy go w ostatnią drogę. Czy to Irena Stojanowska, ta przystojna koło matki?

Nie. Ireny ciągle nie ma. Panowie już przestali ogłaszać w telewizji?

Nie ogłaszamy, bo nic nie pomogło.

U nas w kamienicy wszyscy mówią, że to ona go zaciukała i uciekła. Czy to prawda? - dopytywał się dozorca.

Bo ja wiem? - odpowiedział podporucznik.

Nie mamy na to najmniejszych dowodów. - Andrzej Ciesielski w dalszym ciągu nie wierzył w winę Ireny Stojanowskiej. - Ale kim jest ta młoda kobieta?

Barbara. Żona starszego brata. Przyjechała ze Śląska. Tylko ona. Ani rodzony brat, ani siostra nie zdobyli się na to, żeby zmarłemu oddać ostatnią przysługę. - W głosie Ksawerego Rotockiego wyraźnie zabrzmiało oburzenie.

Pod kościół podjechał duży autobus z napisem „Przedsiębiorstwo Robót Przemysłowych”. Z wozu wysiadło ze czterdzieści osób. Wyniesiono także dwa wieńce. Jeden nosił napis „dyrekcja”, drugi - „koledzy”. Zjawił się i główny księgowy, Stanisław Malinowski. Nie wszedł do świątyni, tylko spacerował po chodniku. Najwidoczniej czekał na kogoś. Rzeczywiście, w kilka minut później podjechała nysa. Wśród pracowników spółdzielni „Pomoc Bulowlanych” Ciesielski rozpoznał portiera i magazyniera. Portier trzymał wieniec, zaś Wiśniewski wręczył księgowemu wiązanek kwiatów, jakieś rachunki i pieniądze. Główny księgowy chwilę liczył, uznał, że wszystko się zgadza, schował rachunki do kieszeni, wziął wiązanek i skierował się do kościoła. Za nim kroczyli magazynier i portier z imponującym wielkością wieńcem.

Jako ostatni nadciągnęli dwaj panowie. Wyraźnie ciut, ciut zawiani. Forsując schody starszy tłumaczył:

Franek, jeżeli usłyszysz jak ktoś obszczekuje Irenę, że ona przekręciła Zygmunta, od razu zapraw z łba popaprańca, żeby mu chrupawki wyprysły.

Coś ty, ojciec - odpowiedział Franek. - Za to można dobrze w dołku pogarować.

- Za rodzinę nie hańba - tłumaczył senior Urbaniak. Obaj mężczyźni już mieli zniknąć za wrotami świątyni,

kiedy porucznik położył rękę na ramieniu starszego.

Chwileczkę, panie Urbaniak - powiedział.

Czego?

Jedno słówko. - Ciesielski pokazał trzymany w dłoni malutki kartonik granatowego koloru. Legitymację służbową oficera milicji.

Cóż to, milicja nie daje się nawet pomodlić za duszę zięcia? - stary nie kapitulował. - Jakim prawem?

Na modlitwy będziecie mieli jeszcze dużo czasu. A chyba lepiej tutaj parę słów zamienić, niż w tym „dołku”, o którym przed chwilą wasz syn wspominał.

To tak, żartowaliśmy - poddał się starszy Urbaniak.

Właśnie o to mi chodzi, żeby to były z waszej strony tylko żarty, bo ja dla odmiany żartować nie lubię. Żadnych rozrób.

Pan władza będzie spokojny.

A jeżeli macie jakieś podejrzenia, to proszę przyjść do Pałacu Mostowskich.

My nic nie wiemy - jednogłośnie odpowiedzieli ojciec i syn.

Nawet tego, gdzie jest Irena? Dlaczego nie ma jej na pogrzebie?

Ja tam jej nie pilnuję, jest dorosła.

Wyjechała na wczasy - rzucił Franek, który uznał widocznie, że nie należy się zbytnio stawiać milicjantom.

Dokąd?

Mówiła, że gdzieś w góry?

Z kim?

Pewnie z tym swoim frajerem, co się za nią ostatnio włóczył.

Tym z samochodem? Z volvo?

To nie volvo, a opel rekord.

A ten facet? Jak się nazywa?

Nie wiem. Widziałem go parę razy z Ireną, ale nigdy z nim nie gadałem.

To cudzoziemiec?

Też nie wiem. Chociaż samochód ma literę „S”. On mi co prawda na Szweda nie wygląda, no i słyszałem, że zagadywał do Ireny po polsku.

Gdzie?

W „Aidzie”. Taka kawiarnia na Placu Teatralnym. Ona tam ostatnio pracowała. Kiedyś poszedłem, bo chciałem pożyczyć pół kafła. Ale nie dała - stwierdził Franek z żalem - seciaka odpaliła. Ten facet siedział przy stoliku i słyszałem, jak mówił po polsku.

Dobrze czy tak jak cudzoziemcy, którzy się nauczyli naszego języka?

Nie, to Polak - kategorycznie stwierdził młody Urbaniak.

Jak wyglądał?

Niewysoki. Chyba niewiele wyższy od Ireny. Mnie to ledwie do ramienia. - Franek miał co

najmniej metr osiemdziesiąt wzrostu. - Szatyn, ale trochę wyłysiały. A na lewej ręce miał kotwicę.

Nad nadgarstkiem?

Tak. Niebieską. Widziałem dokładnie, bo siedział bez marynarki, we wdzianku z krótkim rękawem. Forsiasty facet. Kazał Irenie podać francuski koniak.

Ile mógł mieć lat?

Pan kapitan wie. - Franek na szelki wypadek, nie wiedząc z jaką milicyjną szarżą rozmawia, tytułował Ciesielskiego kapitanem. - W kiciu nikt nie młodnieje.

Porucznik uśmiechnął się. Niebieska kotwica na lewym nadgarstku, takim znakiem tatuowali się w więzieniu ci, którzy otrzymali wysoki wyrok, co najmniej pięć lat. Ale to nigdy nie było pewnym dowodem. Byle łobuz z powszechniaka mógł sobie coś podobnego zafundować, aby imponować koleżkom. Słowa Franka wyjaśniały jednak ważną rzecz. Jeżeli rysopis nieznanego został podany prawdziwie, ten człowiek nie mógł być zabójcą Stojanowskiego. Pani Bolecka kategorycznie twierdziła, że morderca był wzrostu wyższego niż przeciętny.

No cóż - powiedział Ciesielski - nie będę was dłużej zatrzymywać. Przecież chcecie się modlić. Tylko pamiętajcie moje słowa - żadnej rozróby.

Spokojna głowa, panie kapitanie - obaj Urbaniakowie natychmiast zniknęli za drzwiami kościoła.

Poszli również i obaj milicjanci. Nabożeństwo żałobne właśnie dobiegało końca. Dość spora świątynia pełna była ludzi. Z przodu siedzieli w pełnej żałobie starzy Stojanowscy wraz z synową. W drugim rzędzie, godnie, jak przystało na członków rodziny, zasiedli Urbaniakowie. Dalej wiele starszych osób. Na pewno przyjaciele seniora Stojanowskiego lub jego żony, a może dalsi krewni? Nie zabrakło i dewotek, które nie opuszczają żadnej tego typu uroczystości. Koledzy zmarłego stali pod filarami. Jak to zwykle bywa na tego rodzaju pogrzebach, prawdziwy smutek panował w sercach ludzi z pierwszego rzędu krzesel. Inni przyszli trochę z ciekawości, trochę z obowiązku, bo „tak wypada”. Trumna umieszczona na wysokim katafalku tonęła w kwiatach.

- Jak dobrze umierać we wrześnie - szepnęła jakaś paniusia stojąca tuż koło oficerów milicji. - Przynajmniej nieboszczykowi nikt kwiatów nie żałuje. Nie to, co w styczniu czy w lutym.

Egzekwia zostały odprawione, grabarze zdejmowali wiązanki i wieńce, wynosili je przez boczne drzwi na cmentarz. Po chwili zdjęli trumnę i tą samą drogą wynieśli ją z kościoła. Teraz podeszli koledzy zmarłego i wzięli ciężar na swoje barki. Przygotowany wózek wypełniono wieńcami. Kondukt ruszył w ostatnią drogę zmarłego. Pochód rozciągnął się w wąskiej uliczce pomiędzy pomnikami.

Tak się złożyło, że obaj oficerowie znaleźli się koło pana Malinowskiego, który szedł wraz z magazynierem Wiśniewskim.

Idę - powiedział główny księgowy - i tak sobie myślę, czy też w tym tłumie jest ten, kto to zrobił?

Na pewno - potwierdził magazynier. - Zabójca zawsze przychodzi na pogrzeb.

A inżynier Henryk Kowalski jest także tutaj? Pan Malinowski rozejrzał się wokoło.

Widziałem go w kościele. Ale tutaj nie widzę.

Idzie z tyłu, za nami. Tam, w tej grupce - to mówiąc Wiśniewski pokazał kilku ludzi znajdujących się o cztery rzędy za nimi.

Który to?

Ten wysoki z jasną czupryną.

Ciesielski ukradkiem obserwował Kowalskiego. Wysoki, szczupły, w niebieskich dżinsach. Zupełnie jak ten, którego opisywała pani Bolecka.

Nad otwartym grobem ksiądz szybko wyśpiewał odpowiednie modlitwy i jeszcze szybciej zdjął białą komżę. Prawie biegiem podążył z powrotem w stronę kościoła, gdzie czekał na niego następny nieboszczyk.

W imieniu Przedsiębiorstwa Budownictwa Przemysłowego żegnał Zygmunta Stojanowskiego jeden z kolegów inżynierów. Padały zwykłe w takich wypadkach frazesy. Nawet ten o „śmierci na posterunku”. Przemówienie miało jedną zaletę. Nie było długie.

Następnie grabarze zręcznie spuścili trumnę na pasach na dno mogiły. Jeden wziął na szpadel szczyptę ziemi i podał stojącym nad grobem rodzicom zmarłego, żeby - jak każe tradycja - rzucili pierwsi piasek na trumnę. Za przykładem Stojanowskich poszli i przyjaciele Zygmunta. Z głuchym łoskotem grudy ziemi padały na drewniane wieko trumny.

Teraz jeden z grabarzy wskoczył do dołu. Inni podawali mu cegły i cement. Z dużą wprawą, bardzo szybko zostało zamurwane ostatnie miejsce spoczynku człowieka, któremu przed tygodniem zdawało się, że ma całą przyszłość przed sobą.

Po zamurowaniu krypty grabarze łopatami zsunęli na nią żółty powązkowski piach, uformowali mogiłę. Jeden z nich zatknął w głowach grobu metalową tabliczkę zdjętą przedtem z trumny. Inni układali wieńce; barwne kwiaty wkrótce zakryły całą mogiłę.

Do państwa Stojanowskich podchodzili teraz znajomi i przyjaciele. Składali im kondolencje. Pierwsi byli naturalnie obaj panowie Urbaniakowie, którzy - oficerowie milicji musieli to przyznać - zachowywali się bez zarzutu. Kondolencje złożył również Henryk Kowalski, zaraz potem skierował się w stronę piątej bramy Cmentarza Powązkowskiego, najbliższego wyjścia na ulicę.

Obaj milicjanci podążyli za nim. Szedł sam, nie domyślając się, że jest pod obserwacją. Po wyjściu na ulicę Powązkowską Kowalski podszedł do zaparkowanego tutaj wartburga. Oficerowie zbliżyli się i porucznik Ciesielski zaproponował: - Może by pan nas podrzucił do miasta?

Kowalski spojrzał na nieznajomych nieco zdziwiony. Ale musiał ich zauważyć w grupie żałobników, bo odpowiedział grzecznie: - Proszę bardzo. Zaraz otworzę drzwi. A dokąd panów podwieźć? Bo ja jadę na Tamkę.

- Do Pałacu Mostowskich.

Po twarzy inżyniera przebiegł cień, ale szybko się opanował. - Rozumiem. Jestem aresztowany?

- Broń Boże - odpowiedział porucznik Ciesielski. - Po prostu chcieliśmy z panem porozmawiać, a uważamy, że lepiej będzie nie wzbudzać ciekawości przysyłaniem panu wezwania do biura lub do domu. A sam pan rozumie, że prowadząc dochodzenie w sprawie o morderstwo nie mogliśmy pominąć i pańskiej osoby.

Henryk Kowalski nie uczynił żadnej uwagi. Otworzył przednie lewe drzwi auta, następnie zwolnił zamek prawych tylnych, usiadł za kierownicą i uruchomił silnik. Obaj oficerowie zajęli miejsca z tyłu wozu. Samochód szybko przebył niezbyt wielką odległość dzielącą cmentarz od Stołecznej Komendy MO.

Bez alibi

Tym razem porucznik Andrzej Ciesielski postanowił przesłuchać inżyniera Henryka Kowalskiego zgodnie ze wszystkimi wymogami prawa. Z uprzedzeniem o obowiązku mówienia prawdy, o tym, że fałszywe zeznania są surowo karane, a także z pisaniem protokołu. Przy maszynie zasiadł podporucznik Antoni Szymanek. Kiedy ustalono personalia świadka,] padło pytanie:

Jak długo znał pan Zygmunta Stojanowskiego?

Poznałem go jeszcze na Politechnice. Byłem wprawdzie starszy od niego i skończyłem studia trzy lata przed nim, ale razem wiosłowaliśmy w AZS-ie. Nawet w jednej osadzie w wyścigu ósemek Politechnika - Uniwersytet Do tej pory mam gdzieś dyplom za wygranie tego tradycyjnego biegu.

Przyjaźniliście się?

To chyba za mocne słowo. - Kowalski zeznawał spokojnie i nie zdradzał większego zdenerwowania. - Po prostu byliśmy dobrymi kolegami. Po skończeniu studiów zaczęłem się w spółdzielni „Pomoc Budowlanym”. Dość szybko awansowałem. Kiedy Zygmunt skończył „polibudę”, ściągnąłem go do siebie. Postarałem się, aby dostał jak najlepsze warunki pracy, a także namówiłem go na ciekawą robotę - ulepszenie płynu do smarowania form przy betonowaniu.

To wiksyl jest wynalazkiem Stojanowskiego?

Oczywiście, że nie. Takie płyny są znane na świecie od dobrych pięćdziesięciu lat, chociaż w Polsce zaczęto je stosować na większą skalę dopiero po wojnie. Natomiast jego zasługą jest pewien pomysł racjonalizatorski - dodawanie do wiksylu sproszkowanego kwarcu. A właściwie nie kwarcu, lecz całej mieszanki różnych składników.

- Wiem. Zeosilu. Takiego białego proszku. Słyszac słowo zeosil podporucznik przypomniał sobie

przygodę starszego kolegi i z trudem powstrzymał się od śmiechu.

Tak, zeosilu. - Inżynier nie mógł ukryć zdziwienia, że oficerowie milicji tak dobrze orientują się w tajnikach produkcji przemysłu budowlanego.

Później - powiedział Ciesielski - wasze dobre stosunki podobno bardzo się popsuły. Od przyjaźni doszło do jawnej wrogości. Czy to prawda?

Prawda - niechętnie przyznał Kowalski.

Może pan powie coś więcej na ten temat?

Stojanowski zrobił mi świństwo.

Jakie?

To ja go wciągnąłem do spółdzielni i przy każdej sposobności pchałem w górę. Kiedy zostałem wiceprezesem, postarałem się o awansowanie Zygmunta na głównego technologa. W zamian za to doczekałem się jawnej niewdzięczności. Stojanowski zaczął kopać pode mną dołki. Widocznie chciał zająć moje stanowisko. Zaczęły się najrozmaitsze intrygi wokół mojej osoby. Buntowano: nie tylko personel biurowy, ale nawet robotników. Takie rozgrywki były poniżej mojej godności i po prostu pewnego dnia plunąłem na wszystko i odszedłem ze spółdzielni. Przeniósłem się na Tamkę do biura projektowego. Mam tam i lepszy zarobek i miłą koleżeńską atmosferę w miejscu pracy. Od tamtej pory nie miałem nic i wspólnego z panem Stojanowskim.

- A z panią Stojanowską?

Inżynier zaczerwienił się. Było to widoczne nawet mimo opalenizny.

Pani Stojanowskiej nie widziałem od dnia jej ślubu.

Ejże?

Kowalski zaczerwienił się jeszcze bardziej.

Przypominam sobie - powiedział z ociąganiem - że i panią Stojanowską spotkałem potem raz przypadkowo na Krakowskim Przedmieściu. Weszliśmy na kilka minut do kawiarni. Zdaje się, że ten lokal nazywa się „Telimena”. Na rogu Krakowskiego Przedmieścia i Koziej.

Cieszę się, panie Kowalski - zauważył ironicznie porucznik - że pamięć panu wraca. Proszę nie tylko o mówienie prawdy, ale i o nie przemilczanie niczego. My już i tak dużo wiemy. Przypominam, że to sprawa o morderstwo, panie inżynierze.

Ja nie zabiłem Stojanowskiego.

Nie stawiam panu takiego zarzutu. Ale tym bardziej wymagam mówienia prawdy.

Kowalski milczał przez długą chwilę.

Przecież wiecie - powiedział wreszcie. - Irena była moją dziewczyną. Byłem nią bardzo zainteresowany.

Chciał się pan z nią żenić?

No... nie. Mam żonę i dwoje dorastających dzieci. - Kowalski zmieszał się wyraźnie.

- Rozumiem - uśmiechnął się porucznik. - A co na to Stojanowski?

Wszyscy w zakładzie wiedzieli o naszym układzie. Irena zresztą wcale się z tym nie kryła. Przeciwnie, imponowało takiej prostej dziewczynie, że zajął się nią człowiek zasiadający w zarządzie spółdzielni. Na pewno liczyła, że dzięki temu zrobi karierę w zakładzie. Nie omyliłaby się zresztą. Nie była głupia i mogłem ją powoli przesuwac w górę, aż do kierownika produkcji.

Bez wykształcenia technicznego?

Kowalski roześmiał się z tej uwagi jak z trafego żartu. - Widać, że pan porucznik nie zna stosunków w spółdzielczości pracy. Tam zdarzają się nawet prezesi z niepełnym podstawowym. Dopiero ostatnio stawia się większe wymagania.

A wracając do Ireny - przerwał porucznik.

Wszystko było dobrze między nami, dopóki tej dziewczyny nie zauważył Stojanowski. W naszej spółdzielni nie brakowało kobiet. Młodych i przystojnych. A także chętnych do nawiązania bliższej znajomości z wyższym personelem technicznym. Zresztą Zygmuntowi jako mężczyźnie nie można było nic zarzucić. Mógł się i bez zajmowania eksponowanego stanowiska spodobać niejednej dziewczynie. Ale on, drań, wystartował prosto do Ireny, chociaż wiedział, że to moja sprawa.

Dlaczego więc Irena wybrała jego zamiast pana? Przecież siłą jej nie porwał.

Dlaczego? Dobre sobie! Wiedział, że ja nie mogę się z nią ożenić i dlatego zagrał na tej nucie. I wygrał.

Pan wielokrotnie odgrażał się Stojanowskiemu. - Porucznik strzelił na ślepo.

Odgrażałem się - spokojnie przyznał Kowalski. - Byłem wściekły na niego i na nią. Niewdzięcznica. Mało to forszy w nią władowałem? Wtedy, kiedy ją poznałem w zakładzie, była zwykłą dziwą z Targówka. Z dwiema lewymi nogami. Ani się ruszać, ani gęby otworzyć, już nie mówiąc o zachowaniu się w lokalu czy prawidłowym trzymaniu widelca i noża. Ja ją pierwszy zaprowadziłem do Bristolu, do Grandu, do „Kamieniołomów”. Dosłownie oszlifowałem tę dziewczynę. Słyszałem, że teraz zrobiła się z niej urocza kobieta. A komu to zawdzięcza?

Chyba przede wszystkim własnej urodzie - odpowiedział Ciesielski.

Uroda to diament bez oprawy. Ja jej dałem tę oprawę. A Zygmunt przyszedł na gotowe i sprzątnął mi dziewczynę sprzed nosa. Miałem być z tego zadowolony? Odgrażałem się mu nieraz. Mówiłem, że mu kości poprzetrącam. Robiłem wszystko, żeby mu w spółdzielni życie „obrzydzić”. Przyznaję się nawet do tego, że napuściłem na niego robotników. Ale nigdy, w największej złości, nie groziłem, że go zabiję. Zresztą naprawdę to nawet palcem go nie tknąłem. Wkrótce drogi nasze się rozeszły, bo on znalazł pracę przy budowie Trasy Łazienkowskiej, a ja przeniósłem się do biura projektów. Od tamtej pory nie przypominam sobie, żebym go przypadkiem spotkał na ulicy.

A Irenę Stojanowską?

Kiedy już ochłonałem z pierwszego gniewu, żal mi się zrobiło dziewczyny. Zatelefonowałem do niej i poprosiłem o spotkanie. Trochę się droczyła, w końcu jednak umówiliśmy się w tej „Telimienie”. Przyszła, ale nic z tego nie wyszło.

Dlaczego?

Odegrała przede mną rolę zakochanej w mężusiu żoneczki. Cały czas szczebiotała „Zygmus to... Zygmus tamto...”. Diabli mnie brali, jak się zgrywa.

Może rzeczywiście była w nim wtedy zakochana?

Coś pan! - Inżynier z oburzeniem spojrział na obu oficerów. Jak mogli nawet przez moment przypuszczać, że ktoś mając do wyboru jakiegoś tam Stojanowskiego i pana Henryka Kowalskiego wybierze tego pierwszego!

Nie chciała się ze mną widywać - dodał inżynier - i w końcu machnąłem na nią ręką. Nie będziesz ty, to będzie inna, pomyślałem. Całe szczęście, że tego towaru w Polsce nie brakuje.

A następne pana spotkania z Ireną?

Inżynier zawahał się, ale w końcu uznał, że tym dwóm młodym ludziom, którzy tyle wiedzą, nie uda się zmydlić oczu i postanowił mówić prawdę.

Ktoś ze znajomych powiedział mi, że Stojanowska jest kelnerką w kawiarni w „Grand Hotelu”. Postanowiłem się przekonać, czy to prawda i przy okazji tam zaszedłem. Naturalnie, nie sam. Z pewną przystojną panią, żeby widziała, że nie umarłem z rozpacz po niej.

Rozumiem - uśmiechnął się porucznik. Ten „Don Juan dla ubogich” zaczynał go naprawdę bawić. - Rozmawiał pan z nią?

Nie. Tyle co z kelnerką. Zamówiłem kawę, wino i tort. Ale widziałem - Irenie było nieprzyjemnie, że nas musi obsługiwać.

A później?

To już naprawdę było zupełnie przypadkowo - zastrzegł się Kowalski. - Byłem na konferencji w pewnym przedsiębiorstwie przy Placu Teatralnym i przechodząc zobaczyłem nowo otwartą kawiarnię „Aida”, a w niej Irenę. Wtedy wstąpiłem na kawę.

Jak dawno to było?

Chyba ze dwa tygodnie temu. W biurze, w moim kalendarzu, mam zapisany dokładny termin. Jeżeli pana ciekawi, będę mógł to podać z dokładnością co do godziny.

Rozmawiał pan ze Stojanowska?

Rozmawiałem. Powiedziała mi, że się rozwodzi z Zygmuntem, ale on uparł się i nie chce dać zgody. Miała jednak nadzieję, że to załatwi. Mówiła także, że ma bogatego narzeczonego, z którym w najbliższym czasie wyjeżdża na parę tygodni za granicę.

Mówiła dokąd?

Tak. Na Riwierę Francuską. Zdziwiłem się, bo przecież to bardzo drogie wczasy. Trzeba mieć sporo dewiz. Ale ona opowiadała, że jej narzeczonego robi jakieś wielkie interesy na Wybrzeżu. Wspominała, że ma piękny zielony samochód. Rzeczywiście, w czasie naszej rozmowy jakiś młody człowiek zajechał takim oplem rekordem pod kawiarnię. Irena zaraz do niego pobiegła. Zapłaciłem za kawę i wyszedłem z lokalu. To było nasze ostatnie spotkanie.

Jak wyglądał ten człowiek?

Tak na oko, miał chyba około trzydziestki. Ale twarz dość zniszczona. Niewysoki, szczupły. Włosy ciemne, a czoło wybitnie podwyższone, dochodzące prawie do czubka głowy. Nos lekko załamany. Oczy ciemne. W ogóle facet trochę wymoczkowaty. Nie wiem, co Irena w nim widzi? Chyba te pieniądze, o których wspomniała.

Czy Stojanowska mówiła, kiedy wyjeżdża? Precyzowała termin wyjazdu?

Nie. Powiedziała mi jedynie, że „w najbliższym czasie”. Byłem zdziwiony tą demonstracyjną jej nieobecnością na dzisiejszym pogrzebie. Darli ze sobą koty, rozwodzili się, ale elementarna przyzwoitość nakazywała jednak wziąć udział w tej uroczystości. Bądź co bądź formalnie byli

jeszcze małżeństwem. Przecież na pewno nie wyjechała za granicę!

Tak pan sądzi? - Ciesielski nie zdradzał, że wie o wyjeździe Ireny do Austrii.

Jestem tego pewien. Nie dalej jak wczoraj widziałem, tego jej wymoczka w barku w „Bristolu”. Siedział tam z jakąś dość przystojną dziwą. Zaś zielony opel stał zaparkowany na ulicy Karowej. Od razu poznałem zarówno jego, jak i ten wóz. Nawiasem mówiąc, samochód jest znacznie ciekawszy niż jego właściciel.

Czy pan zauważył rejestrację wozu?

Tak. Zastanowiło mnie, że facet jeździ szwedzkim samochodem. Ale ponieważ jest z Wybrzeża, mógł go kupić od jakiegoś Szweda, któremu właśnie zabrakło forsy na szampana czy na tamtejsze mewki. Podobno zdarzają się okazje, że można nabyć doskonały wózek za psie pieniądze. Wprawdzie przy przerejestrowywaniu trzeba zapłacić spore cło, ale to i tak się zwykle opłaca.

Nie będziemy jednak rozmawiali o samochodach - przerwał porucznik - a o morderstwie. Stojanowski nie zginął w wypadku ulicznym, lecz pozbawiono go życia uderzeniem w tył głowy. Komuś z jakichś powodów zależało na tym, żeby tego człowieka usunąć z grona żyjących. Co pan może powiedzieć na ten temat?

Tyle tylko, że nie ja go zabiłem.

A kto to zrobił i dlaczego?

Czy ja wiem? Zygmunt był człowiekiem trudnym we współpracy. Można powiedzieć, że jak rzadko kto miał wybitny talent do robienia sobie wrogów.

Dlaczego?

Był bardzo wymagający. Poza tym pedant. Nigdy nie szedł na najmniejsze kompromisy. Nie wyobraża pan sobie, poruczniku, ilu on ludzi wyrzucił ze spółdzielni. I to przy tym braku rąk do pracy, przy bardzo napiętych planach. Niech tam robotnik coś spartolił, zrobił sobie „bumelkę”, spóźnił się kilka razy albo został złapany w czasie pracy pod budką z piwem, od razu musiał iść za bramę. Nie raz i nie dwa tłumaczyłem Stojanowskiemu, że główny technolog w spółdzielni powinien być trochę dyplomatą i umieć w odpowiednim momencie przymykać jedno oko. Inaczej nigdy planu nie wykona. Nic nie pomagało. Zygmunt twardo odpowiadał, że on w pracy nie będzie tolerował brakorobów i bumelantów. Przecież swoją najdroższą potrafił wyrzucić z roboty, bo ją złapał, że zamiast pilnować mieszalnika właśnie spoglądała w lusterko i malowała sobie oczy. A zrobił to już wtedy, kiedy - jak to się mówi - „byli po słowie” i termin wyznaczyli. Nawet miałem nadzieję, że Irena wycofa się z tej afery. Ale ona należy do twardych zawodniczek. Kiedy trzeba, umie obrażę schować w kieszeń... Zygmunt był bardzo nie lubiany przez załogę, chociaż o dobrych pracowników umiał się wyklócić i dawał ludziom zarobić.

A konkretnie, czy zdarzyło się coś drastycznego?

Tak. Z majstrem Walentowskim. To było po ślubie Zygmunta. Doszło do jakiegoś błahego zatargu pomiędzy majstrem a inżynierem. Walentowski, dobry pracownik, ale o ostrym języku, nie spełnił jakiegoś polecenia Zygmunta, zasłaniając się zresztą moim zarządzeniem. W złości odszczeknął inżynierowi, żeby obaj szwagrowie między sobą rzecz uzgodnili, a dopiero później mieli pretensje do ludzi. Zygmunt natychmiast zdjął majstra z roboty i zażądał wylania go z pracy. To nie było sprawiedliwe i Walentowski odgrażał się inżynierowi.

Tak jak i pan - zakonkludował porucznik.

Tak samo - przyznał Kowalski - ale moje pogróżki, o tym każdy wiedział, były czekiem bez pokrycia. Co innego groźby Walentowskiego. Ludzie z Bródna i Annapola nie rzucają takich słów na wiatr. Wiem także, że rodzina Ireny również odgrażała się inżynierowi, że zadziera nosa i nie chce ich znać. Oni mogli w ten sposób po prostu pomóc Irenie w otrzymaniu upragnionego rozwodu. Niech

się pan spyta dzielnicowego, jaką opinią cieszą się Urbaniakowie na Targówku.

Zygmunt Stojanowski został zamordowany we wtorek czternastego września około godziny siódmej wieczorem. Co pan w tym dniu robił?

Nie prowadzę pamiętnika - odpowiedział inżynier. - Radziłbym jednak przypomnieć sobie. Byłem w pracy jak zwykle.

Do której?

Chyba do prawie piątej, bo wykańczałem projekt.

A później?

O szóstej umówiłem się z jedną panią w kawiarni.

Z kim i gdzie?

W „Nowym Świecie”. Wolałbym przemilczeć nazwisko tej pani. To koleżanka z pracy. Mieliśmy zjeść kolację i iść do niej. Ale ona tylko zajrzała do kawiarni i wyjaśniła, że jakaś jej kuzynka niespodziewanie przyjechała do Warszawy. Nici wyszły z naszego spotkania, więc poszedłem do kina.

Do którego? Każde słowo muszę z pana wyciągać.

Do „Skarpy”. Na drugą część „Ojca Chrzestnego”.

Sam?

Tak, sam.

Nie zauważył pan w kinie kogoś znajomego?

Nie.

A może służba, bileterzy tam pana znają.

Nie. Prawie nigdy nie chodzę do tego kina. Wtedy, poszedłem, bo było najbliżej.

Jednym słowem, nie ma pan alibi. Może chociaż bilet panu został?

Wyrzuciłem po wyjściu z kina.

Tym gorzej dla pana.

Gdybym się spodziewał podejrzenia mnie o morderstwo, poszedłbym do kina w towarzystwie dwóch świadków i notariusza. Jeszcze raz powtarzam panu, że ja nie zabiłem Zygmunta.

A ja jeszcze raz stwierdzam, że nigdy nie postawiłem panu takiego zarzutu. Jest pan przesłuchiwany w charakterze świadka. Skoro jednak nie ma pan żadnego alibi, pańskie położenie mocno się pogarsza.

Nic na to nie poradzę - Henryk Kowalski rozłożył ręce.

Na tym na razie skończymy. Proszę podpisać protokół. Na każdej stronie u dołu. Gdyby pan sobie przypomniał coś ważnego, proszę się z nami skomunikować.

Powiedziałem wszystko, co wiedziałem.

Dziękuję panu. Na dole będą uprzedzeni o pana wyjściu z gmachu komendy.

Inżynier wyszedł z pokoju, zaś podporucznik Szymanek zauważył: - Ten człowiek nie ma alibi, a jego wygląd doskonale pasuje do tego, co zapamiętała pani Maria Bolecka, jedyny świadek, który widział mordercę.

Zauważyła, że to człowiek wysokiego wzrostu, a takich jest w Warszawie przynajmniej sto tysięcy. A tych bez alibi na krytyczną godzinę także by się zebrało kilkanaście tysięcy osób.

Nie nabrałem o nim zbyt wysokiego mniemania.

Zgadzam się, że pan Henryk Kowalski nie jest świetlaną postacią, ale daj mi motyw zbrodni. Przecież nie te stare kłótnie sprzed trzech lat o dziewczynę, którą zresztą obaj stracili. Stojanowski

nawet zapłacił wyższą cenę niż Kowalski.

Wszystko rozbija się o ten motyw - stwierdził z żalną miną podporucznik. - Prowadzimy dochodzenie prawie tydzień i nie posunęliśmy się naprzód nawet o malutki krok. Zaczynam się coraz bardziej obawiać, że „stary” nas obu wyleje z milicji na zbitą mordę.

Będiesz mógł wtedy zostać księdzem, o czym dzisiaj marzyłeś.

Zapominasz o Hance.

W grecko-katolickim obrządku celibat obowiązuje tylko przy wyższych stopniach kapłańskich. A zwykli proboszczowie mogą mieć żony - pocieszał Andrzej przyjaciela. - Ale zanim nas wyleją, będziesz musiał sprawdzić tego majstra Walentowskiego, chociaż nie wierzę, żeby to przyniosło jakieś pozytywne rezultaty. A także alibi obu panów Urbaniaków. Musimy również odszukać człowieka z zielonym oplem. Obawiam się, że to ostatnie zadanie będzie najtrudniejsze.

Wbrew obawom porucznika znalezienie „pana z oplem” okazało się znacznie łatwiejsze, niż to sobie Ciesielski wyobrażał. W ciągu godziny wszystkie milicyjne radiowozy krążące po Warszawie otrzymały polecenie szukania zielonego opla rekorda ze szwedzką rejestracją. Miano zatrzymać wóz pod jakimkolwiek pozorem, wylegitymować kierowcę, ze szczególnym zwróceniem uwagi na miejsce jego zamieszkania, zarówno w Warszawie, jak i ewentualnie na Wybrzeżu. Podano także przypuszczalny rysopis kierowcy.

Nie upłynęły nawet dwie godziny i porucznik dostał wiadomość od jednego z patroli. Meldunek podawał szczegółową rejestrację samochodu, nazwisko jego właściciela, niejakiego Erika Jonssona zamieszkałego w Malme, a także nazwisko i adres aktualnego użytkownika wozu. Był nim Marian Zalewski zamieszkały w Gdyni przy ulicy Świętojańskiej. Zalewski przebywał czasowo w Warszawie. Początkowo zatrzymał się u swojej siostry, a od czternastego września gościł w pensjonacie przy ulicy Brackiej w pokoju stale zajmowanym przez Helmuta Schulza, obywatela austriackiego, który wyjechał na kilka tygodni do Wiednia i odstąpił swoje pomieszczenie przyjacielowi.

Jeszcze tego samego dnia nadano z Warszawy telegram do milicji gdańskiej z prośbą o informacje o Marianie Zalewskim, a podporucznik Szymanek odwiedził Gmach Sądów przy ulicy Świerczewskiego i w Rejestrze Karnym bez trudu odszukał kartę „człowieka z oplem”. Znalazł w niej sporo ciekawych informacji, chociaż zapisano je wyłącznie cyframi - data wyroku, artykuł kodeksu karnego i wysokość wymiaru kary.

Natomiast inne poszukiwania skończyły się fiaskiem. Edward Walentowski był wprawdzie zameldowany na Bródnie przy ulicy Piotra Skargi, ale od dwóch lat znalazł sobie zajęcie w Przedsiębiorstwie Poszukiwań Naftowych i pracował przy wierceniu w Województwie Białostockim, gdzieś pod Sokółką. Jeden telefon wyjaśnił, że ślusarz Walentowski był w dniu czternastego września cały dzień w pracy, a wieczorem w swoim barakowozie.

Najlepsze alibi mieli obaj panowie Urbaniakowie. Gdy gasili pragnienie w pewnej knajpce przy ulicy Radzywińskiej, doszło do „lekkiego nieporozumienia towarzyskiego”. Przyjechała milicja i cała zacna kompania wieczór i noc spędziła w dzielnicowym areszcie.

Kobieta z walizką

Przez cztery dni obaj oficerowie powtórnie przesłuchali wszystkich świadków. Niestety, niczego nowego się nie dowiedzieli. Rozmowa z kierownikiem działu personalnego nie wniosła niczego do sprawy. Nie doszło wprawdzie jeszcze do spotkania z bezpośrednim zwierzchnikiem Zygmunta Stojanowskiego, inżynierem Januszem Adamczykiem, gdyż wyjechał on służbowo do

Czechosłowacji, gdzie jego firma chciała wygrać przetarg na budowę fabryki kwasu siarkowego, sądząc jednak z wypowiedzi „personalnego” i ta rozmowa nie wróżyła postępów w śledztwie.

Pułkownik Adam Niemiroch, naczelnik wydziału zabójstw, nie spełnił przepowiedni Antoniego Szymanka i nie „wylał na zbitą mordę” obu oficerów. „Stary” nie ukrywał, że nie jest zadowolony z postępów śledztwa, ale musiał przyznać, że prowadzone było z wielką energią. Nie pominięto żadnego najmniejszego szczegółu. A że nie było rezultatów? Zebrany materiał okazał się zbyt szczupły, żeby mogły być. Sprawa nie ruszyła z miejsca, bo nadal brakowało motywów tego tajemniczego zabójstwa. Chyba żeby przyjąć mało prawdopodobną tezę, iż zbrodnię zainspirowała żona Stojanowskiego, Irena, która - jak wiadomo - tego samego dnia uciekła za granicę razem z obywatelem austriackim, Helmutem Schulzem.

Schulz był przedstawicielem na Polskę wielkiej austriackiej firmy. Większą część roku przebywał w Warszawie; mieszkał w pensjonacie na rogu Brackiej, Szpitalnej i Hibnera, w domu, w którym mieści się popularna kawiarnia „Szwajcarska”. Austriak władał dość dobrze językiem polskim. W Ministerstwie Handlu Zagranicznego i w polskich centralach importowych znano go doskonale. Cieszył się tam opinią człowieka poważnego i solidnego. Nasi handlowcy ze śmiechem odrzucili podejrzenia milicji, że mógłby być zamieszany w jakąkolwiek aferę kryminalną, a cóż dopiero w morderstwo.

Austriak pertraktował właśnie w sprawie zawarcia kontraktu dotyczącego eksportu maszyn budowlanych do Iraku. Warunki umowy zostały już uzgodnione z irańskimi firmami, chodziło jedynie o dopracowanie szczegółów współpracy polsko-austriackiej. Panu Schulzowi ogromnie zależało na sfinalizowaniu tej największej dotychczasowej jego transakcji, dlatego też udał się do swoich pracodawców w celu ostatecznego uzgodnienia kontraktu. Zarówno o jego wyjeździe, jak i o dacie powrotu do Warszawy, a miało to nastąpić mniej więcej za miesiąc, polskie koła handlowe były powiadomione.

Odpowiednie nasze centrale handlowe utrzymywały prawie codzienny kontakt telefoniczny z Austriakiem lub z jego wiedeńskimi pracodawcami.

W tej sytuacji rzeczywiście wyglądało na to, że Helmut Schulz jest poza wszelkimi podejrzeniami. Fakt, że ten człowiek znał Irenę Stojanowską, bywał w kawiarni „Aida” a także wyjechał z Warszawy tym samym pociągiem co żona zabitego, mógł być zwykłym przypadkiem. Zresztą Schulz dowiedziawszy się, że piękna kobieta wybiera się do Austrii mógł dostosować swój wyjazd do jej projektów. Po prostu dlatego, żeby mieć w drodze sympatyczne towarzystwo z widokami na flirt nad Dunajem.

Jedyną podejrzaną pozostawała nadal Irena Stojanowska, chociaż prowadzący śledztwo jakoś nie mogli uwierzyć w jej winę.

Kiedy równo w dwa tygodnie po zabójstwie Zygmunta Stojanowskiego porucznik Andrzej Ciesielski wchodził rankiem do gmachu Stołecznej Komendy MO, zatrzymał go podoficer dyżurny.

Obywatelu poruczniku - meldował - od szóstej czeka na was jakaś kobieta. Proponowałem jej, żeby przyszła po ósmej, ale ona wolała siedzieć w poczekalni.

Która to? - Porucznik ciekawie zerknął w głąb poczekalni, gdzie na stojących pod ścianą krzeselkach siedziało sporo osób.

Ta z dużą walizą.

Mówiła, jak się nazywa?

Nie. Oświadczyła, że sprawa pilna i że musi was jak najprędzej zobaczyć.

Kobieta siedziała bokiem, Ciesielski zdołał zobaczyć tylko część jej głowy. Natomiast waliza stała na widoku i rzeczywiście była potężnych rozmiarów.

- Znała moje nazwisko?

Tak. Od razu powiedziała, że chce się widzieć z porucznikiem Ciesielskim.

W jakiej sprawie? Wspominała?

Powiedziała, że w sprawie zabójstwa na Wilczej i że obywatel porucznik prowadzi śledztwo.

Ciesielski jeszcze raz spojrzął w kierunku otwartych drzwi poczekalni, ale kobieta ciągle była odwrócona w stronę okna. Czyżby Irena Stojanowska? Walizka świadczyła, że to właśnie ona, i to bezpośrednio z wiedeńskiego pociągu.

Sierżancie - zdecydował oficer - za dziesięć minut pošlijcie ją do mnie na górę. Ale przedtem zapytajcie o nazwisko i zatelefonujcie.

Zrobi się. - Sierżant Paciorek mający za sobą przeszło dwadzieścia lat pracy w milicji, odnosił się dość poufale do dużo młodszych od niego oficerów. - Czy z walizką? Czy też ma ją zostawić w mojej dyżurce?

Niech będzie z walizką. Bomby ani broni na pewno tam nie ma.

Tym razem, ku zdziwieniu Andrzeja, podporucznik Szymanek siedział za swoim biurkiem i pilnie wykańczał notatkę służbową z wczorajszej rozmowy z „personalnym” Przedsiębiorstwa Budownictwa Przemysłowego.

Chory jesteś, Antek? - zdziwił się Ciesielski.

Dlaczego?

Za dziesięć ósma, a ty już w pracy. Od dawna to się nie zdarzyło.

Zapomniałeś, że Hanka wczoraj wróciła z urlopu? Całe wiadro wody wylała mi rano na twarz. Ściągnęła kołdrę i otworzyła okno. Musiałem wstać.

Zadzwoił telefon. Andrzej podniósł słuchawkę.

Obywatelu poruczniku - meldował z dołu sierżant Paciorek - zgłosiła się obywatelka Irena Stojanowska.

Niech ją ktoś przyprowadzi do mnie na górę.

Tak jest. Przyjdzie z kapralem Niedzielskim.

To szlagier! - entuzjasmował się podporucznik. - Jednak wróciła! Ciekaw jestem, jak wygląda i co nam powie?

Zaraz zobaczymy i zaraz posłuchamy. - Ciesielski był równie zaciekawiony, chociaż nie dawał tego poznać po sobie.

Za chwilę w drzwiach stanęła wysoka kobieta. Rude włosy, duże zielone oczy, rysy twarzy jakby żywcem skopiowane z jakiejś kamei renesansowego malarza. Figura i nogi bez zarzutu. Nikt, kto opisywał oficerom milicji Irenę Stojanowską jako piękność, nie skłamał ani nie przesadził nawet na jotę.

Chciałam mówić z porucznikiem Andrzejem Ciesielskim.

To ja. Dobrze się składa, bo ja także z niecierpliwością na panią czekałam.

Wróciłam dzisiaj o piątej rano z zagranicy.

Wiem o tym. Z Wiednia - odpowiedział porucznik. A jak się miewa pan doktor Helmut Schulz?

Kobieta zaczerwieniła się. - Niech pan mi nie wspomina o tym łobuzie!

Aż tak - porucznik uśmiechnął się drwiąco.

Z dworca kolejowego pojechałam do domu. Zastałam na drzwiach mojego mieszkania milicyjne pieczęcie. Dozorca domu, pan Ksawery Rotocki, poinformował mnie o tragicznej śmierci męża i o tym, że pan prowadzi śledztwo w tej sprawie. Przyjechałam więc po klucze.

Klucze są rzeczywiście w moim posiadaniu - potwierdził Ciesielski - ale najpierw chciałbym z panią porozmawiać.

Domyślam się. Kiedy wysiadałam z taksówki zobaczyła mnie ta z pierwszego piętra i rozdarła się na całą kamienicę: „Morderczyni przyjechała”. Jakoś zdołałam się opanować i nie poszłam na górę. Ale tutaj słyszę, że nie tylko ona na tym koniu jedzie.

- Prowadzę sprawę o morderstwo. Zapewne panią już poinformowano, w jaki sposób zakończył życie jej małżonek? A tak się dziwnie składa, że żona Stojanowskiego rzekomo wyjechała na wczasy wędrownie w Bieszczady, a pomimo to widziano ją w Warszawie w dniu morderstwa. Co jeszcze dziwniejsze, w parę godzin po zbrodni doskonałej ta kobieta wsiadła do pociągu pośpiesznego jadącego do Wiednia. Chciałbym, aby pani nam wyjaśniła te wszystkie, wprost nadzwyczajne zbiegi okoliczności. Proszę, niech pani siada. Nie będziemy przecież rozmawiali na stojąco.

Irena Stojanowska zajęła wskazane jej krzesło.

Słucham panią.

Jak już pan porucznik zapewne wie - zaczęła piękna pani - moje małżeństwo z Zygmuntem Stojanowskim znajdowało się w stanie kompletnego rozkładu. Rozwód byłby najlepszym wyjściem w sytuacji. Niestety, przez zwykły upór mój mąż odmawiał wyrażenia zgody. Ja w rzeczywistości nie czułam się już żoną tego człowieka. Poznałam innego, znacznie bardziej wartościowego.

Pana Mariana Zalewskiego? - podpowiedział podporucznik Szymanek.

Panowie i o tym wiedzą? To doprawdy dla mnie wielki zaszczyt, że moja skromna osoba tak absorbuje funkcjonariuszy milicji.

Dziwi to panią?

Stojanowska nie podjęła zaczepki. - Postanowiliśmy wraz z moim narzeczonym, że jeżeli Zygmunt nie zgodzi się na rozwód, obejdziemy się i bez tego. Mój narzeczony mieszka na Wybrzeżu i umyśliliśmy, że po prostu nie wrócę do mieszkania na Wilczej. Najpierw wyjedziemy za granicę, a po powrocie do kraju osiedlę się w Gdyni. Chcąc uniknąć awantur z Zygmuntem Stojanowskim wyjaśniłam, że wyjeżdżam na wczasy wędrownie w Bieszczady. W ostatnim momencie mojego narzeczonego zatrzymały w kraju bardzo ważne sprawy. Ponieważ miałam już paszport i wykupione dewizy, wyjechałam sama, Marian miał dołączyć do mnie w Wiedniu.

- To się zgadza. Marian Zalewski nie otrzymał paszportu zagranicznego.

Piękna pani na znak zdziwienia uniosła nieco brwi, zaś podporucznik dorzucił: - Wyjechała pani w zamian w towarzystwie pana Helmuta Schulza. Prawda?

- Niech pan nie wspomina tej starej, grubej świni! - Stojanowska nie ukrywała wściekłości. - Schulz przyjaźnił się z Marianem. Robili razem jakieś wielkie interesy. Więc kiedy Zalewski nie mógł ze mną wyjechać, prosił przyjaciela, aby ten zaopiekował się mną w Wiedniu aż do przyjazdu Mariana nad Dunaj.

Ciesielski uśmiechnął się ironicznie.

Ten łobuz skończony po przyjeździe do Wiednia umieścił mnie w jakimś podejrzanym hoteliku na Wimpligergasse i z miejsca do mnie wystartował. Przez trzy dni udawało mi się to obracać w żarty, ale czwartego wpadł we wściekłość i zaczął wykrzykiwać, że nie po to zapłacił Zalewskiemu tysiąc dolarów, aby mnie oprowadzać po Schönbrunnie. A potem chciał wziąć siłą to, czego mu się nie udało dostać drogą zalotów i perswazji. Na szczęście nie natrafił na bezbronną i naiwną panienkę.

Tak? To bardzo interesujące - pozwolił sobie na małą złośliwość Antoni Szymanek. - Proszę, niech pani kontynuuje.

Złapałam walizkę, wrzuciłam do niej moje ciuchy na „łapu-capu” i dałam nura z tej nory. Całe szczęście, że kiedy pracowałam w „Grand Hotelu” poznałam tam bardzo sympatyczną panią z

Austrii. Dała mi wtedy swój wiedeński adres i prosiła o odwiedzenie przy okazji. Złapałam taksówkę i kazałam się zawieźć do tej Austriaczki. Bardzo serdecznie mnie przyjęła, a kiedy jej opowiedziałam o mojej przygodzie z Schulzem, aż się za głowę złapała. Wstyd jej było za takiego rodaka.

Dziesięć dni siedziałam u tej pani. Całe mieszkanie jej wypucowałam na wysoki połysk. Muszę się przyznać, że ja bardzo lubię sprzątać. Dla mnie sprzątanie to odpoczynek psychiczny. Tylko pod tym względem zgadzaliśmy się z Zygmuntem. On był strasznym pedantem i także lubił, żeby wszystko zawsze było czyściutkie i na swoim miejscu. Przy sprzątaniu nigdy, nawet w ostatnich dniach naszego wspólnego mieszkania, kiedy oboje wzajemnie zamienialiśmy sobie życie w piekło, nie kłóciliśmy się. Ja ścierałam kurze, myłam okna, on pastował i froterował posadzki...

Mogłabym u tej Austriaczki siedzieć nawet i pół roku. Chciała mi za to sprzątanie zapłacić. Naturalnie, nie wzięłam ani grosza. U nich także są grosze, jak w Polsce. W rewanżu kupiła mi piękny niebieski dżersej na garsonkę i śliczny moherowy bliźniak. - Stojanowska zrobiła ruch, jakby chciała otworzyć stojącą obok niej walizkę i zademonstrować oficerom wiedeńskie cuda, ale szybko się zreflektowała.

Czy w czasie pobytu za granicą kontaktowała się pani z Marianem Zalewskim?

Dzwoniłam do niego trzy razy, ale nie zastałam go w domu. Wysłałam depezę z moim nowym adresem. Widocznie telegram nie doszedł, bo nie otrzymałam odpowiedzi. Nie chciałam się naprzykrzać sympatycznym Austriakom i przyjechałam dzisiaj rano do Warszawy. Najpierw zajechałam na Bracką, do pensjonatu, w którym mieszkał Marian. Tam mi powiedziano, że wyjechał przed paroma dniami nie podając adresu. Kolejną taksówką podjechałam na Wilczą, a następnie tutaj.

Marian Zalewski rzeczywiście nagle opuścił Warszawę i nie przypuszczam, aby się tutaj pojawił w ciągu najbliższych paru miesięcy, a może nawet lat - informował Andrzej Ciesielski.

A to dlaczego?

Wolał uniknąć rozmów z nami, a przede wszystkim spotkania z panem Helmutem Schulzem. A także chyba z panią.

Nie rozumiem?

Czy pani nigdy nie widziała niebieskiej kotwicy wytatuowanej na lewym nadgarstku Mariana Zalewskiego? Pani naprawdę nie wie, co to znaczy?

To głupstwo. Marian mi wytłumaczył, że kiedy jeszcze chodził do liceum on i paru kolegów wytatuowali sobie te kotwiczki, żeby imponować dziewczętom z młodszych klas. Taka dziecinada.

To nie dziecinada, lecz pięć wyroków sądowych. Ostatni i najpoważniejszy - siedem lat. Za sutenerstwo.

- To nieprawda, to oszczerstwo! - zawołała Irena.

Porucznik sucho się roześmiał. - My, proszę pani, nie bawimy się w rzucanie oszczerstw na niewinnych ludzi. Wszystko, co mówimy, mamy udokumentowane w aktach. Prowadzę sprawę o morderstwo, musiałem więc zainteresować się zarówno pani osobą, jak i ludźmi, z którymi się pani stykała. Także Marianem Zalewskim.

- To nie może być prawda - powtórzyła Stojanowska.

- Proszę pani - włączył się podporucznik - to ja zbierałem informacje o panu Zalewskim i mogę je powtórzyć. Po raz pierwszy został zatrzymany przez milicję jako osiemnastoletni młodzieniec. Razem z podobnymi sobie młokosami zorganizował bandę obrabowującą sklepy i kioski uliczne. Wtedy tę młodzież sąd potraktował z ojcowską wyrozumiałością. Skończyło się na niskich wyrokach. Po wyjściu z więzienia Zalewski przerzucił się na oszustwa. Pierwszy raz wpadł, kiedy ze

wspólnikiem, udając cudzoziemców, odwiedzali mieszkania i sprzedawali rzekomo angielskie materiały na ubrania. A to były nasze, krajowe, i na dodatek nie setki, ale nawet obok wełny nie leżały. Znowu wyrok. Potem nowe oszustwa i tym razem - cztery lata odsiadki. Jedna z licznych amnestii otworzyła przed nimi drzwi więzienia. Zmienił zawód. Z oszusta przedzierzgnął się w sutenera. Miał dwie dziewczyny pracujące na - niego. Jedną w Sopocie, drugą w Gdańsku. Znalazł sobie jeszcze trzecią. Normalne postępowanie sutenera. Najpierw szalona miłość, prezenty, podróże, wszystko, czego dziewczyna zażąda. Stawiał tylko jeden mały warunek: całkowite zerwanie z rodziną i dotychczasowymi znajomościami. Swoje ofiary wyszukiwał wśród młodych, naiwnych osóbek przyjeżdżających na wczasy nad morze. Kiedy już zakochana na amen dziewczyna zerwała ze wszystkimi, wtedy namową czy po prostu pięścią uczyło się ją nowego zawodu. Ta trzecia, przez którą Marian fatalnie wpadł, pogodziła się wprawdzie z koniecznością zarabiania na swojego ukochanego, ale zbuntowała się, gdy usłyszała, że ma jeszcze dwie „wspólniczki”. Zameldowała milicji.

To straszne. - Irena Stojanowska zakryła twarz rękami.

Sama pani doskonale się orientuje - ciągnął podporucznik - że sutenerstwo jest przestępstwem, którego bardzo trudno dowieść przed sądem. Podopieczne prostytutki, ze strachu czy też z miłości, zwykle kryją swego alfonsa. Tym razem jednak sprawa była zupełnie jasna i zapadł wyrok. Siedem lat. Zalewski odsiedział to co do jednego dnia, ale po wyjściu z więzienia znowu wrócił „do zawodu”. Milicja w Gdańsku wie, że pracowały dla niego dwie mewki. W jednej z nich zakochał się Szwed z Malmo, Erik Jansson. Postanowił się z dziewczyną ożenić i zabrał ją na drugą stronę Bałtyku. Zalewski nie miał zamiaru bezinteresownie pozbywać się takiego wypróbowanego źródła dochodów. Szwed, czy też sama dziewczyna, jakoś się jednak dogadali z sutenerem. Ona wyjechała za granicę, w Gdyni pozostał zielony opel rekord. Tym samochodem nasz bohater przyjechał do Warszawy, aby tutaj coś nowego upolować. Uznał, że pewna kelnerka z kawiarni „Aida” akurat nadaje się do tej roli. Rozpoczął więc normalne zabiegi...

Irena ukryła twarz w dłoniach. Jej plecy drżały od płaczu. Na próżno przecierała oczy chusteczką i starała się opanować, Antoni Szymanek był bezlitosny.

Wszystko układało się dobrze, dopóki dziewczynie nie zachciało się wyjazdu za granicę. To zresztą w pewnym stopniu odpowiadało Zalewskiemu. Może na obczyźnie potrafiłby zmusić „ukochaną”, żeby była miła dla starszych panów. Zawsze w ten sposób zaczynał. Ale napotkał maleńką przeszkodę. Takimi „fachowcami” nie chwalimy się przed zagranicą i Marianek nie dostał paszportu.

A mnie, łajdak, powiedział, że ma jakieś ważne interesy, które wymagają jego obecności w Warszawie - Stojanowska wreszcie na tyle się opanowała, że mogła wydobyć głos z gardła.

Szczyście w nieszczęściu. Zalewski w tej samej kawiarni „Aida” czy też w barku w Bristolu, gdzie był stałym gościem, poznał zamożnego Wiedeńczyka, przedstawiciela wielkiej austriackiej firmy. Panu Schulzowi przypadła do gustu kelnerka. Zalewski przekonał naiwnego Austriaka, że wystarczy tysiąc dolarów, aby wynająć dziewczynę do intymnych usług na parę tygodni w Austrii. W Warszawie nic z tego nie wyjdzie, bo kelnerka boi się „obyczajówki”, ale w Wiedniu sprawa jest do załatwienia. Aby nie obrażać godności dziewczyny, pieniądze weźmie Zalewski i wręczy jej po cichu. W ten sposób piękna pani będzie mogła odgrywać komedię bezinteresownej miłości.

Irena Stojanowska tylko zacisnęła pięści. Gdyby teraz zjawił się przed nią jej niedawny ukochany, chyba by nie wyszedł żywy z jej rąk.

Helmut Schulz zaakceptował warunki. Wręczył zielone banknoty Zalewskiemu, po czym dumny i szczęśliwy wywiózł swój skarb do naddunajskiej stolicy. Ale jakże przykry zawód go tam spotkał!

Nic dziwnego, że teraz Austriak pała chęcią jak najszybszego spotkania ze swoim uczynnym przyjacielem.

Za to przyjaciel się nie kwapi - roześmiał się Ciesielski.

Badaliśmy osobę Mariana Zalewskiego pod kątem jego ewentualnego udziału w zabójstwie. Ma bezsporne alibi. Do godziny ósmej wieczorem krytycznego dnia uwodził pewną młodą osobkę w restauracji „Budapeszt”. Kelner i szatniarz dobrze go sobie przypominają, bo otrzymali hojny napiwek. W ogóle, pan Zalewski umiał wydawać pieniądze zarobione przez jego podopieczne. Po ósmej Zalewski spotkał się z Schulzem - wtedy prawdopodobnie otrzymał przyręczone tysiąc dolarów i prawo zamieszkania w pensjonacie na czas nieobecności Austriaka w Warszawie. Później udali się obaj pod adres koleżanki, u której pani zatrzymała po rzekomym wyjeździe w Bieszczady. Całą trójką pojechaliście na dworzec, gdzie Marian, jak przystało na zakochanego narzeczonego, robił smutną minę i długo machał chusteczką za odjeżdżającym pociągiem. Chyba niczego nie pominąłem? - skończył Andrzej Ciesielski.

Dziękuję panu porucznikowi. - Mówiła to już zupełnie inna kobieta niż ta, która przed chwilą zalewała się łzami. - Wyratowaliście mnie ze śmiertelnego niebezpieczeństwa. Pochodzę z Targówka, więc znam życie. Wiem, że gdybym się znalazła razem z Zalewskim na Wybrzeżu nie uniknęłabym swojego losu. Albo śmierci. Proszę mi wierzyć, że niczego się nie domyślałam. Wychodząc za Stojanowskiego popełniłam fatalną omyłkę. Zalewski wydawał mi się dużo lepszy i szlachetniejszy. Teraz widzę, że to była fałszywa maska...

Kiedyś - podjęła po chwili - zdawało mi się, że byłam w Zygmuncie zakochana. A może i kochałam go naprawdę? Celem mojego życia było wyrwać się jak najdalej ze środowiska, w którym się urodziłam i dorastałam. Kurwą - zaśmiała się sucho - mogłam zostać i nie opuszczając Targówka. Właśnie, żeby nią nie być, pracowałam przez osiem godzin dziennie przy mieszalniku. Potem myślałam, że znajdę ostoję i spokój życiowy u boku Zygmunta. Po tej pierwszej omyłce chciałam popełnić drugą, jeszcze gorszą. Za uchronienie mnie przed tym, będę do śmierci dłużniczką pana porucznika.

Nie widzę w tym żadnej mojej zasługi - odpowiedział porucznik.

Ani ja - przerwał Antoni Szymanek.

Sprawa pana Zalewskiego - ciągnął Ciesielski nie zwracając na niego uwagi - to tylko mały incydent w naszym śledztwie. Pozostaje najważniejsze: sprawa o morderstwo.

A ja jestem główną podejrzaną? - uśmiechnęła się Irena.

Przyznaję, że historia opowiedziana przez panią jest wielce prawdopodobna i w wielu miejscach pokrywa się z naszymi ustaleniami. Prosiłbym jednak o dodatkowe informacje.

Wszystko, co tylko będę mogła... Nie popełniłam tej zbrodni ani też nie namówiłam nikogo do zabójstwa mojego męża. Mnie samej jak najbardziej zależy na wykryciu przestępcy. Choćby dlatego, żeby byle kto nie wykrzykiwał na całe podwórko, że jestem morderczynią.

Może więc pani powie, jak to było z inżynierem Kowalskim i waszym ślubem z Zygmuntem Stojanowskim?

Mając osiemnaście lat poszłam pracować do „smarowki”. Pan na pewno orientuje się w moich stosunkach rodzinnych i atmosferze, w jakiej wyrosłam. Skończyłam tylko podstawówkę na ulicy Kawęczyńskiej. Przyznaję, nie byłam święta. Święte nie rodzą się na Targówku. Ale, przysięgam, nigdy od nikogo nawet grosza nie wzięłam. Do ładnej dziewczyny w dużym zakładzie pracy startowali zarówno koledzy z produkcji, jak i urzędnicy. Wśród nich także inżynier Henryk Kowalski. W głowie mi nie zawrócił, ale mógł się podobać. Był przede wszystkim inny niż moi dotychczasowi wielbiciele. Stał się moim pierwszym nauczycielem savoir-vivre’u. Wiedziałam o nim, że jest

żonaty, ma dwoje dzieci i że nigdy się ze mną nie ożeni. Umiał się, drań, w życiu dobrze urządzić. Spokój i ład w domu, a przystojna dziewczyna do łóżka. Do czasu godziłam się na ten układ. Być może panowie mnie potępiają, ale ja nie mam sobie nic do wyrzucenia. Zrobiłam pierwszy krok na drodze do wydostania się z ciasnej obręczy, jaką mnie opasało życie.

Absolutnie pani nie potępiam - żywo zaprzeczył porucznik.

Nieco później poznałam Zygmunta Stojanowskiego. Był we mnie nieprzytomnie zakochany i tą miłością mnie zdobył. A poza tym chciał się ze mną ożenić. Nigdy, to mu przyznaję, nie traktował mnie tylko jak dziwy do łóżka. Chyba i ja początkowo byłam w nim zadurzona. Ale to mi po ślubie bardzo szybko przeszło.

Dlaczego?

Wychodząc za mąż za Stojanowskiego zdawałam sobie sprawę z różnicy wykształcenia, inteligencji i wychowania. Byłam prostą dziewczyną z przedmieścia Warszawy, córką ludzi, którzy z trudem pisali i czytali. Ich normy moralności także różnią się od praktykowanych przez mieszkańców ulicy Wilczej. A Zygmunt był synem i wnukiem inteligentnej rodziny. To, czego ja się z trudem uczyłam, on miał po prostu we krwi. Wiedziałam, że muszę się podciągnąć do jego poziomu. Byłam na to zdecydowana. Ale nikt nie wytrzyma nieustannego prawienia morałów, uwag od świtu do nocy. Albo robienia tylko tego, co się drugiemu podoba. Ja bez zgody Zygmunta nawet pończoch i majtek nie mogłam sobie kupić. Kazał mi iść do szkoły dla dorosłych. Zapisalam się. Pierwszy rok chodziłam codziennie na lekcje i nawet nieźle się uczyłam. Ale miałam dwóch nauczycieli. Tego w szkole i tego w domu, który codziennie sprawdzał moje lekcje, siedział obok i pilnował nauki. Czy mogą się panowie dziwić, że przez przekorę przestałam uczęszczać do tej szkoły?

Sam bym chyba tak zrobił - przytaknął porucznik.

Do pracy, naturalnie do pracy fizycznej, a co najwyżej do handlu jako ekspedientka nie mogłam iść, bo przecież pani inżynierowej nie wypadało. Więc zostałam w domu. Lubię sprzątać, ale trudno całymi dniami zajmować się dwoma pokojami i kuchnią... Zawsze lubiłam bawić się i tańczyć. A Zygmunt siedział kamieniem w mieszkaniu nad książką. Nie żałował mi pieniędzy, to prawda, ale zwykłe wyjście do miasta, aby się trochę powłóczyć, zajrzeć do sklepów i obejrzeć wystawy, uważał wprost za zbrodnię. Już nie mówiąc o tym, że wszystko, co mnie się podobało, nie znajdowało uznania w oczach męża. I tak dzień za dniem moja miłość zmieniała się powoli w nienawiść. Być może mam podły charakter, ale w końcu największą przyjemność sprawiało mi zrobienie mu na złość. On zresztą także dość szybko doszedł do wniosku, że popełnił życiowy błąd. Z jego strony także znikła miłość, pozostała jednak urażona ambicja. Właśnie ta ambicja nie pozwalała mu dać zgody na rozwód. Moje pójście do pracy w „Grand Hotelu” odchorował ciężkim atakiem serca. To była według niego „hańba okrywająca całą rodzinę Stojanowskich”. Nawet moi teściowie śmieli się z niego, chociaż nigdy nie okazali mi serca. Tego serca, którego tak szukałam w domu na Wilczej.

- Typowe niedobre małżeństwo - zgodził się podporucznik Szymanek.

Ostatni rok - to była piekielna męka dla nas obojga. Przyznaję, urządzałam awantury. Liczyłam, że w ten sposób wymuszę decyzję o rozstaniu. Zygmunt cierpiał, wiem. Nie panował nad sobą, kilka razy mnie uderzył, chociaż nigdy nie podniósł głosu. W takim momencie zjawił się Marian Zalewski. Czy można się dziwić, że zdołał mnie oczarować? Poszłabym nawet za diabłem, byle znaleźć wyjście z domu na Wilczej. Bo na Targówek wrócić nie chciałam i nie mogłam. Być samą - na to także nie miałam sił.

Faktem jest, że Zygmunt Stojanowski został zamordowany. A pani przed chwilą stwierdziła, że go nienawidziła.

Ja go nie zabiłam. Przyznaję, że w gniewie wykrzykiwałam coś, co w kodeksie karnym nazywa

się „groźbami karalnymi”. Ale nigdy nie podnosiłam na niego ręki.

Stojanowskiego zabił mężczyzna. Wysoki mężczyzna. O sylwetce podobnej do sylwetki inżyniera Henryka Kowalskiego.

Stojanowska głośno się roześmiała.

Co za non«°ns. Kowalski zabójcą! Dlaczego?

Mógł to zrobić dla swojej dawnej miłości. Żeby ją odzyskać.

Brednie. Kowalski palcem by dla mnie nie kiwnął. Gdybym była w nędzy, dwudziestu złotych by mi nie pożyczył. To człowiek, którego ideałem jest dobrze się urządzać w życiu. Jego dziewczyny to zawsze zależne od niego podwładne z pracy. Płacił im awansem i co najwyżej pójsciem od czasu do czasu do jakiejś knajpy. A na odzyskaniu mnie Henrykowi na pewno nie zależało. W ogóle często zmieniał obiekty swoich zainteresowań.

W smarówce nazywano go „Turkiem”. Przewisko wzięło się od przedwojennego tureckiego właściciela piekarni na rogu Targowej i Białostockiej, tam gdzie jest teraz małe targowisko. Ten piekarz żył z każdą ze swoich ekspedientek. Nie przyjmował dziewczyny do pracy, jeżeli nie przeszła przez jego łóżko. O procederze „Turka” jeszcze teraz na Targówku legendy chodzą. Poza tym Kowalski to tchórz. On miałby wszystkim ryzykować? Nie, to wykluczone.

Jednak odgrażał się Zygmuntowi Stojanowskiemu.

Wiem. Klepał, co mu ślina na język przyniosła. Poza tym przy każdej okazji podkładał świnię mężowi.

A Stojanowski jemu?

Naturalnie. Skończyło się tym, że obu wylano z pracy. Zygmunta najpierw, Kowalskiego nieco później.

Pani rodzinka także się odgrażała Zygmuntowi.

Tego pan chyba nie bierze poważnie? Kiedy ojciec dowiedział się, że Zygmunt ma zamiar ożenić się ze mną, chciał jak najlepiej przehandlować córkę. A przynajmniej mieć stałą metę, gdzie zawsze można te dwie setki na wódkę dostać. Mąż z tym radykalnie skończył. Zresztą w tej kwestii oboje byliśmy zgodni. Sam pan wie, poruczniku, że ludzie z Targówka po pijaku, w bójce, potrafią kogoś dźgnąć nożem. Nie zawsze żyją z uczciwej pracy. Ale nie idą na mokrą robotę. Nie ma też wśród nich płatnych morderców.

Takich na szczęście w ogóle w Polsce nie mamy - dorzucił podporucznik.

Więc kto i dlaczego zabił pani męża? - zapytał Ciesielski.

Żebym to ja wiedziała? W pierwszej chwili, kiedy pan Rotocki powiedział mi o tym morderstwie, nie bardzo wiedziałam, o co w ogóle chodzi. Zygmunt był człowiekiem ciężkim, zarówno w pożyciu małżeńskim, jak i w pracy. Nie miał prawdziwego przyjaciela. Ogólnie go nie lubiano. On nawet w domku swoich rodziców, w Wiązownej, przestawiał meble według swojej woli, a nie tak, jak starzy państwo chcieli. On decydował, na której grządce posieją rzodkiewkę, gdzie posadzą pomidory, a gdzie sałatę. Po pewnym czasie każdy będzie miał dosyć takiego człowieka. Ale od nielubienia do zabójstwa przecież daleka droga. Z drugiej strony mąż znał się na robocie. Przecież ta cała „smarówka” stała w obliczu plajty. Dopiero Zygmunt uruchamiając nową produkcję i zaprowadzając tam jaki taki porządek, wyprowadził spółdzielnię na spokojne wody. Ale od kiedy stamtąd odszedł, na Ziemowita powrócił stary bałagan.

Czy Stojanowski kiedykolwiek wspominał o tym, że ma wrogów lub, że się kogoś boi?

Nie. Przeciwnie, lubił się chwalić swoimi sukcesami. Nieraz się przechwalał, że wyłącznie dzięki niemu Trasa Łazienkowska została wykonana w terminie. Ostatnio, chociaż żyliśmy jak pies z kotem, także dużo opowiadał, jak to świetnie sobie daje radę przy budowie Trasy Toruńskiej. Nie

sądzę, żeby to były tylko czeze przechwałki. A kogo i czego miałby się bać?

Właśnie. Czego? Nie możemy znaleźć motywu popełnionej zbrodni. Komu przeszkadzał?

Zdaję sobie sprawę - odpowiedziała piękna pani - że motywy miałam jedynie ja. Tylko ja wygrywam na tym morderstwie. Uwalniam się od nie kochanego męża, który odmawiał zgody na rozwód i zyskuję ładne mieszkanie w samym centrum stolicy. Wolność i mieszkanie, to przecież wielki skarb. Ale ja tego nie zrobiłam, chociaż rozumiem, że dla panów pozostanę główną podejrzaną, aż do czasu całkowitego wyjaśnienia i znalezienia prawdziwego mordercy.

Porucznik milczał. Nie próbował zaprzeczyć. Ta kobieta miała rację.

- Dlatego też - dodała Stojanowska - mnie również zależy na szybkim rozwiązaniu tej zagadki. Jeśli w czymkolwiek mogę panom pomóc, proszę mną rozporządzić.

Na razie dziękujemy pani za udzielone nam wyjaśnienia - porucznik kończył przesłuchanie. - Oto klucze od mieszkania. Pokwituje pani ich odbiór, a jutro o dziesiątej proszę przyjść do nas. Wtedy zostanie pani oficjalnie przesłuchana. Może też do jutra przypomni pani sobie jakieś szczegóły. Mogą być ważne dla dalszego śledztwa. A teraz spróbuję znaleźć jakiś samochód, który by panią odwiózł na Wilczą, bo o taksówkę w tym punkcie Warszawy dość trudno.

Dziękuję, ale nie skorzystam z pańskiej grzeczności. Gdyby mnie odwieziono milicyjnym wozem, byłoby jeszcze więcej gadania. Wyobrażam sobie, jak tam na Wilczej babskie jęzory pracują! Dam sobie radę samą. Zresztą mam tramwaj prawie pod sam dom, a walizka, chociaż taka duża, nie jest zbyt ciężka.

Jaka to piękna kobieta - powiedział z zachwytem Antoni Szymanek, kiedy za Ireną Stojanowską zamknęły się drzwi.

Porucznik Ciesielski nie odpowiedział. Był zajęty układaniem swoich papierosów.

- A jak ona strzelała tymi zielonymi oczyma na pewnego oficera milicji - monologował dalej podporucznik.

I tym razem Ciesielski nie podjął rękawicy.

- A ten ton jakim mówiła. „Jestem pana dożywotnią dłużniczką”. Ileż on obiecywał! Ja rozpracowałem Mariana Zalewskiego, ale mnie nikt nie deklarował wdzięczności. Widocznie zobaczyła na mojej ręce obrączkę domyśliła się, że ten drugi, ważniejszy i przystojniejszy, jest do wzięcia. Cwana bestia.

Porucznik ciągle był zajęty układaniem papierosów.

- A mój Andrzejek, jak to on powiedział? „Wcale pani nie potępiam”. A zdawałoby się taki cichy, porządny chłopak - kpił dalej Szymanek. - Hanka go od chyba dwóch lat bezskutecznie swata, a tu wystarczył jeden strzał zielonych oczu. Gdybym był Mniszkówną albo Vicki Baum, zaraz bym napisał romans pod tytułem: „Piękna morderczyni i stalowe oczy porucznika milicji”.

Nudzisz mnie.

No, przyznaj, Jędrus, podobała ci się ta cizia?

Owszem, ładna dziewczyna - niechętnie przyznał porucznik.

Powiadam ci, masz u niej szanse.

Tak mielesz tym jęzorem, że nawet notatki służbowej z dzisiejszej rozmowy nie mogę zrobić.

Podobała ci się - powtórzył Antek. - Kiedy tu jutro przyjdzie na przesłuchanie, ja na chwilę wyjdę z pokoju. Ty się wtedy z nią umów na randkę. Nie będziesz miał sobie nic do zarzucenia. Po prostu jeszcze jedna metoda prowadzenia dochodzenia przez naszego milicyjnego asa. Nawet „staremu” możesz o tym zameldować. Jemu tak zależy na wyświeceniu tej sprawy, że z góry udzieli ci błogosławieństwa.

Głupi jesteś - zdenerwował się Ciesielski. Złożył papiery do teczki i powiedział: - Idę do

pułkownika. Muszę go zawiadomić o powrocie Ireny Stojanowskiej do kraju i o tym, że jutro ją przesłuchamy. Może „stary” będzie chciał być przy przesłuchaniu?

Ciesielski wyszedł, a rozbawiony podporucznik pomyślał, że w tym, co mówił przyjacielowi, jest jednak ziarno prawdy.

Zakłócenia na budowie

Upłynął znowu tydzień. Śledztwo nie posunęło się ani o krok. Dreptano po prostu w miejscu. Oficjalne przesłuchanie Ireny Stojanowskiej nie dało żadnego rezultatu. Piękna pani nie miała nic do dodania ponad to, co już przedtem wyjawiała obu oficerom. Ku pewnemu zawodowi podporucznika Antoniego Szymanka jego przyjaciel nie próbował się umówić na randkę z przystojną wdówką. Nie pomogło nawet dwukrotne wychodzenie z pokoju; Andrzej Ciesielski jakoś nie chciał skorzystać z okazji.

Podrzucano na Trasę Toruńską dwóch, bodaj najsprytniejszych wywiadowców, jakimi rozporządzała Stołeczna Komenda MO. Robotnicy chętnie i dużo rozmawiali na temat niedawnej zbrodni. Inżynier Stojanowski rzeczywiście nie był zbyt lubiany na budowie. Dał się we znaki swoją „twardą ręką”. Ale ci, którzy z nim pracowali bezpośrednio, podkreślali jego dbałość o ludzi i jego starania, aby każdy za dobrą pracę dostał dobre pieniądze.

- U Stojanowskiego - tłumaczył jeden z robotników - nie było nigdy przestojów. Gdzie indziej robotnicy siedzieli i palili papierosy, bo a to szalunków nie przygotowano na czas, a to betonu z wytwórni nie przywieźli. Z inżynierem takie numery nie przechodziły. U niego wszystko musiało iść jak w zegarku. Toteż, mimo że był ostry, ludzie chętnie do niego szli. Wiedzieli, że dobrze zarobią, chociaż w czasie pracy dużo papierosów nie wypalą.

Pułkownik Adam Niemirowicz sam dokładnie przestudiował akta sprawy. Nie dopatrzył się żadnego zaniedbania. Po prostu śledztwo ciągle nie mogło znaleźć punktu wyjścia. Tym punktem były motywy zbrodni. Doświadczony spec kryminalistyki orientował się doskonale, że bez znalezienia motywu sprawa nie może ruszyć i nic nie pomoże powierzenie jej innym oficerom dochodzeniowym czy konsultacje z najlepszymi fachowcami.

Na Irenie Stojanowskiej i jej ewentualnym udziale w zabójstwie męża pułkownik od razu położył krzyżyk. Sprawdzono dokładnie zeznania zielonookiej i uznano, że nie skłamała ani słówkiem.

„Człowiek bez alibi”, Henryk Kowalski, także nie miał żadnych motywów, aby po upływie trzech lat mordować swojego szczęśliwego rywala, który zresztą w rezultacie wcale nie okazał się taki naprawdę szczęśliwy. Trzeba było też wykluczyć rodzinę Sto, janowskiej. Obaj panowie Urbaniakowie mieli po pierwsze wspaniałe alibi, po drugie nie mieli powodu, aby usuwać ze świata niezbyt im miłego zięcia czy szwagra. Że nie spełnił pokładanych w nim nadziei i nie okazał się chętny do fundowania kieliszka wódki? Za to nie zabijają na Targówku. Zresztą na Targówku w ogóle nie zabijają. Najwyżej komuś spuszcza manto i w najgorszym wypadku „wyflekują”.

Wreszcie porucznik Ciesielski dowiedział się od personalnego z Przedsiębiorstwa Budownictwa Przemysłowego, że inżynier Janusz Adamczyk powrócił z Pragi czeskiej. Zaświtała nadzieja, że ten człowiek rzuci snop światła na sprawę.

Janusz Adamczyk okazał się bardzo sympatycznym mężczyzną w wieku około czterdziestu lat. Mile powitał przedstawiciela milicji. „Urzędował” w zielonym barakowozie, ustawionym nieco z boku wysokich filarów przyszej estakady Trasy Toruńskiej. W barakowozie było tak pełno, że bez

przesady ludzie siedzieli jeden drugiemu na głowie. Dlatego inżynier od razu zaproponował:

- Najlepiej będzie, poruczniku, jeżeli podskoczmy moim wózkiem do takiego małego barku kawowego na Stalingradzkiej koło Fabryki Samochodów Osobowych. Tam można będzie trochę spokojnie porozmawiać. To niedaleko, droga zajmie nam najwyżej dziesięć minut.

Oficer milicji zgodził się na tę propozycję. Uważał również, że nie ma co afiszować się służbowym samochodem i pozostawił go na parkingu koło barakowozu.

Kiedy kelnerka postawiła przed obu panami po butelce coca-coli, inżynier zaczął bez żadnych wstępów: - Domyślam się, że odwiedził mnie pan w związku z zabójstwem Zygmunta. Co do mnie - mam alibi. Nie było mnie wtedy w kraju. Zresztą, jaki miałbym powód, aby zabijać człowieka, z którym byłem w przyjaźni i który mi nigdy niczego złego nie zrobił? Chociaż, przyznaję to szczerze, nieraz dobrze zdenerwował.

Porucznik roześmiał się: - Byłby pan chyba ostatnim człowiekiem, którego posądzałbym o dokonanie tego morderstwa.

Ogromnie mnie to cieszy.

Niemniej ta zbrodnia jest faktem. Szczerze przyznaję, śledztwo natrafia na duże trudności. Przede wszystkim ciągle nie umiemy znaleźć motywów tej zbrodni.

Jeszcze w Pradze dowiedziałem się o zabójstwie Stojanowskiego. Byłem bowiem w codziennym telefonicznym kontakcie z dyrekcją naszego przedsiębiorstwa. Muszę się panu, poruczniku, przyznać, kiedy w końcu uwierzyłem, że to prawda, pierwszą myślą, jaka mi przyszła do głowy, nie było pytanie „kto?” lecz „dlaczego?”. Znam Zygmunta jeszcze z ławy szkolnej. Razem robiliśmy maturę, razem przygotowaliśmy się do egzaminów konkursowych na Politechnikę. Obu nam też udało się zdać. Nasze studia biegły równolegle. Wydaje mi się, że znam wszystkie wady i zalety Stojanowskiego. Jednych i drugich miał bardzo wiele.

Nasze późniejsze osiągnięcia zawodowe także były podobne. On zaczął pracować w spółdzielni, ja w firmie państwowej. On po paru latach zmienił pracę, ja zrobiłem to samo, zresztą znacznie wcześniej od niego. Właśnie dlatego mogłem go ściągnąć na budowę Trasy Łazienkowskiej. Zresztą i bez mojej protekcji by go przyjęli, bo fachowców wszędzie witają z pocałowaniem ręki.

W tym samym mniej więcej czasie obaj się ożeniliśmy. Jemu to się zdecydowanie nie udało. Również w moim małżeństwie nie zabrakło poważniejszych zgrzytów i były rozmowy o rozwodzie. Ale jakoś to się w końcu uładziło. Tutaj pracowaliśmy razem. Ja o szczebelek wyżej. Jestem kierownikiem całego odcinka robót, on prowadził betonowanie podpór estakady. Tak więc można z dużą dozą prawdopodobieństwa twierdzić, że nasze życiorysy są bardzo podobne. Dlaczego zabito jego, a nie mnie? Co złego mógł komuś zrobić człowiek spokojny, inżynier, mający ściśle wyznaczony zakres pracy? Tak się narazić, żeby aż zapłacić życiem? To chyba czyn jakiegoś szaleńca...

Jeśli szaleniec, to w każdym razie w tym szaleństwie była metoda. Zamach został precyzyjnie opracowany. Morderca wybrał odpowiedni dzień i porę. Znał zwyczaje Stojanowskiego, wiedział, gdzie mieszka i czatował na niego przed domem. Zaryzykował morderstwo na ulicy, gdzie mieści się Dzielnicowa Komenda MO. Komuś bardzo zależało na tej śmierci i szedł na największe ryzyko. Tego nie robi nawet najbardziej szalony wariat.

Kiedy naprawdę Stojanowski nie był w stanie popełnić czegoś takiego, aby ktoś mu życzył śmierci. Darł koty z żoną, na złość odmawiał jej zgody na rozwód, a znam to z jego własnych ust, ale to nie te czasy, żeby rozwód uzyskiwało się za pomocą noża.

Raczej dwukilogramowego odważnika - poprawił porucznik.

W gruncie rzeczy to wszystko jedno, efekt ten sam - zauważył Adamczyk.

Może mi pan inżynier scharakteryzuje Zygmunta Stojanowskiego? Jaki to był człowiek?

Najkrócej mówiąc, nieznośny. Z reguły zawsze niezadowolony. Wieczny poprawiacz świata. Przecież on naszego naczelnego dyrektora chciał na jakiejś odprawie uczyć, jak się prowadzi przedsiębiorstwo budowlane. A jednocześnie doskonały fachowiec. Specjalista od betonu. Chyba dlatego nie tylko nie wyleciał z naszej firmy, ale jeszcze awansował. Bo dyrekcja wiedziała, że drugiego takiego pracusia i organizatora nie znajdzie. Robotnikami komenderował jak kapral w przedwojennym wojsku. A pomimo to ludzie się go trzymali, bo robota szła zawsze na medal, zaś Zygmunt nikomu nie pozwolił skrzywdzić swojej załogi. Żeby z nim współpracować lub być jego zwierzchnikiem, trzeba było mieć świętą cierpliwość i mocne nerwy. Wiem coś o tym.

Czy zawsze miał rację?

Nie. Bardzo często jej nie miał. Ale był uparty jak kozioł. Rzadko u którego człowieka cechy dobre tak się przeplatają z wadami. Był natomiast kryształowo uczciwy. Nigdy nie szedł na jakąkolwiek łatwiznę czy fuchę. A przecież okazji mu nie brakowało. Ani tutaj, ani w spółdzielczości.

Pana słowa potwierdzają to, co już słyszeliśmy z innych ust.

Dam panu konkretny przykład. Kieruję trzema sekcjami betonującymi podpory dla estakady. Sekcje mają mniej więcej taką samą obsadę personalną. Na czele każdej stoi inżynier. Beton dostajemy z tego samego źródła. Front robót jest identyczny. Warunki terenowe - też. Dwie z tych sekcji z najwyższym trudem wykonują zadania dzienne i miesięczne. Osiągnięcie paru procent ponad setkę uważane jest za sukces. Przyczyny trudności najzupełniej obiektywne. Wytwórnia betonu ma jakieś kłopoty z cementem. Zbrojarze dostali inne rozmiary żelaza, transport nawalił, bo się jakiś wóz rozkraczył na drodze. Nagły mróz, niespodziewana odwilż, deszcz czy też zbyt dużo śniegu. Nasze plany miesięczne przewidują rozmaite trudności, więc mogą być wykonywane, chociaż nie bez napięcia.

A sekcja kierowana przez inżyniera Stojanowskiego?

Ano właśnie. Wykonywał zadania zawsze z grubą nadwyżką. Nie schodził niżej stu pięćdziesięciu procent normy. A bywały miesiące, kiedy machał i po sto osiemdziesiąt. Inni inżynierowie patrzyli na niego wilkiem, robotnicy pozostałych dwóch sekcji obawiali się, że w ten sposób doprowadzi do wywindowania normy.

Jaka była tajemnica tych sukcesów?

Nie tolerował żadnego brakoróbstwa. Umiał sobie zorganizować tak robotę, że pracownicy mieli wszystko pod ręką. A niechby mu nie dowieziono betonu! Jechał do wytwórni i robił takie piekło, że tamci innym urywali, a jemu dali.

Czy ostatnio nie zauważył pan u przyjaciela jakichś zmian? Może był zdenerwowany? Bał się czego?

Zdenerwowany to on był prawie stale. Przecież ciągle musiał toczyć z kimś wojnę. Gdyby tego nie robił, to by chyba umarł ze zmartwienia. Ale rzeczywiście, ostatnio gorzej się działo.

Z inżynierem?

Nie. Z budową. Nagle w tej jego precyzyjnej maszynie coś się zaczęło zacinać. W ostatnich trzech miesiącach wykonanie planu gwałtownie malało. Jeszcze w maju miał bodaj sto sześćdziesiąt pięć procent normy. W lipcu zjechał na sto czterdzieści, w sierpniu ledwie wyciągnął sto osiemnaście. O ile się orientuję, w pierwszej połowce września także z trudem przekraczali sto dziesięć procent. Naturalnie i tak wyprzedzali innych, ale spadek następował szybko i bardzo widocznie.

Czy orientuje się pan w przyczynach?

Nie. Znając Zygmunta nie chciałem go przyduszać. Widać było po nim, że on sam tym się gryzie i bada przyczyny.

Czy nawaliły jakieś dostawy?

Nie. Wszystko było w normie.

Inżynier Stojanowski coś panu mówił na ten temat?

Jak już powiedziałem, nie przyduszałem go specjalnie, ale naturalnie pytałem o powody. Odpowiedział, że po prostu sam ich nie zna i nie może zrozumieć, co się dzieje.

Może jakiś ostrzejszy niż zwykle zatarg z ludźmi? Swoisty bunt na budowie, polegający na zwalnianiu tempa pracy?

Nie. Żadnego większego zatargu nie było. O tym, jako kierownik budowy całego odcinka, natychmiast bym wiedział. Ludzie przysliby do mnie ze skargą. Nawet i przychodzili narzekając, że mniej zarabiają, a nie wiedzą dlaczego.

A co pan myśli na ten temat?

Sukcesy Zygmunta to przede wszystkim, jak już powiedziałem, znakomicie zorganizowany front robót. Każda praca celowa, żadnej niepotrzebnej czynności. To była jego ściśle personalna zasługa. Może właśnie tego Zygmunta nagle zabrakło?

Dlaczego?

Nie wiem. Nagłe załamanie psychiczne? Może zły stan zdrowia? Nie umiem tego wytłumaczyć.

Ale pan dobrze wie, że inżynier Stojanowski miał poważne kłopoty domowe. Może sytuacja rodzinna wpłynęła na jakość pracy?

Znam z jego ust te sprawy. Szczerze mówiąc, raczej współczułem jego żonie. Naturalnie, nigdy mu tego nie powiedziałem. Ale to on zmarnował szansę zbudowania udanego małżeństwa. A na pewno miał ją w dniu ślubu... Nie, kłopoty domowe nie deprymowały go w pracy. Przeciwnie, nie mogąc wyżyć się w życiu prywatnym, wyżywał się zawodowo.

A więc jeszcze jedna zagadka?

Chyba tak.

Może inżynier wplątał się w jakąś aferę? Denerwował się, grożono mu, aż wreszcie dopuszczono się morderstwa. - Porucznik głośno snuł swoje przypuszczenia.

Zygmunt i afery? To wykluczone!

Szantaż?

To nie był człowiek, który by się dał szantażować! Bez względu na skutki poszedłby na całego. Zresztą, kto i czym mógł go szantażować? Poza tym, czy pan, jako oficer milicji, zna wypadek, żeby zginął szantażowany a nie szantażysta?

Racja - przyznał porucznik - użył pan nieodpartego argumentu. A może to Stojanowski kogoś szantażował?

- W jakim celu? Zarabiał przyzwoicie. Nigdy nie był specjalnie łasy na pieniądze. Co miał, to mu wystarczało. Pierwsze wojny w domu zaczęły się od tego, że Irena zdecydowała się pracować. Poza tym, czym by on mógł kogoś szantażować?

Nie wiem - szczerze przyznał porucznik.

Ja także nie wiem.

Panie inżynierze - poprosił oficer - to nagłe obniżenie wykonania planów może nie mieć żadnego znaczenia dla sprawy prowadzonej przeze mnie. A może też być kluczem do rozwiązania zagadki. Bardzo pana proszę, jako fachowca, o ustalenie przyczyn technicznych tego załamania.

Zrobię, co w mojej mocy - obiecywał Janusz Adamczyk - obawiam się jednak, że pan mi

powierza ogromnie trudne zadanie. Ja te załamania widzę tylko w zachwianiu psychiki Zygmunta. Bo po jego śmierci krzywa produkcji sekcji od razu gwałtownie wzrosła.

Niemożliwe!

A jednak. Jego dawna sekcja jest kierowana przez młodego inżyniera, który, nawiasem mówiąc, nie umywa się jeszcze pod względem wiedzy i doświadczenia do swojego poprzednika. Wykonuje znowu przeciętnie do stu czterdziestu procent planu dziennego.

Przedziwne.

Myśleliśmy, że nastąpi katastrofa. Tymczasem nic podobnego. Ludzie nauczeni już pewnej organizacji pracy wykonują swoje zadania normalnie. Jak przedtem, kiedy Zygmunt kierował ich wszystkimi krokami. I wydajność rośnie. Co dziwniejsze, wzrósł wskaźnik wykonania planu także w dwóch pozostałych sekcjach. Doszedł do stu dwudziestu procent.

Tym bardziej, inżynierze, proszę o zbadanie tej sprawy.

Zrobię wszystko, co będę mógł. Zadzwonię do pana, jak tylko się czegoś dowiem. A teraz już muszę wracać na budowę.

Nie darmo powiadają, że „tonący brzytwy się chwyta”. Tak było również z porucznikiem Ciesielskim, a nawet z pułkownikiem Niemirowiczem. Obaj oni uznali, że spostrzeżenia Janusza Adamczyka mogą okazać się ważne przy zgłębieniu tajemnicy morderstwa. W ostatnich miesiącach życia Zygmunta Stojanowskiego najwidoczniej zdarzyło się coś ważnego, co inżyniera wytrąciło zupełnie z równowagi i sprawiło, że ten tak zazwyczaj opanowany i zorganizowany człowiek załamał się psychicznie.

Postanowiono jak najdokładniej przebadać ten okres. Ponieważ pierwsze oznaki zahamowań w produkcji wystąpiły gdzieś w czerwcu, najważniejszy byłby więc ten miesiąc.

Podporucznik Szymanek znowu pojechał do Wiązownej, do rodziców zabitego. Zygmunt Stojanowski przyjeżdżał do nich regularnie co sobotę, a wyjeżdżał w poniedziałek o świcie, żeby na szóstą czy też na siódmą rano być na budowie. Jeżeli zdarzyła się wolna sobota, Stojanowski zjawiał się w Wiązownej już w piątek po południu.

Zygmunt mówił rodzicom, że na budowie wiedzie mu się gorzej. Ale starsi państwo nie zauważyli u niego specjalnego zdenerwowania czy choćby wielkiego przejęcia się spadkiem produkcji. Inżynier podkreślał, że nie może rozgryźć powodów tych trudności. Wspominał, że będzie musiał skorzystać z pomocy Naukowego Instytutu Budownictwa. Nadmieniał także, że jest mu trochę głupio wobec załogi. Wymaga od nich maksymalnego wysiłku, a zarobki, dotychczas bardzo wysokie, zaczęły się poważnie zmniejszać.

Ponieważ oboje państwo Stojanowscy nie byli fachowcami w sprawach budownictwa, Zygmunt nie precyzował bliżej, na czym polegają te trudności z wykonaniem planu. Zapamiętali jednak, że syn swoje niepowodzenia określał terminem „trudności techniczne”.

Do Pałacu Mostowskich zaproszono ponownie Irenę Stojanowską. Zeznała, że mąż nigdy nie rozmawiał z nią o swojej pracy. Uważał ją pod tym względem za kompletną idiotkę. Natomiast piękna pani przyznała się, że właśnie w maju poznała Mariana Zalewskiego, a w czerwcu ta znajomość przybrała poważniejszy charakter.

Czy mąż wiedział, że pani go zdradza?

Wiedział. Wcale się z tym nie kryłam. Przeciwnie, sama nieraz w czasie kłótni mówiłam, że mam innego, znacznie ciekawszego mężczyznę. Myślałam, że w ten sposób wymuszę na nim zgodę na rozwód.

A on?

Od razu mnie rozszyfrował. Wręcz mi powiedział, że bardzo się z tego cieszy, bo teraz to już na

pewno sąd nie da mi rozwodu. Nie można bowiem otrzymać rozwodu z własnej winy. Poszłam do adwokata, który to potwierdził.

Czy dopiero wtedy, w czerwcu, zaczęła pani mówić o rozwodzie?

Nie. Chciałam żebyśmy się rozeszli spokojnie, jak na ludzi kulturalnych przystało. Już przed półtora rokiem wiedziałam, że nasze małżeństwo nie skleci się z powrotem. Zygmunt się nie zmieni, a ja się nie potrafię do niego przystosować. Wtedy jeszcze między nami nie było tak głośnej wojny, jaka wybuchła w ostatnich miesiącach. Długi czas na zewnątrz stanowiliśmy pozornie zgrane stadło. Na moje pierwsze słowa o rozejściu się, mąż odpowiedział: „Nie łudź się, nigdy ci nie dam rozwodu”. Powtarzał to wielokrotnie. Później z każdym dniem było coraz gorzej.

O ile wiemy, Zygmunt prowadził ustabilizowany, regularny tryb życia. Czy w czerwcu, a może jeszcze w maju zdarzyło się coś odbiegającego od reguły? - zapytał porucznik.

Trudno mi odpowiedzieć. To raczej ja starałam się jak najmniej przebywać w domu. O ile się orientuję, Zygmunt, tak jak zwykle, po pracy wracał prosto do domu. Najczęściej coś sobie sam pitrasił na obiad. Rzadziej jadał albo w restauracji na Marszałkowskiej, w budynku gdzie mieści się Ośrodek Kultury Węgierskiej, albo w jadłodajni przy ulicy Wspólnej. Potem siedział w domu z książką w ręce lub oglądał telewizję.

Może ktoś go w tym czasie odwiedzał?

Nic nie wiem o tym. Ostatnio nikt u nas nie bywał. To zresztą zupełnie zrozumiałe.

A może przyjmowała pani jakieś telefony?

Wprawdzie - jak to pan na pewno zauważył, bo w mieszkaniu znalazłam ślady bardzo dokładnej rewizji...

Przeszukania - poprawił porucznik.

Niech będzie przeszukania - zgodziła się zielonooka. - A więc, telefon stoi w moim pokoju. Kiedy byłam w domu, tylko ja podnosiłam słuchawkę. Do Zygmunta dzwoniło rzadko. Wyłącznie z budowy.

A koledzy? Jakież kobiety? Choćby rodzina?

Z bliższej rodziny Zygmunt miał tylko siostrę we Francji i brata w Katowicach. Od siostry przychodziły pocztówki na święta, z bratem mąż nie utrzymywał żadnych kontaktów. Ja go nawet nie znałam. Przez całe trzy lata naszego małżeństwa nie zadzwoniła do niego nigdy żadna kobieta. Kobiety jeszcze bardziej go nie lubiły niż mężczyźni. To naprawdę był bardzo dziwny człowiek.

Po czterech dniach gorączkowych poszukiwań zagadka wyjaśniła się. Do Pałacu Mostowskich przyjechał inżynier Janusz Adamczyk.

Sprawdziłem wszystko - powiedział. - Spadek wydajności spowodowany był koniecznością dłuższego pozostawiania betonu w oszalowaniach.

Nie bardzo rozumiem - przyznał Ciesielski. - Może pan inżynier, wyjaśni to dokładniej.

Przy budowie podpór pod estakadę najpierw robi się zbrojenie z żelaznych prętów, buduje szalunki i następnie leje się płynny beton, który stygnie i twardnieje, czyli mówiąc językiem fachowym „wiąże się”. Kiedy beton już się zwiąże, zdejmuje się szalunek. Dawniej robiło się go ze zwykłych desek. Teraz dla oszczędności drewna używamy form, które mogą być stosowane wielokrotnie. Na pewno widział pan, jak się betonuje na przykład fundamenty.

Naturalnie, że widziałem. Z dołu sterczą druty, które zalewa się cementem.

Nie cementem, lecz betonem, to znaczy cementem, żwirem i wodą zmieszany w pewnych proporcjach.

Niech będzie betonem - zgodził się porucznik.

Przy używaniu szybkosprawnych cementów proces trzymania betonu w szalunkach trwa

najwyżej trzy dni. Otóż spadek wydajności nastąpił dlatego, że trzeba było przedłużyć ten okres do pięciu czy nawet do sześciu dni.

Dlaczego w innych sekcjach pańskiej budowy nie wystąpiło to zjawisko?

Wystąpiło. Ale ponieważ oni w ogóle pracowali znacznie wolniej, nie było tam takich napięć. Opóźnienia nadrabiali przyspieszeniem zbrojeń lub przy robotach ziemnych czy przygotowawczych. Co innego u Zygmunta, gdzie wszystko było wyśrubowane do granic możliwości. Opóźnienie zdjęcia form opóźniało cały cykl budowy podpory.

Czym pan tłumaczy to przedłużenie trzymania betonu w formie?

Bez specjalnych laboratoryjnych badań ściśle tego stwierdzić nie sposób. Ale jako praktyk, mogę podejrzewać, że jakaś cementownia, chcąc sobie poprawić wskaźniki produkcji wypuściła cement gorszej klasy. Nie szybko, ale wolno sprawny. Trzeba pecha, że porcja tego cementu trafiła do naszej wytwórni betonu. Dostajemy cement z różnych cementowni. Zasadniczo ten produkt powinien być jednakowy. Niestety, tak nie jest. Wprawdzie na workach są takie same sygnatury, ale jedna wytwórnia pracuje solidniej, druga nie dba o jakość, a tylko o ilość. A że to później stwarza nam, budowlanym, niesłychane trudności, co ich to obchodzi?

A czym pan tłumaczy, że teraz plany produkcji są wysoko przekraczane?

Po prostu zużyliśmy cały zapas gorszego cementu i obecnie pracujemy na lepszym. Jakość materiału budowlanego odpowiada numerowi sygnatury. Dlatego jednocześnie w trzech sekcjach produkcja podskoczyła w górę. Ta, którą kierował Zygmunt, zawsze przodowała, stąd też i teraz, przy zachowaniu dawnej organizacji pracy, jest najlepsza. Dwie pozostałe mając do czynienia z gorszym betonem, nauczyły się lepiej pracować na innych odcinkach, co przy dobrym betonie daje im możliwości poważnego przekroczenia planów. A że zarobki robotników od razu skoczyły w górę, więc się pilnują.

Po wyjściu z pokoju inżyniera Janusza Adamczyka,

110

podporucznik Szymanek krótko określił sytuację: - Nowe koncepcje wzięły w łeb, a my wyszliśmy na potężnych durniów.

To było, niestety, prawdą. Śledztwo stanęło w martwym punkcie.

Przygoda w kawiarni

Rozległ się dzwonek telefonu. Porucznik Andrzej Ciesielski podniósł słuchawkę i usłyszał pytanie wypowiedziane niskim, z lekka zachrypniętym głosem: - Czy mówię z porucznikiem Ciesielskim?

Tak, słucham.

Tu Irena Stojanowska.

Słucham panią.

Mam bardzo ważną wiadomość dla pana.

Proszę przyjść do nas. Na dole będą uprzedzeni.

Wolałabym nie. Obawiam się, że jestem obserwowana.

Rozumiem.

Może gdzieś na mieście wieczorem.

Gdzie?

W kawiarni „Pod Kurantem”. Pan wie, Wilcza róg Marszałkowskiej.

Dobrze. O której?

Czy godzina siódma wieczorem odpowiadałaby panu porucznikowi? Dzisiaj.

Doskonale.

A zatem o siódmej. - Kobieta położyła słuchawkę.

Podporucznik Antoni Szymanek, który uważnie obserwował przyjaciela, zauważył: - Robiłeś takie miny jak małpa na słupie. Założę się, że to telefonowała piękna wdówka.

Żebyś wiedział.

Ostro się dziewczyna bierze do rzeczy. Nie to, co ty. Nawet na jedną randkę nie umiałeś się z nią umówić!

A i dzisiaj nie randka. Twierdzi, że ma coś ważnego do powiedzenia, a poza tym podejrzewa, że jest śledzona.

Przecież nie mogła ci wprost powiedzieć: „Andrzeju! Kocham i umieram z tęsknoty za tobą. Przyjdź do mnie na noc.”

Świnia jesteś.

Wystrój się Andrzej - doradzał przyjaciel - w ten nowy brązowy garnitur. Brąz jest dzisiaj najmodniejszy. A do tego wiśniowy albo ciemnozielony krawat. Nie zapomnij o zmianie skarpetek. Mają być w kolorze krawata.

Przestań się wygłupiać.

Weź także ze sobą obstawę. Ze dwóch naszych wywiadowców - podkpiwał dalej podporucznik - bo piękna Irenka gotowa, na nic nie zważając, rzucić się na ciebie w kawiarni i zgwałcić.

Daj spokój. Sprawę mamy poważną, nawet jej jeszcze nie ugryźliśmy. Wszystko dotychczas zawiodło, może Stojanowska rzeczywiście wykryła coś nowego? Jej również zależy na znalezieniu mordercy męża. To by ją definitywnie uwolniło od podejrzeń milicji, od plotek sąsiadów i znajomych. Była wyraźnie przestraszona, a głos miała zmieniony.

Zobaczymy - przytaknął podporucznik - do siódmej niedaleko. Za ledwie pięć godzin. Przydałoby się wpaść na jakiś ślad. Coraz bardziej boję się pokazać na oczy „staremu”. Jak dotychczas, to nie ma nas za co chwalić.

Jego także nie chwałą. Bądź spokojny.

Był czas, że kawiarnię „Pod Kurantem” zaliczano do najelegantszych lokali w odbudowującej się ze zniszczeń wojennych stolicy. Uczęszczali tutaj ministrowie, znani literaci, profesorowie pobliskiej Politechniki. Ten „high-life” został w następnych latach wyparty przez czarną giełdę. Nie cinkciarzy czy też zwykłych koników, ale samą „górkę” czarnej giełdy. Poważni, elegancko ubrani panowie codziennie o godzinie jedenastej wyznaczali tutaj kurs dolara i innych „twardych” walut, a także ustalali, ile się płaci za złotą dwudziestodolarówkę, a ile za „świnki”, były carskie złote ruble. Bywało, że miliony wędrowały od stolika do stolika. Naturalnie był to obrót bezgotówkowy. Ci panowie znali się dobrze i słowo partnera wystarczało drugiej stronie. Nie zdarzyło się chyba, aby ktoś oszukał czy nie dotrzymał terminu. Bo wtedy po prostu wydarzyłby się „wypadek” i czyjś trup popłynąłby z prądem Wisły, jakiś człowiek wpadłby na przykład pod ciężarówkę lub został przejechany przez pociąg na nie strzeżonym przejeździe kolejowym.

Z kawiarni „Pod Kurantem” łączniczki biegly do „La Palomy”, gdzie już czekały pomniejsze rybki czarnej giełdy. Z kolei wiadomość wędrowała do PKO i pod warszawskie hotele, do cinkciarzy i do „dewizówek”, no bo te panie także się interesowały kursami dolara.

Ale i to dzisiaj należy do przeszłości. Rekiny czarnej giełdy albo zostały zlikwidowane przez milicję albo ich niedobitki zaszyły się dużo głębiej w przestępczy półświatek stolicy. Teraz kawiarnia „Pod Kurantem”, której stylowe pokrycia foteli bardzo wypływały, a sufity za to w

zamian pociemniały, jest spokojnym, niezbyt uczęszczanym lokalem, mającym swoją własną publiczność. Trochę młodzieży - głównie studenteria, trochę emerytów i mieszkające w pobliżu paniusie, które zachodzą tutaj na „kawkę z wuzetką”.

Porucznik przyszedł przed siódmą. Założył jednak brązowy garnitur, do którego dobrał starannie wiśniowy krawat, takąż chusteczkę wetknął w lewą kieszonkę marynarki, postarał się nawet o znalezienie prawie identycznych w kolorze skarpetek. Do wyznaczonego spotkania brakowało dziesięciu minut. Ciesielski uważnie przyjrzał się publiczności okupującej niewiele więcej niż połowę stolików. Niczego i nikogo podejrzanego nie zauważył. Poprosił o coca-colę i zaczął przeglądać przyniesioną ze sobą popołudniówkę.

Kiedy wskazówki na zegarku oficera milicji ustawiły się na pięć minut po siódmej, drzwi kawiarni otworzyły się i weszła Irena Stojanowska. Zdjęła w szatni płaszczyk i skierowała się do stolika zajętego przez Ciesielskiego. Była ubrana z dyskretną wytwornością. Garsonka w „morskim” kolorze, jakaś barwna chusteczka na szyi, rajstopy stonowane w kolorze z sukienką - ostatni krzyk mody. Nowiutkie pantofelki, na pewno przywiezione z Wiednia.

Piękna pani uśmiechnęła się promiennie i podając rękę porucznikowi powiedziała: - Tak bardzo się ucieszyłam, kiedy pan do mnie zatelefonował. Obawiałam się, że się będziemy spotykać tylko w tym strasznym pokoju w Pałacu Mostowskich.

Oficer musiał mieć bardzo zdziwioną minę w tym momencie. Stojanowska wytłumaczyła to sobie opacznie.

Wiem, że w niecałe trzy tygodnie po śmierci męża - powiedziała - powinnam chodzić na czarno w grubej żałobie. Może nawet z welonem? Ale to byłoby tylko zwykłą obłudą. Od wielu miesięcy Zygmunt był dla mnie obcym człowiekiem, tyle że mieszkającym ze mną pod jednym dachem. Współczuję mu, jak każdemu innemu młodemu, który nagle ginie. Ale nic więcej. A poza tym jest mi nie do twarzy w czerni.

Piękna jest ta garsonka. Wspaniały kolor. Taki, jaki najbardziej lubię. To ten wiedeński materiał?

Żeby pan wiedział. Dopiero wczoraj odebrałam ją od krawcowej. Kiedy pan zadzwonił i zaproponował mi to spotkanie, tak się cieszyłam, że ją już mam. Wiedziałam, że się panu spodoba.

Kiedy ja - wyjaśnił Ciesielski - naprawdę do pani nie dzwoniłem. Dzisiaj około drugiej w południe odebrałem telefon. Jakaś kobieta, która przedstawiła się jako Irena Stojanowska, prosiła mnie o spotkanie w bardzo ważnej sprawie. Dodała, że jest śledzona i że się boi przyjść do komendy.

Ja nie dzwoniłam! - Irena nie ukrywała zdumienia. - To właśnie pan zatelefonował do „Aidy” około dwunastej. Telefon odebrała koleżanka i oddając mi słuchawkę wyjaśniła: „Z milicji, jakiś porucznik Ciesielski”. Pan mi zakomunikował, że musi się dzisiaj ze mną zobaczyć i sam zaproponował godzinę i miejsce spotkania. Nawet byłam w kłopotcie, bo musiałam prosić koleżankę, aby mnie zastąpiła. My w kawiarni pracujemy w ten sposób, że jednego dnia bez przerwy, od otwarcia aż do zamknięcia lokalu, a drugi mamy wolny. A dzisiaj wypadł mój dyżur.

Dziwna historia. Nie poznałem pani po głosie, ale ponieważ ta osoba była zachrypnięta, myślałem, że pani się trochę przeziębiła. Nietrudno o to przy tych skokach temperatury. Teraz widzę, że ktoś nam zrobił głupi żart.

Porucznik wiedział kto. Obiecywał sobie, że jutro rano solidnie natrze uszu przyjacielowi. A swoją drogą... że też nie poznał głosu Hanki, żony Antoniego Szymanka! Przecież musiała być wtajemniczona w ten kawał i to właśnie ona rozmawiała przez telefon udając Irenę!

Niemniej cieszę się z tego dowcipu. - Stojanowska powiedziała to szczerze. - Mam nadzieję, że pan od razu mi nie ucieknie i spędzimy miły wieczór. To ma dla mnie duży urok. Oficer milicji i

posądzona o morderstwo przy jednym stoliku w kawiarni - dokończyła śmiejąc się.

Tak szczerze mówiąc, nigdy pani poważnie nie posądzałem o popełnienie tej zbrodni. Ale praca w milicji jest pracą w milicji. Wszystko musimy sprawdzić.

Nie psujmy sobie humoru i nie rozmawiajmy przynajmniej dzisiaj o tej sprawie. - Piękna pani lekko dotknęła ręki porucznika. - Zgoda?

Zgoda!

W tej chwili podeszła kelnerka, aby przyjąć zamówienie.

Czego się pani napije? - zapytał oficer. - Kawa, może jakieś wino?

Dziękuję. Na kawę dla mnie za późno, nie mogłabym po niej usnąć. Poproszę o herbatę i jakieś ciastko.

Kiedy kelnerka odeszła, Irena dodała: - Tak się spieszyłam na to nasze spotkanie, że nie zjadłam obiadu. A z alkoholem skończyłam. Nigdy mnie zresztą do niego nie ciągnęło. Ostatnio wprawdzie piłam aż za dużo, ale to Zalewski celowo usiłował mnie rozpić. W myśl powiedzenia: „Pij, będziesz łatwiejsza”. Na szczęście mam już to za sobą i powoli się uspokajam. Przystąpiłam nawet do odrabiania zaległości. Wczoraj odwiedziłam moją byłą szkołę dla dorosłych. Dyrektor okazał się wyrozumiały i zgodził się przyjąć mnie do trzeciej licealnej z tym, że do Nowego Roku dogonię program i zdam egzaminy. Boję się tylko matematyki.

Mogę służyć pomocą. To mi szło zawsze najłatwiej. Dziwiono się też, że poszedłem na prawo, a nie na Politechnikę.

Ostrożnie, bo gotowa jestem trzymać pana za słowo.

Mówiłem najzupełniej poważnie. - Porucznik nie miał nic przeciwko temu, aby pomagać tak przystojnej uczennicy.

Rozmowa toczyła się gładko. Irena opowiadała o Wiedniu, którego oficer nie znał. Ciesielski z pewnym zdziwieniem stwierdził, że Stojanowska nie tylko oglądała wystawy na Kortner i Mariahilfe, ale również zdążyła obejrzeć piękne zabytki naddunajskiej stolicy i zwiedzić muzea oraz galerie obrazów. Była także w teatrze i na koncercie w filharmonii.

- Jakie to szczęście - dodała opowiadając o swoich wiedeńskich przygodach - że kiedy zostałam kelnerką w „Grand Hotelu”, przez kilka miesięcy brałam wraz z dwoma koleżankami lekcje niemieckiego. Dzięki temu nie zginęłam w Wiedniu.

Słuchając Ireny porucznik przypomniał sobie zgodne określenia ludzi, których niedawno przesłuchiwał: „Prymitywna dziewczyna z Targówka, nie umiejąca trzymać noża i widelca w ręce. Ubrana, że patrzeć nie można było. Ordynarna. Urządzająca karczemne awantury”. Ale to należało do przeszłości. Teraz przed oficerem milicji siedziała śliczna kobieta, ubrana tak, że mogłaby służyć za model, i prowadząca przyjemną, dowcipną rozmowę. O wszystkim i o niczym. Ta dziewczyna z Targówka chciała wyjść ze swojej sfery i udało się to jej znakomicie.

Irena spojrzała na zegarek. Dochodziła dziewiąta.

- Trzeba wracać do domu - powiedziała. - Wprawdzie nie chciał pan tego, ale bardzo dziękuję za miłe spotkanie. Mam nadzieję, że nie będzie ostatnie.

Ciesielski zapłacił. Wyszli z lokalu.

Wejście do kawiarni „Pod Kurantem” jest nie jak w innych tego rodzaju lokalach wprost z ulicy, ale z bramy. W bramie nie paliło się światło, a blask padający z ulicy jedynie w niewielkim stopniu rozpraszał ciemności.

- Niech pani uważa - ostrzegł porucznik - tutaj jest stopień.

Irena wyszła z drzwi pierwsza. Za nią oficer. Kobieta czekając na swojego towarzysza odwróciła się w jego stronę.

Nagle Ciesielski usłyszał jakieś ciche kroki za sobą. Zobaczył, jak Stojanowska wyciąga rękę w górę i robi szybki krok w jego stronę. W tej chwili uczył uderzenie z prawej strony głowy i w prawe ramię. Cios sparowany kobiecą ręką chybił nieco celu. Oficer zachwiał się na nogach, ale jakoś utrzymał równowagę. Nawet zdołał się odwrócić, ale zauważył jedynie sylwetkę uciekającego mężczyzny, okrytego ciemnym płaszczem. Andrzej poczuł ogromny ból głowy i oparł się o ścianę.

Jak się pan czuje? - Irena wzięła go pod ramię. Wyjęła z torebki chusteczkę i wytarła nią twarz oficera.

Zranił pana gdzieś koło ucha - wyjaśniła - trochę krwawi.

Głupstwo. - Ciesielski bagatelizował wypadek. - Gdyby nie pani błyskawiczna orientacja, mogłoby być dużo gorzej. Widziała go pani?

Sylwetkę. Miał twarz zakrytą szalikiem i czapkę nasuniętą na oczy. Zobaczyłam, jak podbiega i podnosi rękę z jakimś czarnym przedmiotem. Chciałam zapobiec uderzeniu, nie bardzo się to udało, ale trochę zmieniłam i osłabiłam siłę ciosu.

To był na pewno dwukilowy odważnik. - Andrzej usiłował się roześmiać. - Może go tu gdzieś porzucił. Miałbym drugi w swej kolekcji.

Boli?

W głowie oficera łupało, jak gdyby pracowało tam ze trzech kowali, ale młody człowiek nadrabiał miną.

Troszeczkę. Odprowadzę panią do domu i potem pójdę do pogotowia, żeby mnie opatrzyli.

Naprawdę może pan iść? - dopytywała się Stojanowska.

Nic się nie stało - brawurował Ciesielski.

Wyszli na ulicę. Doszli do Marszałkowskiej i zaczęli przecinać jezdnię. Porucznik stwierdził, że głowa boli go coraz bardziej, nogi robią się coraz słabsze. Z trudem przebył jezdnię i dalej posuwał się prawie po omacku, bo jakieś ciemne koła coraz szybciej wirowały mu przed oczyma. Idąca obok kobieta spostrzegła stan swojego towarzysza. Wzięła go mocno pod ramię i prowadziła coraz bardziej ciężącego jej mężczyznę. Po schodach na drugie piętro prawie go wniosła. Wprowadziła do pokoju i usadziła na wygodnym fotelu.

- Przepraszam - powiedział z wysiłkiem Andrzej - tak mi jakoś głupio. Przepraszam. Posiedzę tu chwilę i zaraz sobie pójdę.

Irena przyniosła szklanek wody i jakąś pastylkę. Podała swojemu gościowi. - Proszę to połknąć i pić wodą.

Ciesielski pił łapczywie zimny płyn, ale gdyby nie stojąca obok kobieta, wypuściłby szklanek z ręki. - Dziękuję - powiedział i zemdlął.

Ocknął się po paru minutach. Ostrożnie otworzył jedno, a później drugie oko. Nie wiedział, gdzie się znajduje. Leżał wygodnie ułożony na czymś miękkim, przykryty lekkim kocem. Pomieszczenie było oświetlone małą lampką, trochę rozpraszającą ciemności. Przy nim siedziała jakaś postać.

„Umarłem i jestem w niebie” - pomyślał Ciesielski i zaraz sobie przypomniał przeczytane gdzieś zdanie: „Niebo nie istnieje w żadnym miejscu, ani w żadnym czasie. Czas i przestrzeń nie mają żadnego znaczenia. Niebo to doskonałość”.

Znowu otworzył oczy. Teraz świadomość już wróciła. Przypomniał sobie spotkanie „Pod Kurantem” z Ireną Stojanowską i późniejszy napad. A także drogę przez mękę, jaką był najwyżej dwustumetrowy spacer do mieszkania Ireny.

Co to? Straciłem przytomność - Andrzej chciał usiąść na tapczanie.

Proszę leżeć i nie ruszać się. - Stojanowską lekko przytrzymała chorego. - Zaraz zatelefonuję po

pogotowie i do komendy.

Nie trzeba. Nic mi nie jest - protestował porucznik, ale gdy tylko spróbował ruszyć głową, ból wykrzywił mu całą twarz.

Jest pan ciężko ranny. Proszę leżeć spokojnie - powtórzyła Irena. - Już dzwonię. Obawiam się, że to wstrząs mózgu. Zaraz też zrobię okład z lodu.

Nie, nie - ponownie protestował oficer. - Niech pani najwyżej zawiadomi podporucznika Szymanka.

Jaki jest numer jego telefonu?

39-84-67 - powiedział Ciesielski i znowu zapadł w omdlenie.

Kiedy się obudził, w pokoju oprócz Ireny Sto janowskiej było pełno ludzi. Poczciwy przyjaciel na wiadomość o napadzie natychmiast zmobilizował aż dwa radiowozy i ściągnął lekarza milicyjnego. On właśnie pochylał się nad chorym.

Wstrząs mózgu, ale mam nadzieję, że niezbyt groźny. Młody organizm i twarda czaszka. Sądzę jednak, że gdyby nie pani interwencja mogłoby być znacznie gorzej. Jak pani postępowała z naszym chorym?

Dałam mu środek uspokajający i przyłożyłam lód na głowę.

Bardzo dobrze - pochwalił lekarz - zaraz przyjedzie karetka i zabierzemy porucznika na Wołowską. Czy pani jest pielęgniarką?

Nie. Ale kiedy chodziłam do powszechniaka na Kawęczyńskiej, Czerwony Krzyż zorganizował w szkole kurs na sanitariuszki. Poza tym my, dziewczyny z Targówka, zawsze umiałyśmy opatrzyć rozbity łeb brata lub założyć opatrunek, kiedy ktoś kogoś trochę drasnął nożem. To dla mnie nie pierwszozna.

„Tak stale narzeka na ten Targówek - przemknęło porucznikowi przez biedną zmaltretowaną głowę - a w gruncie rzeczy jest z niego dumna”.

- Posłałem wywiadowców na miejsce wypadku - tłumaczył podporucznik Szymanek - ale niczego nie znaleźli. Nikt nic nie widział. Miałem przecucie, kiedy mówiłem, żebyś wziął ze sobą obstawę. Mielibyśmy już bandziora w ręku. Ale ty nigdy nie słuchasz doświadczonych ludzi i potem są tego oplakane skutki.

- Proszę nie denerwować chorego - wtrącił się lekarz. - Na rozmowy będzie czas później. Teraz dam mu zastrzyk. Dlaczego ta karetka jeszcze się nie zjawia?

Porucznik Ciesielski nawet nie usiłował odpowiadać. Znowu zapadł w półsen. Nie poczuł lekkiego ukłucia igłą. Nie zdawał sobie także sprawy, że dwóch pielęgniarzy przenosi go na nosze, a później do samochodu.

Kiedy się obudził, stwierdził, że znajduje się w małej separacie. Przy łóżku siedziała pielęgniarka. Na stole stał duży bukiet kwiatów. Zachodzące słońce rzucało ostatnie promienie przez okno pokoju.

Gdzie ja jestem?

W szpitalu na Komarowa - wyjaśniła pielęgniarka. - Spał porucznik przeszło piętnaście godzin. Czy głowa ciągle tak boli?

Ciesielski spróbował usiąść. W tej samej chwili ból odezwał się z nową siłą.

Proszę się nie ruszać - ostrzegła pielęgniarka.

Już się baliśmy, że źle z panem.

Jutro wstanę.

Mowy o tym nie ma.

Skąd te kwiaty? - Oficer dopiero teraz dostrzegł bukiet.

Tu się w ogóle telefony urywają z pytaniami o pańskie zdrowie - wyjaśniała pielęgniarka. - A taka piękna pani z dużymi zielonymi oczyma już z samego rana tu przybiegła. Nie wiem, co ona nabajtłowała portierowi, że ją wpuścił na górę... Przyniosła te kwiaty. Tak się upierała, że musi pana choć z daleka zobaczyć, że nie miałam serca i pozwoliłam jej zerknąć przez otwarte drzwi do tego pokoju. A pan leżał jak kłoda. To żona czy narzeczona? Śliczna dziewczyna.

Porucznik nic nie powiedział, ale troskliwość Ireny i pochwała, jaką usłyszał z ust pielęgniarki, zrobiły mu wielką przyjemność.

Byli tu także pańscy koledzy z Pałacu Mostowskich - wyjaśniała pielęgniarka - ale ich tu w ogóle nie puściłam dalej na jak na korytarz. Szczególnie jeden taki podporucznik to się ze mną aż pokłócił. Koniecznie się uparł, żeby przy panu dyżurować.

To Antoni Szymanek, mój współpracownik - uśmiechnął się Ciesielski. - Jeżeli się zjawi, to bardzo proszę wpuścić go do mnie.

Pan doktor już mi zapowiedział, żebym nie tylko nikogo nie wpuszczała, ale nawet za długo z panem nie rozmawiała. Zresztą pan doktor zaraz sam do pana przyjdzie. Kazał mi natychmiast zawiadomić, jak tylko się pan obudzi.

Lekarz zbadał chorego. Orzekł, że niebezpieczeństwo jakichś komplikacji na szczęście minęło, ale zalecił całkowity spokój. Żadnych wysiłków.

- Jutro już będę zdrowy - tłumaczył Ciesielski - i będę mógł opuścić szpital.

Lekarz tylko się roześmiał: - Mowy o tym nie ma. Za dwa tygodnie pogadamy na ten temat. Jutro, jeżeli porucznik będzie się lepiej czuł, pozwolimy na krótkie odwiedziny. I to najwyżej dwóch, trzech osób.

A gdy Ciesielski usiłował protestować, doktor dodał z uśmiechem: - Przede wszystkim tej pięknej rudowłosej pani, co tak się troszczyła o naszego pacjenta.

Irena Stojanowska zjawiła się w szpitalu nazajutrz już o godzinie dziesiątej. Ta dziewczyna najwidoczniej miała jakieś swoje chody i umiała obejść ścisły rygor panujący na ulicy Komarowa. Znowu przyniosła kwiaty. Pochyliła się nad porucznikiem i nie bacząc na ciekawe spojrzenie pielęgniarki serdecznie ucałowała chorego.

Tak się cieszę - powiedziała - że już ci lepiej. Tak się bardzo bałam, kiedyś zemdłał. W pierwszej chwili zupełnie straciłam głowę. Z największym trudem zdołałam się opanować.

Ja także cieszę się, że przyszłaś.

Bałam się, że mnie w ogóle nie wpuścisz.

Jak to?

Jestem przecież podejrzaną numer jeden, a teraz znowu to spotkanie w kawiarni i ten napad przy drzwiach. Myślałam, że i o to możesz mnie posądzać.

Co ty mówisz. Przecież gdyby nie ty, może już bym nie żył!

Irena Stojanowska zjawiła się od tej pory dwa razy dziennie w szpitalu. Zdołała zaprzyjaźnić się z pielęgniarkami, a nawet z samym ordynatorem. Przynosiła choremu - smakołyki, czytała mu gazety, bo porucznika ciągle jeszcze bolały oczy. Niepostrzeżenie stawiała się osobą coraz bliższą młodemu oficerowi. On także orientował się, że nie są to tylko uczucia samarytańskie pięknej pani. Nigdy jednak nie padło między nimi żadne słówko na ten temat.

Stałym gościem w szpitalu był także podporucznik Szymanek. Nie miał jednak dla Ciesielskiego dobrych wiadomości. Śledztwo w sprawie zabójstwa inżyniera Stojanowskiego nie posunęło się naprzód ani o milimetr. A w sprawie napadu na oficera milicji - w ogóle nie ruszyło z miejsca.

Dla mnie nie ulega wątpliwości - stwierdził podporucznik - że ten sam człowiek, który zabił inżyniera, chciał także sprzątnąć i ciebie. Nawet ta sama metoda. I tak samo zabrał ze sobą jakiś

ciężki przedmiot - może odważnik? - którym celował w twoją głowę

To jasne - przyznał Ciesielski. - Ale dlaczego?

- Właśnie. Dlaczego? - zastanawiał się młody oficer.

Piątego dnia po napadzie zjawił się w szpitalu pułkownik Niemiroch. „Stary” miał dobry wywiad. Przyszedł wtedy, kiedy przy łóżku chorego siedziała Irena Stojanowska. Wręczył jej pięć pięknych róż i uśmiechając się powiedział: - Dziewczynie z Targówka, od starszego sąsiada ze Szmulek.

Pan z Brzeskiej czy z Markowskiej? - ucieszyła się Irena.

Nie. Z Kijowskiej. Mój ojciec był kolejarzem. Jako chłopak mieszkałem na Kijowskiej w takim małym czerwonym domku. Tuż obok składów kolejowych. Teraz nie ma już ani składów ani tego domku. Rozebrano go, gdy stawiano tam najdłuższy w Warszawie „mrowiskowiec” i budowano drugą jezdnię obok Kijowskiej.

Pamiętam ten domek. Rosły koło niego drzewa owocowe. Chyba wiśnie i grusze?

Mój ojciec je sadził - potwierdził pułkownik. - Wspaniałe klapsy. Jak to góra z górą się nie zejdzie, a człowiek z człowiekiem.. Ale przede wszystkim muszę pani serdecznie podziękować za uratowanie życia mojemu oficerowi i za dalszą tak serdeczną nad nim opiekę.

Pan Ciesielski uratował mi może nawet więcej niż życie. Los sprawił, że mogłam mu się choć w części zrewanżować.

Gdyby pani Irena nie podbiła ręki napastnikowi, już dawno byłoby po moim pogrzebie - dorzucił porucznik.

Stojanowska dobrze rozumiała, że pułkownik nie przyszedł specjalnie tylko po to, żeby jej podziękować, ale że chce porozmawiać ze swoim podwładnym. Ostentacyjnie spojrzała na zegarek. - Och, już dochodzi piąta - powiedziała. - Czas na mnie. I tak koleżanka poświęciła się zastępując mnie w pracy. I pożegnała się z obecnymi w separacie.

- Masz szczęście, chłopie - roześmiał się pułkownik, kiedy drzwi za piękną panią już się zamknęły. - Dla takiej opiekunki nawet ja, stary, nadstawiłbym swojego siwego łba. Ten, kto cię tak urządził, to na pewno zabójca Stojanowskiego.

Już o tym rozmawialiśmy - wtrącił podporucznik Szymanek. - Dlaczego jednak zaryzykował drugi napad? Tego nie mogę zrozumieć. Przecież takie akcje na ulicy Wilczej, pod bokiem komendy MO, to ogromne ryzyko. Wystarczyło, żeby ktoś wychodził za Andrzejem z kawiarni i już byśmy mieli gościa w garści.

Jednego jeszcze nie wiecie - wyjaśnił Ciesielski. - To nie Stojanowska telefonowała do mnie do komendy. Do niej także zadzwonił jakiś mężczyzna i podszywając się pode mnie poprosił o pilne spotkanie.

Napad przygotowano drobiazgowo - powiedział podporucznik. - Wywiadowcy, którzy natychmiast badali sprawę na miejscu, stwierdzili, że żarówka zawsze oświetlająca bramę, była tego dnia wykręcona, tak że nie kontaktowała i nie paliła się.

To na pewno nie Irena zorganizowała ten napad - dość porywczo powiedział porucznik. Właśnie ona nagłym ruchem ręki ocaliła mi życie.

Uspokój się, głuptasie, nikt jej nie posądza - odpowiedział pułkownik. - Już to, że przyszła na spotkanie, uwalnia ją od wszelkich podejrzeń.

Ale dlaczego napadli na Andrzeja? - nadal dziwił się podporucznik.

Widocznie - wyjaśnił Niemiroch - przestępca uważa, że Ciesielski jest bardzo bliski wykrycia prawdy i należy się go pozbyć za wszelką cenę. Dlatego zdecydował się na tak niebezpieczną

rozgrywkę. Na pewno ten człowiek, czy ci ludzie, bo to może być cała szajka, wszystko sobie dobrze skalkulowali. Z ich rachunku wynikało, że Zygmunt Stojanowski musi zniknąć z tego świata. Najprawdopodobniej chcieli mu w ten sposób zamknąć usta. Teraz z kolei uznali, że ze strony Andrzeja grozi im śmiertelne niebezpieczeństwo.

Ale jakie? Przecież ja nic nie wiem.

To prawda. Ale przestępca nie zna tej prawdy. Uważa, że jest o krok przed zdemaskowaniem. Musi się spieszyć. Sądzę nawet, że postara się poprawić to, co mu się nie udało za pierwszym razem. Dlatego, kiedy już opuścisz szpital, musisz bardzo na siebie uważać.

Nie ma obawy - roześmiał się podporucznik - już ja się zajmę bezpieczeństwem mojego bezpośredniego przełożonego. Włos mu z głowy nie spadnie.

W każdym razie nie należy lekceważyć możliwości ponownego zamachu na Andrzeja. Wracając jednak do śledztwa - ciągnął pułkownik - z postępowania przestępcy wynika, że nie zdając sobie sprawy z tego, odkryliśmy drogę do rozwiązania zagadki lub jesteśmy bardzo bliscy jej wykrycia. Tę prawdę mamy zapisaną w aktach ale przeszliśmy koło niej, nie zwracając na nią uwagi. Dlatego sądzą, że po wyjściu Andrzeja ze szpitala należy przede wszystkim bardzo dokładnie przeanalizować cały materiał śledztwa, a także przypomnieć sobie każdy szczegół - od pierwszego momentu, od kiedy milicja zjawiała się na miejscu zbrodni. To specjalnie dotyczy Andrzeja. Bandyta najbardziej jego się obawia i stara się nie tracić czasu. Przecież na Antka byłoby znacznie wygodniej dokonać napadu, bo mieszka na małej, zazwyczaj pustej uliczce Mokotowa. Tam napastnik ryzykowałby znacznie mniej, niż w centrum miasta, na Wilczej.

Nic z tego nie rozumiem - stwierdził Ciesielski.

Masz teraz dużo wolnego czasu. Głowa już cię chyba nie boli, więc niech „baska” pracuje. A po powrocie do Pałacu Mostowskich od razu bierz się do czytania akt sprawy. Od początku do końca i od końca do początku. Czytaj aż do znużenia. Choćbyś już je znał na pamięć.

A także przypomnij sobie coś poza tym robił, z kim rozmawiałeś. Jakiś błahy, drobny element może być poszukiwanym przez nas kluczem.

Żeby wreszcie ten cholerny konował pozwolił mi się ruszyć z miejsca - narzekał porucznik.

Leż, kiedy ci każą - pułkownik zęgnął chorego. - Mnie twój rozbity łeb nie jest potrzebny, tylko zdrowy.

Tymczasem „konował” stwierdził, że stan rannego poprawia się niespodziewanie szybko i ósmego dnia pozwolił mu na mały spacer po ogrodzie szpitalnym, uprzedzając, że jeśli nic się nie zmieni na gorsze, porucznik nazajutrz będzie mógł opuścić gmach szpitala.

Ciesielski ubrał się piorunem, ogromnie ucieszony decyzją lekarza. W pierwszym spacerze towarzyszyła mu Irena. Dziewczyna była dziwnie smutna. Nie podzielała radości swojego „podopiecznego”. Zauważył to Andrzej.

Wcale się nie cieszysz, że już wróciłem do zdrowia - powiedział.

Cieszę się, ale smuci mnie, że już się nie będziemy widywali - odpowiedziała szczerze młoda kobieta. - Tak przywykłam do tych odwiedzin. Polubiłam je nawet. Taka byłam spokojna siedząc przy tobie w tym małym pokoiku szpitalnym. A teraz to się wszystko kończy. Ty wrócisz do swojej pracy, a ja pozostanę... główną podejrzaną o zabójstwo męża i może także o zamach na twoje życie.

Ireno, jak możesz tak mówić! - Andrzej protestował tak gwałtownie, że nawet nie spostrzegł, kiedy trzymał ją w objęciach. Miała gorące usta, przytuliła się do niego całym ciałem.

Puść mnie - powiedziała lekko się wyswobadzając z ramion mężczyzny. - Pójdę już sobie. Jutro się nie zobaczymy. Tak będzie najlepiej. Zobaczymy się wtedy, kiedy będziesz chciał i kiedy

będziesz mógł. Chciałabym jednak, abyś wiedział, że te kilka dni które spędziłam przy twoim łóżku były chyba najpiękniejsze w moim życiu.

Dziewczyna odwróciła się i szybko odeszła w stronę bramy. Andrzej Ciesielski nawet nie próbował jej zatrzymać.

Nowe hipotezy

Przez najbliższe dni porucznik Andrzej Ciesielski i podporucznik Antoni Szymanek niczym innym się nie zajmowali, tylko od rana do końca godzin pracy czytali akta i dyskutowali na temat tego, co porucznik robił od dnia, kiedy objął dochodzenie w sprawie zabójstwa Zygmunta Stojanowskiego.

Porucznik już całkowicie przyszedł do siebie po napadzie; początkowo miewał lekkie zawroty głowy, ale i to minęło bez śladu. Nie ma to jak mieć dwadzieścia osiem lat. Oficer miał nadzieję, że piękna pani z Wilczej odezwie się choć telefonicznie. Telefon jednak milczał, zaś Andrzej, pamiętając ich ostatnią rozmowę, także nie wykrczał znajomego mu numeru. Nawet unikał przechodzenia przez Plac Teatralny, aby się nie narażać na pokusę. Uważał, że Irena ma rację. Jedyne czas może rozwiązać ten problem.

A czas biegł nieustannie. Nieustannie też prokurator Żarnowiecki, który prowadził śledztwo, dopytywał się o postępy pracy obu oficerów. Ze wstydem musieli mu stale odpowiadać, że nie dysponują konkretami.

Także pułkownik Niemiroch ciągle pytał Andrzeja Ciesielskiego, czy już wykrył drogę prowadzącą do celu. Coś, czego tak się obawiał przestępca, że aż zaryzykował próbę drugiego zabójstwa. Zresztą i sam pułkownik parokrotnie przeczytał całe akta od deski do deski - niczego jednak nie odkrył.

Pewnego dnia zadzwonił telefon. Porucznik szybko podniósł słuchawkę. Może łudził się, że to telefonuje dziewczyna, której piękne zielone oczy tak go urzekły? Ale w aparacie odezwał się męski głos: - Czy to porucznik Ciesielski? Mówi Janusz Adamczyk.

- Miło mi usłyszeć pana inżyniera.

- Dzwonię, bo przypomniała mi się pewna rozmowa z Zygmuntem. Jakiś miesiąc przed jego śmiercią. Może to nie ma żadnego znaczenia dla sprawy, ale wolałbym, aby [panowie treść tej rozmowy znali.

Wszystko, co dotyczy Zygmunta Stojanowskiego, i jest dla nas bardzo ważne.

Kłopotliwe jest dla mnie spotkanie z panem - tłumaczył kierownik robót. - Podjęliśmy zobowiązania, że [przedterminowo skończymy stawianie podpór estakady,

jeszcze przed zimowymi mrozami, kiedy to i tak betonowanie musi stanąć, bo charakter naszej budowy wyklucza pracę w „cieplakach”. Dlatego też od rana do wieczora tutaj siedzę. Pracujemy teraz na dwie zmiany, a ludzi, zwłaszcza personelu technicznego, brakuje. Dlatego nie ma mowy, żebym się mógł stąd wyrwać chociaż na dwie godziny i przyjechać do panów. W domu bywam gościem. Żona mówi, żebym dzieciom chociaż od czasu do czasu i przysłał pocztówkę z pozdrowieniami, bo kiedy wracam z pracy już śpią, kiedy wyjeżdżam do roboty, oni jeszcze nie wstają.

Nie ma problemu - odpowiedział porucznik. - Zaraz wsiadam w samochód i jadę do pana. Jeżeli to panu odpowiada?

Właśnie chciałem o to prosić.

Porucznik skończył rozmowę i zreferował jej przebieg koledze.

- Weź samochód bez milicyjnej rejestracji, ale jedź z kierowcą i niech on nie spuszcza cię ani na moment z oka.

- Coś ty - zachnął się Ciesielski - nie jestem prezydentem Stanów Zjednoczonych, żebym musiał jeździć z goryłami.

Jeszcze ci łeb zupełnie się nie wygoił, a już chcesz po raz drugi dostać - ostrzegał podporucznik. - Pamiętaj, co mówił stary.

Inżynier czekał przed barakiem. Zaproponował: - Może się przejdziemy po budowie? To nie będzie zwracało niczyjej uwagi. Dobrze, że pan porucznik przyjechał po cywilnemu.

- Raczej rzadko zakładam mundur - przytaknął oficer - chyba że podejmuję jakieś oficjalne czynności.

Dwaj mężczyźni szli wzdłuż wysokich kolumn - podpór przyszłej estakady. Trasa Toruńska na tym odcinku coraz widoczniej wyrastała z ziemi. Chyba szybciej niż przysłowiowe grzyby. Wszędzie panował wielki ruch. Co chwila koło nich przejeżdżały specjalne samochody dowożące beton na budowę. Porucznik rozglądał się z zaciekawieniem. Inżynier udzielał objaśnień. Tłumaczył, że Trasa Toruńska to inwestycja trzykrotnie większa niż poprzednio budowana Trasa Łazienkowska. Ona to będzie w przyszłości stanowić główną część autostrad przecinających Polskę z północy na południe i z zachodu na wschód, łączących się w sercu kraju, jego stolicy, Warszawie.

Za inżynierem i porucznikiem podążał trzeci mężczyzna, również w cywilnym ubraniu. To wywiadowca MO pełniący rolę kierowcy. Najwidoczniej otrzymał od porucznika Szymanka wyraźne instrukcje.

- Wracając do sprawy, o której porucznikowi wspomniałem przez telefon - nawiązał Adamczyk – przedstawia się to tak: jakiś miesiąc czy może pięć tygodni przed i śmiercią, daty dokładnie nie pamiętam, Zygmunt powiedział do mnie: „W wytwórni betonu cement teraz już kradną całymi ciężarówkami”. Nie przywiązywałem wagi do tych słów, bo dla Zygmunta wszyscy, którzy trochę gorzej pracowali byli złodziejami i bandytami, ale on dodał: „Teraz od Żerania aż do Jabłonny stawiają szklarnię przy szklarni. A chyba nikt z tych pseudobadylarzy legalnie cementu nie kupił. A przynajmniej nie kupił go tyle, żeby wystarczyło na całość. Skąd więc biorą materiały budowlane? Najłatwiej o cement od nas. Blisko, samochód wiozący beton zboczy trochę, wyrzuci ładunek, kilka worków, i nawet bez opóźnienia odjedzie na plac budowy.”

Ciekawe, i być może prawdziwe - porucznik z uwagą słuchał inżyniera.

Wtedy to sobie zlekceważyłem. Pamiętam, że powiedziałem: „Zygmunt, mamy swoje kłopoty. Nie martw się cudzymi. Grunt, żebyśmy zawsze dostawali beton na czas. A cementu niech pilnują ci z wytwórni. Przecież mają określone normy na to, ile ton betonu ma być z jednej tony cementu. Kontrolę im zostaw”. Ale Zygmunt był uparty jak stary kozioł. Tłumaczył mi: „Ilość betonu będzie się zawsze zgadzała. Wystarczy wziąć trochę więcej żwiru i wody. Wody nikt nie mierzy, ile się jej zużywa, a żwir dostają całymi pociągami. Jego rejestracja jest dużo mniej dokładna niż cementu. Ci przy betoniarkach zawsze mogą dodać więcej żwiru, skrócić kilka czy nawet kilkanaście worków cementu. Tego przy tak wielkiej produkcji nikt nie zauważy. Nawet szczegółowa analiza nie wykazałaby większych rozbieżności. A wiesz, ile się dzisiaj płaci na wolnym rynku za jeden worek cementu? Starczy nie tylko na wódkę”.

Bardzo logiczne. Nie ma miesiąca, żeby milicja nie nakryła takich złodziei materiałów budowlanych.

Byłem wściekły na Zygmunta. Ten człowiek zawsze musiał wsadzać palce w cudze sprawy. Odburknąłem mu, żeby sobie poszedł do kierownika wytwórni betonu albo nawet do samego

naczelnego dyrektora, ale mnie niech głowy nie zawraca bo mam ważniejsze sprawy, niż śledzenie tego, co się dzieje na cudzym podwórku. Tu taka wielka budowa. Setki ludzi. Trzeba każdego pilnować, żeby nie bumelował, a ten się czepia kilku worków cementu.

A co na to Stojanowski?

Powiedział, że pójdzie choćby do dyrektora, ale najpierw musi zebrać dowody, aby mieć czarno na białym.

Zrobił to?

Nie wiem. Wkrótce potem wyjechałem do Czechosłowacji. Gdy wróciłem, Stojanowski już nie żył.

Nie dowiadywał się pan w dyrekcji przedsiębiorstwa lub u kierownictwa betoniarni, czy stwierdzono u nich kradzież? Czy sądzi pan, że przypuszczenia Stojanowskiego odpowiadały prawdzie?

Nie pytałem, nie wiem też, czy Zygmunt tam dotarł. W każdym razie jego przypuszczenia mogły być prawdziwe. Sam nieraz zachodziłem w głowę, skąd ci ludzie budujący szklarnie biorą cement, żelazo i szkło, już nie mówiąc o armaturach, które przecież jeszcze trudniej zdobyć, i których w ogóle prawie nie ma w sklepach branży budowlanej. A przecież ich budynki powstają prędzej niż niejedne nasze hale fabryczne wykonywane przez firmy państwowe, które zasadniczo nie powinny mieć trudności z zaopatrzeniem w materiały budowlane. O tej rozmowie z Zygmuntem przypomniałem sobie dopiero wczoraj wieczorem. Dzisiaj rano zatelefonowałem do Pałacu Mostowskich. Nie miałem więc czasu porozumieć się z kimkolwiek poza porucznikiem.

To dobrze nawet - zgodził się porucznik - że nikt o tym nie wie. Jeżeli rzeczywiście inżynier Stojanowski był na drodze do wykrycia poważnych nadużyć i jego śmierć łączyła się z tą aferą, dla pańskiego osobistego bezpieczeństwa będzie lepiej, jeżeli nasza rozmowa pozostanie w tajemnicy. Naturalnie, aż do pewnego czasu. My swoimi kanałami sprawdzimy, czy podejrzenia Zygmunta Stojanowskiego miały uzasadnienie.

Pan sądzi, że oni go mogli zabić?

Skoro to nie są jakieś drobne kradzieże a duży, dobrze zorganizowany gang, ci ludzie w obawie przed wsepą nie zawahaliby się przed morderstwem.

Duże kradzieże byłyby możliwe tylko za wiedzą i ze współudziałem kierownictwa wytwórni betonu. Znam dobrze inżyniera Wiernacika, który jest kierownikiem betoniarni. To bezwzględnie uczciwy człowiek.

A inni? Także pan gotów ręczyć za ich uczciwość?

Janusz Adamczyk zawahał się. - Tam w ciągu ostatniego roku sporo osób się zmieniło. Praca w wytwórni betonu nie jest specjalnie ciekawa. Inżynierowie, zwłaszcza młodzi, mający pewne ambicje, szybko stamtąd uciekają do innej roboty. Choćby do nas. Ale znam tam także kilku techników, ludzi już starszych. Pracują w wytwórni od lat. Nie sądzę, aby poszli na tego rodzaju śliskie interesy.

- Widzi pan, inżynierze - roześmiał się porucznik - każdy przestępczy związek uważa, że udało mu się wypracować doskonałe metody kradzieży. Że nikt nigdy ich nie złapie. Zwykle zaczyna się to od drobnych ilości kradzionych towarów, później, w miarę rozrastania się gangu i przyzwyczajania się jego członków do łatwych i szybkich zarobków, apetyty gwałtownie rosną. Tak było z wszystkimi wielkimi przestępstwami gospodarczymi, że wspomnę afery mięsne, gang włókienniczy czy słynną aferę rtęciową. Kierownik betoniarni może być kryształowo uczciwym człowiekiem, a gang będzie działał poza jego plecami. Wystarczy, że zmowa obejmie tych, którzy dozują cement, portierów i kierowców. Dokumentacja pozostanie bez zarzutu. Inżynier Wiernacik przecież nie stoi stale przy

betoniarce i nie sprawdza, czy nie wlano więcej wody lub dano więcej piasku niż tego wymaga norma. A uzyskane w ten sposób nadwyżki spokojnie wyjeżdżają za bramę.

Wyrywkowo sprawdza się jakość betonu.

Przypuszczam, że takie próby robione w warunkach wytwórni polowej nie są zbyt dokładne. A poza tym członkiem gangu może być także ten, kto tych prób dokonuje.

No, może. Nie wiem - przyznał szczerze inżynier Adamczyk. - Przypomniałem sobie pewną rozmowę z Zygmuntem Stojanowskim i możliwie najdokładniej powtórzyłem ją panu porucznikowi. Reszta zależy od was.

Ależ, ja jestem naprawdę bardzo zobowiązany za te informacje! I uważamy naszą rozmowę za ściśle poufną, prawda?

Po powrocie z budowy Trasy Toruńskiej porucznik Ciesielski natychmiast zameldował się u pułkownika Niemirocha. „Stary” uważnie wysłuchał oficera.

- Tyle razy byliśmy na fałszywym tropie – powiedział - może w końcu trafiliśmy na dobry? To może być ten tak długo poszukiwany przez nas motyw zbrodni. Porozum się z majorem Liskiewiczem, który kieruje wydziałem przestępstw gospodarczych. On się w tym orientuje znacznie lepiej od nas. Niech to sprawdzą.

Major Liskiewicz bez zdziwienia przyjął do wiadomości relacje porucznika. - Zdajemy sobie sprawę - powiedział - że ciągle jeszcze istnieje poważny przeciek materiałów budowlanych z przedsiębiorstw państwowych do rąk prywatnych. Przeciek oczywiście całkowicie nielegalny. Walczymy z tym, mamy niezłe rezultaty, ale nikt nigdy nie zlikwidował spekulacji zarządzeniami i represjami. Tylko rzucenie odpowiedniej ilości towaru likwiduje czarny rynek. A w tej chwili, przy tak napiętych planach budownictwa, państwo nie jest w stanie rzucić odpowiedniej ilości cementu na wolny rynek...

- Właśnie. Orientujemy się dobrze także w budownictwie szklarni i prywatnych willi. Wiemy, że istnieje cały czarny rynek handlu materiałami budowlanymi. Czerpie on swoją masę towarową także i z kradzieży. Co do szklarni, to zużywa się na nie stosunkowo niewiele cementu. Jedyne na fundamenty i podłogi. Tam głównym problemem jest żelazo płaskie, kątowniki i armatury. To

budownictwo zresztą jest popierane i pewne ilości materiałów budowlanych ci ludzie zakupują legalnie. Czy to im starcza? Wykupują cement ze spółdzielni „Samopomocy Chłopskiej” przez podstawione osoby. Często wraz z Inspekcją Handlową prowadzimy kontrolę tych prywatnych budów. Urządzamy obławy na drogach. Nie zlikwidowaliśmy wszystkich kradzieży, ale poważnie ograniczyliśmy ich rozmiary. Co do wytwórni betonu na budowie Trasy Toruńskiej to obserwowaliśmy ten zakład. Bez rezultatu. A wiecie, poruczniku, jaka jest przyczyna naszego niepowodzenia?

Nie.

Worki, po prostu worki.

Jak to worki? - zdziwił się porucznik

Żeby ukraść cement, trzeba go w czymś wywieźć za bramę wytwórni.

Przecież cement jest pakowany w worki po pięćdziesiąt kilogramów. Papierowe lub plastikowe.

W takiej formie dostarcza się go do różnych budów prowadzonych tradycyjnym systemem. Co innego przy wielkich budowach przemysłowych. Tam cement przywozi się prosto z cementowni w wielkich cysternach. Luzem. Ten trafia albo do specjalnych silosów albo od razu do betoniarek. A produkt pracy betoniarek jest wywożony na budowę w samochodach wywrotkach. Tak więc złodziej może rzeczywiście przez fałszowanie norm produkcyjnych spowodować pewne nadwyżki cementu w

betoniarni. Ale jak go wywiezie?

W cysternie, która ten cement przywiozła.

Prywatny nabywca raczej nie kupi cementu luzem. Potrzebuje zazwyczaj kilku lub kilkunastu worków. A cysterna przewozi bodaj dwanaście ton. Ilość wystarczająca na budowę średniej kamienicy, nie zaś willi czy szklarni. Poza tym te cysterny są bardzo charakterystycznymi samochodami specjalnymi. Zbyt łatwo wpadają w oko, aby prywatny nabywca kradzionego cementu ryzykował wjazd cysterny na swoją parcelę. Jak wskazuje nasza praktyka, kradziony cement wozi się najczęściej w nysach lub nawet w bagażnikach samochodów osobowych. Kontrola ciężarówek ostatnio jest szczegółowa i bardzo zaostrzona.

A zatem „klapa” z naszą teorią?

Tego bym nie powiedział - zastrzegł się major - pomysłowość złodziei jest niewyczerpana. Mogli wymyślić jakieś sposoby kradzieży cementu luzem. Zbadamy dokładnie ten problem. Dokonamy inspekcji wytwórni. Zatrudnimy tam kilku naszych ludzi, a także obstawimy drogi prowadzące do i z wytwórni. Kradzież najłatwiej złapać w czasie transportu.

Przez następne dni ludzie majora Liskiewicza mieli sporo roboty. Patrole zatrzymywały i sprawdzały wszystkie samochody, jakie pojawiały się w pobliżu wytwórni. Właściciele prywatnych szklarni gęsto się tłumaczyli, skąd wzięli materiały budowlane.

Jak zwykle tego rodzaju obława ujawniła najrozmaitsze przestępstwa. Niektóre sprawy nadawały się od razu dla prokuratora, inne znalazły swój epilog w nałożeniu przez kolegium wysokich grzywien. Jednakże nie zdobyto najmniejszego dowodu, który by wskazywał na wywożenie cementu z wytwórni betonu.

Jak słusznie zauważył major, trudno kraść cement luzem. Teoretycznie istniała możliwość, że na terenie betoniarni ładuje się sypki cement w worki. Zbyt kłopotliwe i zbyt rzucające się w oczy zajęcie. A poza tym - skąd wziąć worki?

Porucznik Ciesielski zawiadomiony przez majora o wynikach obławy pokiwał smętnie głową. Zdążył się, nieborak, przyzwyczaić, że każda z wszczynanych przez niego akcji kończyła się niepowodzeniem.

Od śmierci Zygmunta Stojanowskiego upłynął przeszło miesiąc. Zabójca inżyniera ciągle był na wolności i nic nie wskazywało, aby w najbliższym czasie coś się miało zmienić.

A jednak...

Paczka z książkami

- Jest do was, poruczniku, poczta. - Urzędniczka z dziennika podawczego zawiadomiła porucznika Ciesielskiego. - Jaka poczta? Urzędowa?

Nie. To przesyłka z księgarni wysyłkowej. Paczka z książkami.

Nie zamawiałem żadnych książek.

Tego nie wiem. Przyszła przesyłka na wasze nazwisko. Dwie książki pod opaską. Tytuł widać. Grube tomy - "Wielka Koalicja". Czy sami odbierzecie, czy przysłać na górę?

Przyślijcie, jak będzie okazja do mnie, do pokoju.

I tak zaraz dyżurny będzie roznosił pocztę, to i wam przyniesie.

Dziękuję.

Porucznik odłożył słuchawkę i powiedział do Antoniego Szymanka: - Nigdy nie zamawiałem żadnych książek w księgarni wysyłkowej. Ciekaw jestem, kto mi zrobił taki prezent.

Co to za książki?

Podobno „Wielka Koalicja”.

Masz szczęście! To najnowszy bestseller. Ludzie biją się, aby dostać te dwa tomy. Na wolnym rynku podobno można je kupić najtaniej za siedemset złotych, chociaż cena oficjalna wynosi zaledwie dwie setki. Może to piękna Irenka zrobiła ci taką niespodziankę? A propos, co się z nią dzieje?

Nie wiem. Pewnie zdrowa.

Jak to?

Nie widziałem jej od dnia, kiedy nareszcie mogłem opuścić szpital.

Łżesz jak pies!

Naprawdę nie widziałem. Ani też nie telefonowałem.

Nie poszedłeś z bukietem kwiatów, żeby jej podziękować za ocalenie życia i za to, co dla ciebie zrobiła? Za opiekę?

Przecież pułkownik złożył jej oficjalne podziękowanie.

No wiesz? Dobre sobie. Dziesięć dni opiekuje się nim, waruje przy jego łóżku, a on nawet nie powie „dziękuję”.

Kiedy już wyzdrowiałem i mogłem opuścić szpital to żegnając się z panią Stojanowską, bardzo serdecznie podziękowałem jej za opiekę.

Ty jesteś albo eunuchem, albo kretynem. Babeczka jak malowanie, na pierwszy rzut oka widać, że się zadurzyła w tym bałwanie, a on... Jak kolek! Nawet jej nie odwiedzi! Takiego...

Dalszy monolog podporucznika przerwało wejście kaprała Jabkowskiego, który przyniósł paczkę dla porucznika. Rzeczywiście były to dwa grube tomiska w opasce z szarego papieru pakowego. A na białej kartce wydrukowano maszynowym pismem adres: Stołeczna Komenda MO, Pałac Mostowskich, porucznik Andrzej Ciesielski.

Paczka zawiązana była kolorowym sznurkiem. Takim, jakim zazwyczaj posługują się księgarnie „Domu Książki”. Opaska papierowa, znacznie węższa niż same książki, pozwalała przeczytać na ich grzbiecie tytuł „Wielka Koalicja”, pod tym rzymską jedynekę, a na drugiej książce rzymską dwójkę. Na odwrotnej stronie opaski było napisane długopisem „Księgarnia Wysyłkowa”, ul. Świerczewskiego, Warszawa.

Ciesielski wziął paczkę do ręki i już miał rozwiązać sznurek, kiedy podporucznik go zatrzymał:

Poczekaj!

O co ci chodzi?

Położ tę paczkę. Nie ruszaj jej.

Ciesielski bez sprzeciwu położył książki na stole, ale zdziwiony spojrzał na przyjaciela.

Nie wierzę w bezinteresownych dobroczyńców - powiedział Szymanek - już raz chciano cię wyprawić do lali. Teraz znowu ta paczka. Diabli wiedzą, co w niej jest?

Przecież widać. Dwa tomy „Wielkiej Koalicji”.

To okładki. Ale co w środku?

Przecież widać papier.

Nie sztuka wyciąć środek tak, aby na zewnątrz książka robiła wrażenie całej. Sam się zastanów. Nie zamawiałeś niczego i raptem przysyłają ci najbardziej poszukiwaną książkę na rynku. Rozmawiałeś z kimś o tym wydawnictwie? Albo wspominałeś, że chcesz ją kupić?

Kiedy byłem uziemiony przez te dziesięć dni, dużo rozmawialiśmy z Ireną o książkach. Nie przypominam sobie, ale może także wymieniałem ten tytuł. Mam trochę różnych dzieł historycznych z okresu drugiej wojny światowej, ale „Wielką Koalicję” po prostu przegapiłem i nie zapisałem się na

nią.

Więc zadzwoń do Stojanowskiej i zapytaj ją, czy zrobiła ci taki prezent?

Nie chcę.

Wariat jesteś. Pogniewaliście się?

Po prostu nie chcę.

W takim razie ja zadzwonię. - Porucznik odszukał numer telefoniczny kawiarni „Aida”. Miał szczęście. Piękna kelnerka akurat tego dnia miała dyżur. Podeszła do telefonu.

Pani Ireneo, mówi podporucznik Szymanek. Chciałbym panią spytać, czy zrobiła pani ostatnio prezent Ciesielskiemu?

Nie - zaprzeczyła zdziwiona Stojanowska.

Nie kupiła pani i nie przesała na nazwisko Andrzeja do Stołecznej Komendy Milicji dwóch tomów „Wielkiej Koalicji”?

Nie. Ale dlaczego pan o to pyta?

Bo właśnie Andrzej otrzymał te książki i nie wie, komu podziękować.

Nie mógł sam mnie o to zapytać?

To samo mu powiedziałem, ale on się krępował zadzwonić.

Nikommu żadnych książek nie przesyłałam. - Stojanowska położyła słuchawkę.

Nie pozostaje nam nic innego, jak poprosić fachowca pirotechnika, aby rozpakował paczkę. Trzeba będzie rozejrzeć się za kimś odpowiednim.

Nie rób głupstw - protestował Ciesielski. - Cała komenda skręci się ze śmiechu. Naoglądałeś się ostatnio albo naczytałeś jakichś amerykańskich kryminałów.

Nie musiałem. W ostatnich latach i w Polsce zdarzyło się kilka zamachów dokonywanych przy pomocy paczek z bombami. O jednym z nich pisała bodaj przed dwoma laty nasza prasa fachowa. Porucznik Ciesielski mógłby ją uważniej czytywać.

Sam rozpakuję tę paczkę. Znam się na tym trochę. Uczyli nas tego w szkole oficerskiej.

Mowy nie ma.. Zawiadom pułkownika Niemirocha i niech on decyduje, co robić. Widać, że uderzenie w łeb niczego cię nie nauczyło. A szkoda!

Pułkownik całkowicie podzielił pogląd Szymanka. Zabronił w ogóle obu oficerom przebywania w pokoju, gdzie leżała tajemnicza przesyłka i sam zajął się wyszukaniem fachowca, który by rozbroił ewentualną bombę. Nie było to takie proste, bo tego rodzaju przestępstwa na szczęście są w Polsce bardzo rzadkie. Znaleziono jednak w Komendzie Głównej kapitana Laskowskiego, który będąc z zawodu saperem, specjalnie studiował technikę takich zamachów. Kapitan ucieszył się, że swoje teoretyczne wiadomości nareszcie będzie mógł wypróbować w praktyce, i natychmiast zjawił się w Pałacu Mostowskich. Miał ze sobą dość sporą walizkę z najrozmaitszymi przyborami, które mogłyby mu się przydać w tej trudnej” i niebezpiecznej pracy. Uważnie obejrzał paczkę.

Ponieważ przyniósł ją do gmachu listonosz, a tutaj do pokoju podoficer dyżurny, stąd wniosek, że paczkę można spokojnie wziąć do ręki. Nie sędzę także, aby w środku był jakiś detonator czasowy. Raczej urządzenie odpalające ładunek wybuchowy z chwilą zwolnienia sznurka lub otworzenia książki. Przypuszczam także, że tylko jedna z książek jest pułapką. Druga pozostanie porucznikowi na pamiątkę dzisiejszej przygody.

Albo po prostu ktoś znający moje zamiłowania historyczne zrobił mi niespodziankę.

Byleby miła! Zobaczmy. Zabiorę tę paczkę i pojedziemy nad Wisłę. Ładunek wybuchowy nie może być zbyt wielki. Gdyby wybuchł na świeżym powietrzu, nie zrobi wielkiej szkody. A teraz na plaży nie ma żywego ducha. Tego rodzaju bomby robione są u nas prymitywnie. Co innego na zachodzie. Tam się robi nawet listy-pułapki, które zabijają przy rozerwaniu koperty.

A pan kapitan?

Znacie przecież porzekadło, że „saper myli się tylko jeden raz”. Nie sędzę jednak, aby do tego doszło. Jestem prawie pewien tego, co znajdę w środku. Sprężynę zwalniającą iglicę uderzającą w spłonkę. Znam takie zabawki. Nazywa się to „medal za odwagę”. W środek kładzie się papierowy kapiszon, a medal umieszcza na przykład na blacie stołu. Ktoś zaciekawiony metalowym krążkiem bierze go do ręki i podnosi. Wtedy następuje dość głośny wystrzał. Tu zrobiono zapewne coś podobnego.

Kapitan spokojnie wziął paczkę w rękę i prowadzony przez obu oficerów wyszedł z komendy. Pojechali na plażę na Saskiej Kępie. Tam Laskowski otworzył swoją walizeczkę i wyjął z niej różne przyrządy. Między innymi całą kolekcję noży i stalowych prętów, a także cienkie przezroczyste płytki z plastyku.

Teraz oficer ostrożnie, kawałek po kawałku, usuwał papierową opaskę. Później dokładnie obejrzał sznurek, którym książki były związane. Następnie spróbował wsunąć pomiędzy kartki książki cieniutki, ale długi nóż. W książkę oznaczoną „tom II” ostrze weszło bez trudu i przeszło na drugą stronę. Nie napotkało także przeszkód, kiedy Laskowski włożył je pomiędzy obydwie tomy.

Co innego z tomem pierwszym. Tutaj nóż zagłębił się jedynie na parę centymetrów i zaraz napotkał opór. Pomimo wkładania cienkiej stali z trzech boków książki za każdym razem powtarzało się to samo. Ostrze dochodziło do jakiejś przeszkody i dalej nie mogło się posuwać.

- Już wiem - powiedział oficer przerywając swoje zajęcie i podchodząc do Ciesielskiego, który z przyjacielem obserwował jego próby z bezpiecznej odległości.

W tomie pierwszym „Wielkiej Koalicji” coś jest. Tom drugi, to zwykła książka. A system bombki taki, jak przypuszczałem.

Teraz kapitan spokojnie przeciął sznurek i ciągle trzymając tom pierwszy tak, aby się nie mógł otworzyć, odłożył go na bok i przycisnął dla pewności jakimś ciężarkiem. Drugą książkę wziął do ręki i spokojnie przekartkował. Znowu podszedł do obu przyjaciół i podał Ciesielskiemu książkę.

- Musi pan, poruczniku - powiedział - szukać teraz tomu pierwszego. Ten, który leży na ławce, niestety nie jest do czytania.

Nastąpiła najważniejsza chwila. Laskowski powoli wsuwał cienką przezroczystą płytkę pod okładkę, ciągle pilnując, aby nie zwolnić nacisku. Kiedy wreszcie płytka zajęła swoje miejsce, oficer otworzył okładkę. Na płytce znowu umieścił ciężarek.

- Chodźcie, panowie, zobaczcie to „arcydzieło”. Obaj oficerowie podeszli bliżej. Pod przezroczystym

plastykiem widać było jakąś metalową puszkę. Do niej przymocowana była sprężyna w formie greckiej litery omegi. Nieco dalej wystawała ze skrzynki metalowa spłonka, jakiej się używa do naboju myśliwskich.

Mówiłem, że to prymitywna robota - pochwalił się specjalista - ale siła tej bombki wystarczyłaby na pewno do przetransportowania ciekawego czytelnika do lepszego świata. Otworzenie okładki zwalnia sprężynę, która uderza wtedy w spłonkę. Ponieważ ładunek wybuchowy umieszczony jest w metalowej skrzyneczce, detonacja byłaby dość duża.

Co pan robi teraz?

To już zupełne głupstwo. Po prostu tak zsunę płytkę, aby dostać się do sprężyny i wyjąć ją. Reszta nie jest bardziej groźna niż trzymane w ładownicy naboje od dubeltówki.

Po chwili kapitan spokojnie schował do swojej walizeczki sprężynę i nie przedstawiającą już

niebezpieczeństwa książkę.

- Nasze „muzeum zbrodni” w Zakładzie Kryminalistyki - powiedział śmiejąc się - wzbogaci się o nowy, ciekawy i rzadki eksponat. Niezmiernie się cieszę, że porucznik ma niezwykłych przyjaciół, przysyłających mu takie urocze prezenty. Polecam się na przyszłość.

Kapitan pojechał na Ksawerów, porucznik Ciesielski z książką pod pachą wrócił do swojego pokoju.

Tę książkę trzeba jednak posłać do Zakładu Kryminalistyki - zdecydował. - Może są na niej jakieś mikroślady?

Masz tu i resztki opakowania - podporucznik podał skrawki papieru pakowego oraz sznurek. - Wyślij to razem.

Zatelefonowała sekretarka, panna Krysia. Zawiadomiła, że obaj oficerowie mają się natychmiast stawić u pułkownika.

Niemiroch nie ukrywał swojego złego humoru. - Doszło już do tego, że do gmachu komendy przysyłają bomby. A wy, jak słyszałem, bagatelizowaliście sprawę i chcieliście otworzyć paczkę. No, nie tak było?

Chciałem - szczerze przyznał Ciesielski - ale Antek mi nie pozwolił.

A ostrzegałem, żebyście się mieli na baczności. Może nie ostrzegałem?

Ostrzegał pan pułkownik - Ciesielski znając zwierzchnika wiedział, że przyznawaniem i potakiwaniem najszybciej go rozbroi.

Mam osłów, a nie oficerów.

Tak jest, panie pułkowniku. - Ciesielski pomyślał sobie, że ma dzisiaj dobry dzień. Nazwano go już „eunuchem”, „kretynem”, „bałwanem”, nawet „wariatem”. Teraz do kolekcji przybył „osioł”. A do wieczora daleko.

No, może nie całkiem osłów - zreflektował się pułkownik - ale ludzi bardzo nieostrożnych, a przede wszystkim takich, którzy nie umieją myśleć.

Panie pułkowniku...

Nie rozumiesz? To bardzo proste. Już raz ci mówiłem. Dlaczego przestępca usiłuje wyeliminować Ciesielskiego? Na pewno nie robi tego z czystej żądzy mordy, ale z wyrachowania. Po prostu dlatego, że Ciesielski ma w swoim ręku klucz do rozwiązania zagadki, tylko że nie umie go znaleźć. A nie umie, bo nie potrafi myśleć.

Cały czas nad tym się zastanawiam. Ciągłe szukam motywu. To samo zresztą robi Antek. Ale do niczego nie możemy dojść.

Tylko ty, Andrzej, możesz znaleźć zabójcę. Bo tylko ciebie przestępca chce zamordować. Szymanek i ja sam, chociaż znamy całą sprawę i czytaliśmy wielokrotnie akta, nie stanowimy dla zbrodniarza żadnego niebezpieczeństwa. Nie mamy możliwości wykrycia prawdy. To sprawa dla jednego. Dla ciebie.

Posłałem do Zakładu Kryminalistyki opakowanie bomby i książkę. Spodziewam się, że znajdą tam jakieś mikroślady, a poza tym zdobyliśmy jedną informację o mordercy.

Jaką?

Facet zna się na produkcji bomb i ma dostęp do materiałów wybuchowych. Najprawdopodobniej jest myśliwym. Użył do tej piekielnej maszyny spłonki od naboju myśliwskich. Kupił ją w sklepie z przyborami myśliwskimi. A tam sprzedają wyłącznie myśliwym.

Szukaj wiatru w polu. Mało to ludzi w Polsce poluje?

To jednak jest pewien ślad.

Po którym daleko nie zajdziemy. Co innego jeśli będziemy mieli przestępcę w ręku. Wtedy to

może być jeden z dowodów. Wiesz Andrzeju, co ci powiem?

???

Jeżeli chcesz, jedź sobie na ryby albo na wycieczkę w góry. W Zakopanem październik bywa nieraz bardzo piękny. Weź Irenkę ze sobą albo siedź w „Aidzie” i gap się na... przechodzących trotuarem.

On jej wcale nie widuje - wyrwał się podporucznik.

Naprawdę?

Tak jest.

Cymbał jesteś. Taka dziewczyna. Gdybym był młodszy...

Jest i „cymbał” - prawie z radością pomyślał Ciesielski, a głośno powiedział: - Nie zapominam, panie pułkowniku, że na razie Irena Stojanowska jest jedyną podejrzaną. Jedyne ona miała motywy popełnienia zbrodni.

Niemiroch popatrzył na porucznika i uśmiechnął się. - Porządny z ciebie chłopak. Nie przypuszczałem, że do tego stopnia. Przepraszam cię. Nie gniewaj się na starego.

Kiedy ja, panie pułkowniku...

Od dzisiaj będziesz miał obstawę. W dzień i w nocy. Jak największa ostrożność. Nie wolno ci samemu otwierać drzwi do własnego mieszkania. Zawsze wychodząc z domu zostawiaj jakiś sekretny znak. Na przykład zalepiaj drzwi włosem, żebyś wiedział, czy ktoś nie próbował dostać się do środka. Żadnego, bywania po lokalach. Żadnych interwencji. Nawet kiedy usłyszysz wołanie o ratunek albo zobaczysz, że jakiś chuligan bije staruszkę. Twoja obstawa będzie interweniować. Ty nigdy. Zrozumiano?

Tak jest, panie pułkowniku.

I naturalnie ani kroku bez broni.

Tak jest.

Nie chodzi mi o ciebie. Chodzi o tamtą zbrodnię. Powtarzam: tylko ty możesz ją rozwiązać. W twoim ręku są wszystkie atuty. Rób, co chcesz, ale nieustannie analizuj swoje postępowanie. Bo jestem przekonany, że to najważniejsze nie znajduje się w aktach. To coś, koło czego przeszedłeś, nie zwracając na to najmniejszej uwagi. A tymczasem właśnie tego obawia się zabójca Stojanowskiego.

Nie przypuszczam, panie pułkowniku, aby ten facet znowu zaryzykował.

Do trzech razy sztuka, mówi przysłowie. Wolę, żeby nie było tego trzeciego razu. Dlatego i sam musisz się pilnować i my cię musimy strzec.

Porucznik nie skorzystał z danej mu wolnej ręki. Nie pojechał na ryby ani nie podziwiał złotej polskiej jesieni w Tatrach. Codziennie przychodził do swojego pokoju i codziennie studiował akta. Bez rezultatu.

Niewielkie rezultaty przyniosły także badania Zakładu Kryminalistyki. Znalezione na książce mikroślady - włoski ze sztucznej wełny koloru popielatego. Na pewno materiał na damskie okrycie. Inne ślady - to elanowełna. Kolor: ciemny granat. Najprawdopodobniej materiał, z którego szyje się męskie marynarki.

Poza tym kapitan Laskowski zawiadomił porucznika, że bombę wypełniono zwykłym prochem, który jest w sprzedaży w sklepach ze sprzętem myśliwskim. Ładunek wybuchowy był jednak dostatecznie silny, aby w razie wybuchu zabić lub w każdym razie ciężko zranić człowieka, który otworzyłby książkę. Wybuch nastąpiłby na pewno. Próby techniczne wykonane po usunięciu prochu zawsze powodowały odpalenie spłonki. Zarówno metalowy pojemnik na proch, jak i cała książka-pułapka były bardzo dokładnie wytarte i nie nosiły żadnych śladów.

Znowu zaświeciło słońce

Nastała „złota polska jesień”. W Warszawie było tak ciepło, że panie włożyły letnie sukienki, a mężczyźni chodzili w lekkich garniturach, w południe w samych koszulach, bez marynarek.

Sprawa zabójstwa Zygmunta Stojanowskiego niestety nie ruszyła z miejsca. Prokurator stracił nadzieję na ujęcie mordercy i coraz częściej wspominał, że po upływie przewidzianego kodeksem terminu trzeba będzie śledztwo umorzyć. Pułkownik Niemiroch wprawdzie nic nie mówił, ale takim wzrokiem spoglądał na swojego oficera, że porucznik Andrzej Ciesielski wolałby się raczej zapaść pod ziemię niż pokazywać na oczy swojemu zwierzchnikowi. Zaś pewna piękna kelnerka coraz bardziej się martwiła, że ten telefon, na który tak czekała, jakoś się nie odzywa.

Ciesielski nauczył się już na pamięć akt sprawy, ale nadal nie mógł zrozumieć, dlaczego to tylko on jest taki groźny dla mordercy i dlaczego naczelnik wydziału zabójstw twierdzi, że nikt inny tego dochodzenia nie popchnie, bo jest to „sprawa dla jednego”.

Taki piękny dzisiaj dzień! - Podporucznik Szymanek przychodził teraz pierwszy do pracy. Co prawda zawsze po mniejszej lub większej wojnie z żoną, uroczą panią Hanką. - Chyba nawet cieplejszy niż ten upał w drugiej połowie września, kiedy to na Pradze udawałeś „białą damę”.

„Białą damę”? - Porucznik tak był ostatnio przytłoczony niepowodzeniami, że nie od razu zrozumiał, o co chodzi przyjacielowi. Dopiero po chwili przypomniał sobie podwórze fabryczne w spółdzielni na Ziemowita, trzask pękającego worka i biały obłok, który ich wszystkich natychmiast okrył.

I nagle oficer milicji uzmysłowił sobie zupełnie drobny wycinek jednego z dokumentów dochodzenia. Ten wycinek, który na początku wydawał się porucznikowi zupełnie bez znaczenia. Teraz urósł do rangi klucza rozwiązującego zagadkę. Ciesielski zerwał się z biurka, wrzucił akta do szuflady i skierował do drzwi.

- Co cię ukąsiło? - zapytał przyjaciel zdziwiony, że porucznik nie zainteresował się rezultatami wczorajszych działań podporucznika.

Ciesielski zatrzymał się w progu.

Wiem już - powiedział - kto zabił Stojanowskiego, a przynajmniej jaki jest motyw zbrodni i w jakim kręgu należy szukać mordercy.

Kto?!

Nie powiem ci.

Dlaczego???

Bo nazwiesz mnie wariatem i będziesz miał rację.

Tyś chyba już zwariował.

Być może. Wiem, kto zabił, ale nie mam przeciwko temu człowiekowi najmniejszego dowodu. Wszyscy byście mnie wyśmiali, gdybym wam powiedział, jak do tego doszedłem.

Dokąd lecisz?

Najpierw do domu, a potem do Zakładu Kryminalistyki. Po dowód.

Uważaj na siebie. Pamiętaj o rozkazie pułkownika.

Łazi za mną ten cerber. Mam go powyżej dziurek od nosa.

Tym bardziej, kiedy ci coś świta pod sufitem, powinieneś się pilnować.

Porucznik już tych przestróg nie słyszał. Wybiegł z pokoju i za chwilę gnał samochodem do mieszkania. Tam swój „dowód” zawiązał w gazetę i pojechał do Zakładu Kryminalistyki.

Muszę to mieć natychmiast - przekonywał majora, specjalistę od mikrośladów. - Jest wskazany jak największy pośpiech.

Pośpiech jest dobry przy łapaniu pcheł. - Major nie wzruszył się wzburzeniem młodego człowieka. - Dostaniecie swoją analizę nie wcześniej i nie później, aż będzie zrobiona. Zrobimy ją, jak przyjdzie kolej.

To naprawdę, majorze, bardzo pilne.

U nas wszystkie analizy są „na wczoraj”. Innych w ogóle nam nie przysyłają. Każdemu z was się zdaje, że my tu nic nie robimy. Ktoś spojrzy w mikroskop, inny coś naświetli promieniami pod - czy nadczerwonymi i analiza gotowa. Nie zdajecie sobie sprawy, że od naszych ustaleń zależy wolność czy nawet życie człowieka. - Major dosiadł swojego ulubionego konika. - Coś tam liznęliście w szkole oficerskiej w Szczytnie i teraz każdy z was przylatuje tutaj jak po ogień.

Kiedy, panie majorze, to naprawdę bardzo ważne. Sprawa o morderstwo. Inaczej nigdy bym się nie ośmielił tak nastawać na pośpiech.

No, już dobrze. - Majora wyraźnie ułagodziła pokora młodszego oficera. - Zrobię dla was wyjątek, puszcze te badania poza kolejką. Dostaniecie je pojutrze po południu. Gdzieś około godziny czternastej. Sami się zgłosicie czy przysłać do Pałacu Mostowskich?

Dopiero pojutrze o drugiej? - jęknął Ciesielski.

No, powiedzmy o dziesiątej. Wcześniej nie da rady, kolego. To nie piekarnia.

Bardzo dziękuję, panie majorze. Sam przyjdę po odbiór orzeczenia.

Te półtora dnia dłużyło się Ciesielskiemu jak nigdy. Przeglądał akta sprawy i coraz więcej różnych szczegółów zaczynało pasować do początkowo mało prawdopodobnej hipotezy. Ktoś kiedyś porównywał dochodzenie do układania łamigłówek obrazkowej. Przez tak długi czas poszczególne kostki z obrazkami nie pasowały Ciesielskiemu do niczego. Teraz zaś zaczął się z nich układać coraz bardziej logiczny rysunek. Portret mordercy.

Już od ósmej rano porucznik warował w gmachu Zakładu Kryminalistyki. Major zbył go krótko: - Powiedziałem, że o dziesiątej, to dostaniecie analizę o dziesiątej. Ani minuty wcześniej.

Wreszcie wskazówki zegarka dowlokły się do tej upragnionej dziesiątej. Miła sekretarka wyszła do poczekalni, gdzie kręcił się niecierpliwie na krześle i podała mu badany przedmiot oraz żółtą kopertę.

- To dla was - powiedziała - proszę pokwitować odbiór.

Porucznik podpisał i niecierpliwie rozdarł papier.

Analiza była taka, jakiej właśnie oczekiwał. Zdobył pierwszy, jeszcze niewiele znaczący dowód. Ale ten papierek z kilkoma wierszami maszynowego tekstu miał rozstrzygające znaczenie. Wskazywał, że śledztwo po długiej serii niepowodzeń ruszyło z miejsca.

Pełen entuzjazmu młody oficer wpadł jak bomba do pokoju zwierzchnika. Nawet się nie zapytał panny Krysi, czy „stary” jest sam. Pułkownik Niemiroch widząc minę młodego człowieka odgadł natychmiast: - Przypomniałeś sobie nareszcie - powiedział. - Mów!

- Od dwóch dni noszę się z tą myślą. Ale bałem się wyjawic nie tylko panu pułkownikowi, lecz nawet Antkowi. Teraz wracam z Zakładu Kryminalistyki. Oto ich orzeczenie.

Niemiroch przeczytał podany mu dokument. - Nie bardzo rozumiem - powiedział - O co ci chodzi? <- Przecież - wyjaśniał Ciesielski - pył z moich spodni jest identyczny z mikrośladami znalezionymi na odważniku, którym został zamordowany Zygmunt Stojanowski, a spodnie zabrudziłem w spółdzielni „Pomoc Budowlanym”.

Tak - zgodził się pułkownik - to może być poważną poszlaką.

Na pewno jest. - Dla porucznika prawie wszystko było jasne.

Ale jaki związek miał z tym Stojanowski?

To muszę ustalić.

Jak to zrobisz?

Popełniłem duży błąd. Rozmawiałem na budowie z inżynierem kierującym wielkim odcinkiem Trasy Toruńskiej. Muszę znaleźć robotników, których szefem był Stojanowski. Oni mi na pewno będą mogli wyjaśnić tajemniczy spadek wydajności i powiedzieć, jakie o tym zdanie miał inżynier. Wiemy, że początkowo podejrzewał betoniarnię, że kradną cement i dają gorszy beton. Ale, jak to ustaliliśmy, nie wystąpił z takim oskarżeniem ani do kierownika wytwórni betonu, ani do naczelnego dyrektora robót, chociaż odgrażał się Adamczykowi, że to robi, jak tylko zdobędzie dowody. Widocznie przekonał się, co także zrobiła milicja, że betoniarze są bez winy.

Cementownie mogły rzeczywiście dostarczyć cement gorszego gatunku, który dłużej schnie - zauważył Niemiroch.

W razie potrzeby damy próbki tego cementu do analizy Instytutowi Naukowemu Budownictwa, a także naszym specom z Zakładu Kryminalistyki;

Oni ciebie chyba i tak zamordują - roześmiał się pułkownik. - Jesteś ich najlepszym klientem. Stale zasypujesz zakład nowymi zamówieniami.

Od tego są - krótko skwitował porucznik. - Sądzę jednak, że obejdzie się bez analizy cementu. Natomiast pobierzemy próbki czegoś innego.

Jesteś bardzo pewny siebie.

Pan pułkownik sam powiedział, że to „sprawa dla jednego”. Dlatego chciano mnie zabić. To jasne. Długo jednak nie rozumiałem dlaczego tylko mnie. Teraz wiem, że tylko ja, zresztą najzupełniej przypadkowo, zetknąłem się z mordercą w dość dziwnych okolicznościach. Obawiał się, że go rozszyfruję. I właśnie to nastąpiło.

Co chcesz zrobić?

Znaleźć motyw zabójstwa.

Chyba go już masz.

Niezupełnie. Fakt, że inżynier Stojanowski rozumiał, dlaczego beton musi dłużej pozostawać w formach, nie był powodem morderstwa. Powód musi być inny. Wymierny w złotówkach. Wydaje mi się, że produkt pochodzący z importu z krajów kapitalistycznych, którego urzędowa cena za kilogram jest tak wysoka, musi mieć także i innych amatorów. Nie wiem, do czego jeszcze można go używać. Zakład Kryminalistyki orzekł, jak pan pułkownik sam przeczytał: „jeden z ważniejszych składników pudru kosmetycznego”. To już jest jakiś punkt wyjścia... Trudno od Zakładu Kryminalistyki wymagać, aby się znał na kosmetykach. Ale są fachowcy, którzy się na tym znają. Być może, że ten importowany towar ma także i inne zastosowania. To muszę zbadać. A także czy istnieje na niego zapotrzebowanie na czarnym rynku.

Zajęcia będziesz miał sporo - stwierdził pułkownik.

Dam sobie radę. Podporucznik Szymanek odwali połowę tej roboty.

A co dalej?

Jeżeli stwierdzimy, że nasz towar można sprzedać za dobrą cenę, sprawa stanie się zupełnie jasna. Stojanowski zginął, bo doszedł do tych samych wniosków. Zrozumiał, że kosztem budowy Trasy Toruńskiej popełnia się wielkie nadużycia. Zabili go ci, którzy te nadużycia popełniają i którzy się na nich bogacą.

W tym co mówisz, może być dużo racji, ale także wszystko może okazać się nieprawdą. W każdym razie to było rzeczywiście błędem, że badając przeszłość Zygmunta Stojanowskiego, rozmawialiśmy z jego przyjaciółmi i zwierzchnikami, a pominęliśmy podwładnych. To trzeba

koniecznie naprawić. Dlatego też pochwalam twój zamiar ponownego udania się na budowę Trasy Toruńskiej.

Zaraz tam pojedę.

Nie bądź w gorącej wodzie kąpany. Wystarczy i jutro. A dzisiaj porozmawiaj telefonicznie z inżynierem Adamczykiem. Wydaje mi się, że to przyzwoity chłop. Niech on ci przygotuje grunt. Jemu łatwiej będzie się dowiedzieć, z jakimi ludźmi Stojanowski miał najwięcej do czynienia. Szukając „po omacku” stracisz dużo czasu i możesz nie trafić na tych, którzy coś wniosą do sprawy.

Słusznie - przyznał porucznik.

Boję się jednak o rezultat.

Słucham pana pułkownika.

Założmy, że trafiłeś w sedno i zdołasz wykryć poważne nadużycia. Ale co dalej? Zlikwidujemy przestępczy gang. To nie znaczy, że wykryjemy zabójcę Stojanowskiego. Od przestępstwa gospodarczego do morderstwa droga daleka.

To jasne, że tylko oni mogli go zabić. Tylko oni mieli motyw tej zbrodni.

Powiedzmy, że prokurator podzieli ten pogląd. Ale nie posadzi na ławie oskarżonych kilku czy kilkunastu członków gangu, oskarżając ich o morderstwo. Nie ma u nas odpowiedzialności zbiorowej. Sprawcy trzeba dowieść jego czynu. Przecież dobrze wiemy, że zabójcą był jeden człowiek. Widziała go ta... No, jak jej tam?

Maria Bolecka.

Właśnie. Maria Bolecka. Być może sprawca miał obstawę, ale tego nie stwierdzono. Może także na Koszykowej czekał na niego samochód? Może ktoś wydał temu człowiekowi rozkaz dokonania zbrodni. To jest prawdopodobne, ale nawet rozszyfrowując wszystkich członków gangu, jak odnajdziesz mordercę? Każdy będzie się zapierał i zwał winę na innego. Czy potrafisz ustalić, kto zabił? W przeciwnym razie prokurator nie podejmie się sformułowania oskarżenia...

Pamiętam taki klasyczny przypadek. To było na samym początku mojej kariery milicyjnej. Nie zajmowałem się wtedy morderstwami, ale różnymi drobnymi przestępstwami i wykroczeniami. To było w Gdyni, tam bowiem stawiałem pierwsze kroki. Otóż bodaj na ulicy Świętojańskiej skręcając w jedną z poprzecznie przewrócił się motocykl, którym jechało dwóch mężczyzn. Po upadku żaden z nich nie mógł się podnieść. Ktoś zaalarmował znajdującego się w pobliżu milicjanta. Pośpieszył na miejsce wypadku, wezwał radiowóz i karetkę pogotowia. Ale lekarz stwierdził, że obu motocyklistom nic się nie stało. Po prostu byli tak w sztok pijani, że stracili przytomność. Zabraliśmy ich do naszego aresztu. Kiedy wytrzeźwieli, wziąłem w obroty właściciela motocykla. Tłumaczył się, że wyszedł z knajpy i czując, że jest pijany, oddał kluczyki przyjacielowi. Sam zaś zajął miejsce na tylnym siodełku. Ten drugi także miał prawo jazdy. Tamten znowu stwierdził: Ja po pijanemu miałbym jechać cudzym motorem? Wykluczone! To ja siedziałem z tyłu. Nie znaleźliśmy świadków, którzy widzieliby, kto rzeczywiście prowadził motor, i trzeba było obu frantów wypuścić na wolność. W głos się z nas śmieli. Uważaj, żeby i tobie nie przydarzyło się coś takiego.

Nie ma obawy, panie pułkowniku - odpowiedział porucznik. - Nie będzie większej trudności z ustaleniem osoby mordercy.

Dlaczego?

Przede wszystkim dlatego, że jest to człowiek, którego Stojanowski nie znał. Pani Bolecka wyraźnie widziała, że inżynier wysiadając z samochodu nie witał się z nieznanym, który go później uderzył odważnikiem. A więc nie pracował w spółdzielni za czasów Stojanowskiego. Poza tym plama, którą zauważyła Bolecka na spodniach mordercy.

Sądziysz, że ten człowiek do tej pory przechowuje owe poplamione spodnie?

Przypuszczam, że oddał je do pralni.

Albo po prostu spalił.

Gdyby tak było - odpowiedział porucznik - to rzeczywiście straciłbym jeden z koronnych dowodów. Ale zaledwie jeden. Nie przypuszczam jednak, żeby przestępca tak postąpił. Po pierwsze to były zupełnie nowe dzinsy. Takie, których się lekko nie wyrzuca. Na „ciuchach” śpiewają za nie od trzech do czterech tysięcy złotych. Ostatni krzyk mody. Poza tym ten człowiek nie wie, że feralną plamę dostrzegł jedyny świadek zbrodni. Nie przypuszczam także, aby przestępca był aż tak biegły w kryminalistyce i wiedział, że każda, nawet najlepiej sprana plama wyraźnie wystąpi w promieniach podczerwonych. Zwłaszcza zaś plama tłusta. Jestem przekonany, że zbrodniarz po prostu oddał spodnie do pralni chemicznej i może nawet dzisiaj ma je na sobie?

Trzeba zawsze - przypuszczać najgorsze. A jeśli spalił?

To mnie wprawdzie pozbawia jednego dowodu, lecz pozostaje następny. Na przysłanej mi książce Zakład Kryminalistyki ustalił mikroślady męskiej wełny granatowego koloru. Trudno przypuszczać, żeby wszyscy członkowie gangu umundurowani byli w jednakowe marynarki, szyte z tej samej beli materiału..

Bombę mógł preparować jeden członek gangu, a zabić Stojanowskiego zupełnie kto inny. - Pułkownik z przesadną ostrożnością podważał wywody porucznika.

Teoretycznie mogło być i tak. Sądzę jednak, że człowiek który już raz zabił, a drugi raz omal w ten sam sposób nie pozbawił życia innej osoby, mówię o sobie, podjął się także i trzeciego zamachu. Ten, kto robił bombę, na pewno jest myśliwym. Skoro więc będzie do niego pasowała i marynarka, postawimy mu zarzut popełnienia trzech zbrodni. Jeżeli nie zabił Stojanowskiego, od razu nam wskaże mordercę. To duża różnica być oskarżonym o dwa nieudane zamachy czy o dokonane zabójstwo. Solidarność gangu pryska w więzieniu. Mniejsze płotki zaczną śpiewać, chcąc się wykręcić paru latami więzienia, a nie dożywociem czy „czapą”. Grunt żebyśmy położyli rękę na całości. Potem już wyluskamy właściwego sprawcę. O to jestem zupełnie spokojny.

Co dziś robi Szymanek?

Posłałem go do centrali handlowej importującej do Polski chemikalia. Muszę przede wszystkim ustalić, ile tego zeosilu sprowadzamy do kraju, kto i w jakich ilościach go kupuje oraz do czego się tego produktu używa. A także czy jest on w powszechnej sprzedaży. Bez takiego rozeznania rynku nie dowiemy się, dokąd ten biały proszek przecieka.

No, dobrze - zgodził się pułkownik. - Prowadźcie śledztwo nadal w tym kierunku. Zobaczymy, co z tego wyjdzie. Bądźcie nadal ostrożni i nie spłoszcie przestępcy przed czasem. A uważaj na siebie.

Teraz to już nie ma znaczenia - uśmiechnął się porucznik. - Przecież w tej chwili sprawą może się zajmować ktoś inny. Decydujące było skojarzenie rozsypanego worka zeosilu z zabiciem Stojanowskiego.

Ale morderca nie wie o tym, że już powiązałeś te dwa zdarzenia. Jemu ciągle może się zdawać, że jeszcze nie dokonałeś swojego odkrycia, względnie nie podzieliłeś się z nami - tą tajemnicą. Nie mam zbyt wielu oficerów do pracy i nie chcę w głupi sposób tracić jednego z nich

Podporucznik Szymanek wrócił z centrali importowej z notesem pełnym notatek. Na dobrą sprawę mógłby teraz zostać ekspertem w dziedzinie importu artykułów chemicznych dla zaopatrzenia przemysłu kosmetycznego, budowlanego i gumowego.

Zeosil - wyjaśniał podporucznik swojemu przyjacielowi - ma bardzo wszechstronne zastosowanie. Jest to bardzo drobno mielony rodzaj kwarcu z pewnymi dodatkami, które naturalnie stanowią tajemnicę producenta. Zeosil to nazwa francuska. Podobny produkt wytwarzają także inne

państwa. Między innymi Stany Zjednoczone, Hiszpania, Włochy. W krajach socjalistycznych produkuje się go w Związku Radzieckim i w Czechosłowacji, jednakże oba te państwa nie są eksporterami; ich produkcja zaledwie zaspokaja własne potrzeby. Również w Polsce wytwarza się coś podobnego, ale w niewielkiej ilości i w dużo gorszym gatunku. Po prostu Polska, tak bogata w najrozmaitsze skarby mineralne, nie ma odpowiednich złóż kwarcu. Nasz rynek zaopatruje się prawie wyłącznie we Francji. Wynika to z długoletnich umów handlowych zawartych między naszymi państwami. Koloru zeosilu ci nie opisuję - dokończył złośliwie Szymanek - bo go nie tylko widziałeś, ale zdaje się nawet próbowałeś. Ci z centrali twierdzą, że jest bez smaku, ale ty może masz inne zdanie?

Przestań się wygłupiać. Do czego służy ten zeosil?

Ma wprost wszechstronne zastosowanie. Jego główną zaletą jest nieznaczna przylepność. Naturalnie w stanie silnie sproszkowanym. Dużo mniejsza niż na przykład mąki czy cementu. Dzięki temu przedmioty czy też masy zawierające zeosil są bardzo śliskie i bardzo dobrze się rozsmarowują. W przemyśle budowlanym, a również w odlewnictwie, płyny do smarowania form są tym lepsze, im większy procent zawierają białego proszku. W przemyśle kosmetycznym jest to samo z pudrami i kremami. Kiedy nie znano zeosilu, ten sam skutek osiągnano za pomocą związków cynku, ale one niekorzystnie działały na cerę, zeosil natomiast jest związkiem całkowicie obojętnym dla zdrowia człowieka. Poza tym stosuje się go także w przemyśle gumowym. Jakością przewyższa talk, którym przesypuje się przedmioty gumowe, aby się nie sklejały i nie pękały. Z kolei przemysł zabawkarski i przemysł farbiarski korzystają z tego sproszkowanego kwarcu...

Kto go kupuje?

Zapotrzebowanie jest wielokrotnie większe niż nasze możliwości importowe. Stąd zainteresowanie produkcją antyimportową, której jest niewiele i która jest niższa gatunkowo. Przemysł prywatny i rzemiosło właściwie prawie wcale nie otrzymują zeosilu. Jedynie jakieś jego odpady.

Jak to odpady?

No, zdarza się, że transport zamoknie, skawali się czy też zabrudzi. Państwowemu przemysłowi kosmetycznemu, który musi do produkcji kremów i pudrów używać chemicznie czystych surowców, nie opłaca się prowadzić skomplikowanych procesów usuwania zanieczyszczeń. Właśnie takie „zepsute” partie dostają się na rynek. Pewne niewielkie ilości zeosilu są również sprowadzane w ramach działalności „Pewexu”. Czasami za dewizy centrala chemiczna odstępuje trochę zeosilu zakładom kosmetycznym.

Z tego wynika - stwierdził porucznik - że biały proszek jest produktem ogromnie poszukiwanym i można go bez trudu sprzedać na wolnym rynku? Musimy sprawdzić, czy rzeczywiście zeosil tam się pojawia i w jakiej cenie.

Znowu na Trasie Toruńskiej

- Wybrałem panu porucznikowi - powiedział inżynier Janusz Adamczyk, witając Andrzeja Ciesielskiego - dwóch ludzi. Jednym z nich jest Stanisław Niwiński, doskonały specjalista od betonowania. Pracował ze Stojanowskim jeszcze na Trasie Łazienkowskiej i razem przenieśli się tutaj. Jako drugiego proponuję Kazimierza Fajęckiego od stawiania szalunków. Jeśli pan chce, znajdziemy i innych fachowców, ale ci dwaj mieli chyba najwięcej do czynienia z Zygmuntem i cieszyli się jego dużym zaufaniem. Niejednokrotnie mój tragicznie zmarły przyjaciel powoływał się na opinię tych ludzi, zwłaszcza Fajęckiego.

Czy pan inżynier uprzedził ich o moim przybyciu tutaj?

Tak. Wiedzą o tym. Prosiłem oczywiście, aby tego zbytnio nie rozgłaszali. Wywołanie sensacji nie leży ani w interesie milicji, ani kierownictwa budowy.

Gdzie będziemy mogli swobodnie porozmawiać?

W barakowozie, w którym pracował Stojanowski. Poprosiłem inżyniera Wolskiego - to następca Zygmunta - aby na czas potrzebny panu porucznikowi poszukał sobie i swoim współpracownikom jakiegoś zajęcia na świeżym powietrzu. Oni zresztą ze względu na charakter ich pracy i tak w tym czasie mało przebywają w barakowozie. Z kim pan chce najpierw się spotkać?

Może zaczniemy od specjalisty od betonów?

Doskonale. Zaraz go przyślę. A oto nasz barakowóz.

Stanisław Niwiński był niewysokim, krępy męczyzną po pięćdziesiątce, z siwymi włosami i wielkimi krzaczastymi brwiami. Odwołany prosto od pracy przyszedł do baraku w granatowym kombinezonie gęsto poznaczonym świeżymi plamami cementu.

Inżynier Adamczyk mówił panu, o czym chciałbym z nim porozmawiać?

O Zigmuncie Stojanowskim. Ale ja nic nie wiem.

Słyszałem, że inżynier był ostrym człowiekiem. Ludzie go nie lubili...

Był ostry dla nierobów. Kto pracował, jak się należy, inżynier się go nie czepiał. Nie znosił złej roboty i pędził z budowy takich, co mają obie lewe ręce. Ja ze Stojanowskim przepracowałem prawie trzy lata. I nie narzekam. Nasza brygada zawsze była najlepsza - czy teraz tutaj czy przedtem na Łazienkowskiej.

Ale ostatnio mieliście kłopoty? Spadła wydajność.

Ano spadła. Ale i tak byliśmy najlepsi.

Inżynier rozmawiał z wami na ten temat?

Pewnie, że tak. Jak się wykonuje sto czterdzieści procent normy, a potem od razu zjeżdża do stu dziesięciu, to o niczym innym się nie mówi. Pan sam rozumie, ile mniej się brało tygodniówki. Tyle zarobimy, ile zrobimy.

A co inżynier na to? Przecież widział, że pracujecie tak samo.

To nie zależało od naszej pracy. Kiedy się wleje beton w formę, musi się związać. Jeżeli wiąże się trzy dni, to praca leci. Jeżeli trzeba czekać dwa razy dłużej, robota się przeciąga. Nie można betonować następnej partii. To wszystko.

Inżynier o tym wiedział?

Wszyscyśmy wiedzieli. Ale co było robić? Nie dało się wcześniej zdjąć szalunków. Groziło zawaleniem się całej budowy.

W betoniarni dali więcej wody i piachu a mniej cementu?

Stojanowski też tak myślał. Chodził wiele razy do betoniarni. Zrobił im nawet awanturę, nic nie pomogło.

Kradli cement?

Dużo tam mogli ukraść? Najwyżej ktoś sobie w worek kilkanaście kilogramów odsypał i przerzucił przez płot. Inżynier sam przyznał później, że betoniarnia niewinna.

Z cementowni dali zły gatunek?

Inżynier sam sprawdzał, a także żądał, aby w betoniarni zrobili przy nim próby. Ale to także nic nie dało. Na próbach cement był dobry, a jak przywieźli wywrotkami i wlało się beton w formy, nie chciał się wiązać. A przecież ciepło. Było lato. W takiej temperaturze wszystko powinno grać. Nie to, co późną jesienią, kiedy w nocy przymrozki trzymają, a w dzień także niewiele cieplej. Wtedy,

wiadomo, trzeba na zdjęcie form czekać dłużej.

A teraz?

Teraz jest w porządku.

Od śmierci Stojanowskiego?

Stary betoniarz chwilę się zastanowił: - Tak chyba z dziesięć dni po śmierci inżyniera produkcja znowu skoczyła w górę.

A jak myślicie, kto mógł zabić Stojanowskiego?

Tego to ja nie wiem.

A jak się wam zdaje? Może któryś z ludzi usuniętych z roboty? Albo ktoś z betoniarni? Inżynier dobrze dał się im we znaki.

Coś pan? Stojanowski miał twardą rękę, ale jak kogoś wyrzucił z brygady, to zawsze miał rację. A dla takiego obiboka żadna różnica, gdzie pracuje. Wyleli go stąd, poszedł do budownictwa mieszkaniowego. Teraz taki brak ludzi, że nawet jak widzą faceta, który dwadzieścia razy w roku zmienił pracę, także go przyjmą. A betoniarze wcale inżyniera nie oglądali. On się kłócił z kierownikiem i personelem technicznym. Do betoniarek nie zaglądał, nie miał tam czego szukać.

A może to formiarze nawalali robotę? Jeżeli źle zrobili szalunki, mogło to wpływać na wiązanie się betonu.

Oni swoje robili. Im także zależało na zarobieniu paru groszy więcej.

A jednak ktoś inżyniera zamordował?

Na pewno nikt z naszej budowy. Głowę mogę dać. Zresztą, panie poruczniku, po co?

Na to pytanie i Ciesielski nie umiał odpowiedzieć.

Kazimierz Fajęcki reprezentował zupełnie inny typ robotnika niż stary betoniarz. Wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna. Wybitnie przystojny i z jakąś wrodzoną elegancją. Nawet kombinezon leżał na nim inaczej niż na innych. On także na samym początku rozmowy zastrzegł się, że nic nie wie.

Chciałbym przede wszystkim wyjaśnić pewne fakty - powiedział porucznik. - Dlaczego w połowie czerwca wasza brygada, zwykle przekraczająca bardzo wysoko dzienną normę nagle opuściła się w pracy?

Myśmy się nie opuścili. Szalunki były na czas. To tamci od Niwińskiego źle kładli beton. Dlatego się nie wiązał i nie dawało się zdjąć formy.

Oni mówią, że pracowali dokładnie tak samo jak przedtem. A winę widzą po waszej stronie.

Stojanowski był człowiekiem lubiącym dobrą robotę. Sam ją sprawdzał. Jeżeli zauważył najmniejszą niedokładność, trzeba było poprawić. Plan dla niego niewiele znaczył. Grunt, żeby wszystko było w porządku. Przecież nie zdarzyło się przez te lata, które z nim przepracowałem, aby osobiście nie sprawdził zbrojenia i szalunków.

To i tych, którzy nakładają beton w formy także kontrolował?

Sprawdzał.

Więc to nie ich wina. Może cementu?

Tak też i inżynier myślał. Odgrażał się, że tych złodziei z wytwórni betonu odda w ręce milicji. Ale potem zrobił jakieś analizy i okazało się, że oni są w porządku.

To co było powodem, że beton nie wychodził z formy?

To forma nie schodziła z betonu - poprawił Fajęcki. - Trzymało jak przylepione. Dopiero na piąty czy na szósty dzień dało się zdejmować.

Przecież na budowie fachowców nie brak. Każdej specjalności. Co mówili?

Jak to zwykle z fachowcami. Jedni tak, drudzy siak. Każdy zwał na inny dział. Wytwórnia

betonu, że nieakuratnie rozprowadza się beton w formach. Tamci znowu na nas, a my na resztę.»

A inżynier Stojanowski?

Jak już mówiłem, groził tym z wytwórni milicją. Potem posyłał próbki betonu i cementu do analizy. Miał w jakimś instytucie znajomka i prosił go o pomoc. Sam słyszałem, jak rozmawiali przez telefon. Tamten inżynier zapewniał, że wszystko jest według normy.

A Stojanowski?

Inżynier pracował w tym tutaj barakowozie. - Fajęcki pokazał ręką. - Jako majster stale tutaj do niego przychodziłem, więc słyszałem, że dzwonił także do tej spółdzielni, w której poprzednio pracował, a która nam dostarcza wiksilu. Stojanowski myślał, że jeżeli cement w porządku, to może z tym wiksilem coś nie tego i właśnie to powoduje, że beton źle spływa w formy i później nie można tych form zdjąć.

A co na to ci ze spółdzielni? - Porucznik wiedział, że w tej chwili rozstrzygną się losy jego nowej hipotezy śledczej.

Tłumaczyli, że u nich z wiksilem w porządku. Stojanowski mówił im, żeby przeprowadzili analizę wiksilu i obiecywał, że sam też taką analizę zrobi.

Kiedy to było? Pamięta pan?

Inżyniera zabili chyba we wtorek? Prawda?

Tak. Czternastego września. To był wtorek.

A rozmawiał w sobotę. To pamiętam dobrze, bo tego dnia wcześniej kończyliśmy, a przez ten cholerny beton musiałem aż do wieczora sterczeć na budowie. Była chyba dziesiąta, jak inżynier z nimi rozmawiał.

Co na to odpowiedzieli?

Z tego co zrozumiałem, mówili, że sami wykonają analizę i zatelefonują do inżyniera, gdyby coś u nich nawalało.

I zadzwonili?

Nie wiem. Ale ja nie siedzę w barakowozie, a pracuję na placu. Mogli i telefonować. Stojanowski nic mi o tym nie wspominał.

A potem, po śmierci Stojanowskiego, wydajność znowu wzrosła?

Tak, w jakiś tydzień po jego pogrzebie. Byłem na cmentarzu. Na drugi dzień zdejmowaliśmy formy, chociaż stały cztery dni, a nie pięć czy sześć jak poprzednio. Później było jeszcze lepiej. Wystarczyło trzy dni na związanie betonu. I tak idzie do tej pory.

Niech pan się zastanowi i przypomni sobie. Może wydajność wzrosła wtedy, kiedy skończył się stary zapas wiksilu i spółdzielnia przysłała wam nowy transport?

Majster coś sobie obliczał w pamięci. - Ma pan rację - odpowiedział z wielkim zdziwieniem - tak było. Kiedy przywieźli nowy zapas, mieliśmy na składzie parę beczek. Więc tych nowych samochód nie zawiózł do magazynu, lecz od razu na plac do szalunków. Dopiero kiedy przywieźli następny ładunek, inżynier Wolski, który jest kierownikiem po Stojanowskim, posłał go do magazynu.

A ten stary zapas zużyliście? Te parę beczek, które zostały z czasów, kiedy Stojanowski jeszcze żył?

Chyba nie. Bo jak do magazynu trafił nowy ładunek, to postawili bliżej drzwi i stamtąd najpierw się bierze.

Pamięta pan, gdzie stały te stare beczki?

Dlaczego nie? Przecież to zawsze ja odbieram wiksil z magazynu.

Pokaże mi pan to miejsce?

Jeżeli pan porucznik ciekawy...

Nawet bardzo.

To chodźmy.

W dużym blaszanym baraku służącym za podręczny magazyn materiałów wielkiej budowy było bardzo tłoczno i, powiedzmy delikatnie, panował niezbyt wielki porządek. Czy zresztą mogło być inaczej? Stale tu podjeżdżały ciężarówki pełne najrozmaitszych materiałów budowlanych, każdy się spieszył, aby jak najszybciej wyładować przywieziony przez siebie towar. A tymczasem inni już czekali, by pobrać z magazynu to, co im właśnie było potrzebne. Także nie chcieli czekać. Magazynier i jego pomocnicy dwoili się i troili, żeby pogodzić obie strony. A przecież wszystko trzeba było pokwitować, wciągnąć do księgi magazynowej. Także wydawane materiały należało zapisać. Wiadomo, magazynier odpowiada materialnie i za niedobory, i za nadmiar. A nadwyżki są dla niego bodaj jeszcze niebezpieczniejsze.

- Niech pan porucznik dobrze uważa, bo tu się można ładnie usmarować - ostrzegł Fajęcki, kiedy przeciskali się między stosami materiałów budowlanych.

Porucznik nie potrzebował ostrzeżenia. Pamiętał, gdzie się znajduje i że ma na sobie prawie nowe ubranie. Wreszcie dostali się na koniec magazynu. Tutaj w kącie stały dwie blaszane beczki.

- To będą te - pokazał Fajęcki - wtedy w magazynie było prawie pusto, więc cały transport trafił bardzo daleko. Te inne są przy wejściu, po prawej stronie. Dlatego zapamiętałem. Inaczej by się ich nie rozróżniło, bo spółdzielnia nie pisze daty na swoich wyrobach. To niepotrzebne, bo wiksil nie ma terminu ważności. Zresztą beczki u nas nigdy długo nie stoją. Zużywamy tego dużo. Ledwie nadążą z dostawami. Czasami to nawet mamy „na styk” - ostatnią beczkę kończymy, kiedy przywożą następne.

Andrzej Ciesielski otworzył teczkę, wyjął z niej dwie małe buteleczki i poprosił magazyniera, aby je wypełnił wiksilem pobranym kolejno z beczek. Napełnione butelki porucznik oznaczył numerem jeden i dwa.

Teraz jeszcze proszę o pokazanie mi transportów dostarczonych już po śmierci inżyniera.

Z tym będzie trudniej. Otrzymaliśmy dwa transporty beczek, ale złożono je w jednym miejscu - tłumaczył Fajęcki. - Nie potrafię rozróżnić, które beczki przywieziono najpierw, a które później. Może magazynier Lewandowski będzie pamiętał?

Jeżeli wy nie wiecie, skąd ja mam wiedzieć? - odpowiedział magazynier. - Przecież to wy zawsze pokazujecie, gdzie je postawić, tak żeby łatwiej było zabierać.

To nie ma znaczenia - pogodził ich porucznik - Wezmę próbki z dwóch zupełnie przypadkowo wybranych beczek.

Po dwóch dniach niecierpliwego wyczekiwania Zakład Kryminalistyki wydał orzeczenie, że „w płynie znajdującym się w butelkach oznaczonych numerem jeden i dwa nie stwierdzono żadnych śladów zeosilu. Natomiast butelki numer trzy i cztery zawierają zeosil zgodnie z recepturą”.

Pełen dumy porucznik wkroczył do gabinetu zwierzchnika. Pokazał mu otrzymany dokument:

- Teraz już sprawa jasna. W spółdzielni zorientowano się, że zeosil jest artykułem bardzo poszukiwanym na rynku. Postanowiono więc „zorganizować” nadwyżkę tego surowca. Po prostu na pewien czas

zaprzesztao dodawać go do wiksilu. Nie wiem, czy na innych budowach spostrzeżono, że dostają za te same pieniądze dużo gorszy produkt. Ale tam, gdzie terminy nie były tak napięte i praca nie tak dobrze zorganizowana jak u Stojanowskiego, zapewne nawet nie zauważono zmiany. Albo tłumaczono sobie, że cement jest gorszy i dlatego z betonem są pewne trudności. Wszystko by grało, gdyby nie pedanteria inżyniera. W jego sekcji praca była zorganizowana tak sprawnie, że gorszy wiksil z miejsca wywołał nagły spadek dziennych przerobów. Po prostu formy smarowane złym

produktem nie spełniały swego zadania. Beton po nich nie spływał, a później tak przylegał do formy, że nie udawało się jej zdjąć, dopóki masa się całkowicie nie związała.

Te dwa dni zwłoki?

Właśnie. Inni nad tym przechodzili do porządku dziennego i ratowali plany przyspieszeniem na innym odcinku robót, przy zbrojeniu czy szalowaniu. U Stojanowskiego już nic nie dawało się przyspieszyć. Inżynier podejrzewał wytwórnię betonu, cementownię, wreszcie doszedł, że z wiksilem, który sam ulepszał w czasie pracy w spółdzielni, coś nie w porządku. Zadzwoił do „Pomocy Budowlanym”. Tam mu jednak odpowiedziano, że wiksil jest w normie. Stojanowski nie zadowolili się tymi zapewnieniami i zapowiedział, że osobiście odda próbkę do analizy. Tym samym los inżyniera został przypieczętowany. Gang działający w spółdzielni nie mógł do tego dopuścić. W dwa dni po telefonie Stojanowski już nie żył.

Wywód jest logiczny, trzyma się kupy i jest bardzo prawdopodobny. Ale tego wszystkiego jeszcze musisz dowieść - pułkownik Niemiroch był ostrożny. - Co planujesz?

Musimy się dowiedzieć, czy i kto proponował na wolnym rynku większe ilości zeosilu? Biorąc pod uwagę dużą produkcję wiksilu w spółdzielni, nadwyżki zeosilu także muszą sięgać dziesiątków, jeżeli nie setek ton. Na pewno część ich już powędrowała do „prywaciarzy”, ale sądzę, że po śmierci Stójano wskiego i po mojej wizycie, zresztą najzupełniej przypadkowej, na ulicy Ziemowita, przestępcy chwilowo przypasowali. Dowodziłby tego, choćby fakt, że obecnie wiksil produkuje się zgodnie z recepturą. W magazynie na Ziemowita muszą więc znajdować się wielkie nadwyżki czekające na upłynnienie.

To będzie dowód przygotowania przestępstwa gospodarczego, ale nie morderstwa.

Mówiłem już panie pułkowniku, że kiedy będę miał członków gangu w rękę, zorientuję się, jaką rolę każdy z nich odegrał w przestępczym związku. Wtedy spośród nich wyłuskam i mordercę.

Miejmy nadzieję. Jednakże nie możesz pójść do spółdzielni i tam prowadzić dochodzenia. Od razu spłoszyłbyś przestępców. Samo twoje pokazanie się, nawet tylko w pobliżu ulicy Ziemowita, byłoby dla nich sygnałem alarmowym.

Rozumiem to. Dlatego chciałbym prosić o pomoc majora Liskiewicza. On przecież siedzi w tych zagadnieniach i na pewno nie odmówi nam rady i pomocy. Gdyby pan pułkownik zechciał do niego zadzwonić...

Dobrze. Idź prosto do niego. A ja tymczasem uprzedzę go telefonicznie.

Znowu was widzę, poruczniku - uśmiechnął się major witając Ciesielskiego. - Pułkownik Niemiroch prosił, aby wam pomóc. Czy w dalszym ciągu cement?

Andrzej Ciesielski opowiedział majorowi całą historię. Starszy oficer słuchał uważnie.

- Widzę - powiedział - że jednym strzałem trafiacie w dwa cele. Znajdujecie mordercę i wykrywacie poważne nadużycie gospodarcze. Chętnie się do tego przyłączymy, a przynajmniej pomożemy wam.

A co ja mam robić?

Przede wszystkim nie zaalarmować przestępców. Działać ostrożnie i raczej powoli. Zbadamy najpierw, jak to jest z tym zeosilem na wolnym rynku. Mamy swoje sposoby. Wam dam także jeden adres. Na Saskiej Kępie przy ulicy Francuskiej jest mała prywatna drogeria. Prowadzi ją niejaki Stefanowicz. Robi słynne na całą Warszawę kremy. Wiem o tym, bo moja żona i córki tylko u niego się zaopatrują. Stefanowicz to przyzwoity facet i zna doskonale całą branżę. Nie idzie na żadne kanty, ale gdybyście się z nim dogadali, mógłby powiedzieć wiele ciekawych rzeczy. Spróbujcie.

Dziękuję, jutro pojedę do tego pana na rozmowę.

Co do spółdzielni, niech ją najpierw skontrolują jej władze, to jest Centralny Związek

Spółdzielczości Pracy. Mają tam komórkę kontroli, kieruje nią dyrektor Kapalewski. Pójdziecie do niego i powiecie, że wpłynęły anonimy na panujący w spółdzielni bałagan i brakoróbstwo. Proście więc o przeprowadzenie inspekcji. Później wejdziecie w kontakt z inspektorem, który będzie dokonywał lustracji, i od niego dowiedziecie się, jak sprawy wyglądają.

Doskonały plan - ucieszył się porucznik - myślałem o Najwyższej Izbie Kontroli.

Można by było zaalarmować NIK, ale to spłoszy oszustów. Wewnętrznej kontroli mniej się boją, mimo że wewnętrzna kontrola lepiej i szybciej się zorientuje w sytuacji niż inspektorzy NIK-u.

A dalej?

Kiedy już za pośrednictwem inspektora kontrolującego spółdzielnię stwierdzicie, że wasze podejrzenia są uzasadnione, wtedy my wkroczymy. Będziemy wiedzieli, kogo zatrzymać i kogo wziąć na pierwszy ogień przesłuchań. Zrobi się przeszukanie u wszystkich podejrzanych. Wy zajmiecie się tak dla was cennymi spodniami i granatowymi marynarkami. Odnajdziecie mordercę i jego współników lub rozkazodawców. A gospodarcze nadużycia trafią do mnie.

Nie wiem, jak panu majorowi dziękować za cenne rady.

Ja wam, poruczniku, także muszę dziękować. Podsuwacie mi ładny kawałek roboty. Bez waszego dociekliwego dochodzenia przestępcom gospodarczym być może udałoby się ujść sprawiedliwości albo jeszcze długo buszować bezkarnie.

Jeszcze raz dziękuję. Jak mówiłem, jutro będę u Stefanowicza i u dyrektora Kapalewskiego na Śniadeckich.

Za pięć dwunasta

Drogeria była mała. Porucznik Andrzej Ciesielski nie od razu trafił, minął sklep nie zauważając go. Towarów w drogerii było stosunkowo niewiele, a na wystawie znajdowały się zaledwie dwie czy trzy buteleczki z wodą kolońską i parę słoików z kremami.

Właściciel drogerii, Roman Stefanowicz, był mężczyzną w wieku około sześćdziesięciu pięciu lat. Poorana bruzdami twarz zachowała taką opaleniznę, jakiej ludzie nabywają przez wieloletnie przebywanie na słońcu. Nic dziwnego, ten starszy dzisiaj człowiek był przed wojną znanym sportowcem. Włosy miał siwe, niezbyt posłuszne grzebieniowi, masywny nos, duże rogowe okulary.

- Czym mogę panu służyć? - zapytał. W drogerii poza nim nie było nikogo.

Oficer pokazał legitymację.

- O, kontrola - uśmiechnął się drogista. - Już dawno jej nie było. Co pana interesuje? Książka zakupów, księga materiałowa? Kopiał z wystawionymi przeze mnie rachunkami? Uprawnienia?

Nie, nie! - gorąco protestował Ciesielski. - Chciałbym z panem po prostu spokojnie porozmawiać. Pan major Liskiewicz z naszego „gospodarczego” polecił mi pana jako wyjątkowo solidnego i uczciwego kupca. Chciałbym zasięgnąć pana opinii, a może rady?

O! - mile zdziwił się właściciel sklepu. - Pochwała z ust milicji to bardzo wiele. Pozwoli pan, przepraszam, nie wiem jaka ranga?

Porucznik.

Pozwoli pan, poruczniku, że zatelefonuję do żony. Mieszkamy w tym samym domu. Na pierwszym piętrze. Przyjdzie mnie zastąpić. A my byśmy poszli do mnie na górę i tam porozmawiali. Przyznaję, że pan mnie zaintrygował. Były czasy, kiedy najrozmaitsze kontrole nie wychodziły z mojego sklepu. Nikt nie mógł uwierzyć, że nie robię majątku, nie mam nawet samochodu i zarabiam zaledwie na średnie utrzymanie. Ale nigdy nie proszono mnie o radę.

Tak dobry punkt i pan narzeka?

Nie narzekam. Stwierdzam po prostu fakt. Punkt dobry, ale w sklepie pusto. Brakuje towaru. Państwowe wytwórnie pracując całą mocą z trudem zaspokajają potrzeby stale rosnącego eksportu i sklepów państwowych. Dla nas, prywaciarzy, prawie nic w hurtowniach nie ma. Różne prywatne firmy nieraz produkują taki towar, że lepiej go nie kupować. Wiem dobrze, że na jednej beczce gliceryny niewiadomego pochodzenia, czyli po prostu kradzionej, można zarobić dwieście tysięcy.

Albo co najmniej pięć lat - dodał porucznik.

Właśnie - przytaknął Stefanowicz - więc ja zadowolam się tym, co mam. W większości sam wyrabiam różne kremy i mleczka kosmetyczne. Mam stałą klientelę, która od lat u mnie kupuje.

Weszła pani Stefanowiczowa i po krótkiej rozmowie z mężem obiecała, że posiedzi w sklepie, ale nie dłużej niż godzinę. Oficer zapewniał, że zajmie właścicielowi drogerii najwyżej połowę tego czasu. Wyszli na ulicę. Dom był narożny i brama znajdowała się za rogiem. Weszli na pierwsze piętro. Pan Stefanowicz wprowadził porucznika do dużego gabinetu umeblowanego solidnymi dębowymi meblami, pamiętającymi na pewno czasy sprzed pierwszej wojny światowej.

Może zrobić kawę - zaproponował gościnny gospodarz - a może kieliszeczek czegoś mocniejszego? Koniak albo dobra domowa nalewka z czarnej porzeczki?

Dziękuję, jestem na służbie. Poza tym nie traćmy czasu. Małżonka będzie się niecierpliwiła.

Słucham, czym mogę panu służyć?

Prowadzę śledztwo w sprawie o morderstwo... naturalnie, to, co mówię, musi pozostać ścisłą tajemnicą.

Może pan na mnie polegać.

Mamy podstawy, by sądzić, że popełniona zbrodnia ma dość ścisły związek z zeosilem.

Z zeosilem? - zdziwił się drogista. - Półproduktem do wyrobu pudrów i kremów?

Tak. Właśnie dlatego chciałem pana prosić o informacje dotyczące zeosilu. Pan go używa do swojej produkcji?

W minimalnych ilościach. Po prostu nie mogę dostać. W ogóle moja produkcja jest ograniczona. Mam stałą klientelę, już to panu porucznikowi zaznaczyłem, i panie wyjeżdżając za granicę czasami mi przywożą trochę zeosilu. Starcza jedynie do wyrobu kremów i mleczka kosmetycznego. Pudrów nie robię, bo nie chcę używać preparatów cynku, a zeosilu nie mogę kupić.

Ostatnio przecież pojawił się ten produkt na wolnym rynku.

To prawda. Przychodzili różni ludzie, którzy mi proponowali zeosil, ale ja bez rachunku nie kupuję. Na żadne kanty nie idę.

Duże ilości proponowali?

Jeden to mnie nawet namawiał na kupno kilku ton. Mówił, że to dobry interes i zarobię najmarniej kilkaset tysięcy złotych. Chciał tanio sprzedać. Zaledwie sto procent więcej niż wynosi urzędowa cena.

A można wyciągnąć więcej?

Znacznie więcej! Za zeosil przywożony mi z zagranicy płacę dużo więcej. Panie kupują go tam za dewizy i sprzedają mi po cenie zakupu: muszą ode mnie dostać tyle bonów PKO, ile tam zapłaciły dolarów lub ich równowartość. To zresztą zupełnie uczciwe. Inna rzecz, że najczęściej rozliczamy się w produktach. One mi; zeosil, ja im kremy i inne kosmetyki.

- Kto panu proponował tę wielotonową transakcję?

Stefanowicz uśmiechnął się. - Nie legitymował się, panie poruczniku. Zapewniał mnie, że ładunek dostarczy; pod wskazany adres. Własnym transportem. Pieniądze i towar z rączki do rączki. Naturalnie odmówiłem, bo po pierwsze nie bawię się w lewe transakcje, po drugie nawet nie miałbym forsy na wyłożenie takiej sumy. Ciągle mnie ludzie mają za milionera.

- Tylko ten jeden facet proponował panu transakcję?

- Jak się siedzi cały dzień w sklepie, to ma się najrozmaitsze odwiedziny. Różni przedstawiciele handlowi spółdzielni i przemysłu prywatnego, pokątni handlarze. Proponują nie tylko towary mojej branży, ale nawet, grzyby suszone i marynowane, już nie mówiąc o różnych I ciuchach zagranicznego pochodzenia. O ile sobie przypominam, proponowano także i zeosil. Nieco przybrudzony, zmieszany z piaskiem i ziemią. Wtedy nawet nie rozmawiałem o cenie, bo ja muszę mieć produkt bez - względnie czysty. Moje kremy mają dobrą reputację i nie i chcę jej psuć.

Taki zanieczyszczony zeosil można czasami kupić oficjalnie z przeceny.

Można. Ale do wyrobów kosmetycznych się nie nadaje. Zbyt ciężko go oczyścić. Przy takiej małej, jak moja, produkcji nie opłaca się skórka za wyprawkę.

Andrzej Ciesielski, zdając sobie sprawę, że już żadnych więcej informacji nie otrzyma od sympatycznego drogisty, podziękował mu i wyszedł. Podejrzenia porucznika zostały potwierdzone. Byli ludzie, którzy usiłowali upłynnić całe tony importowanego towaru. Musiał pochodzić z kradzieży. A oficer milicji był pewien, że ta kradzież zdarzyła się w magazynie spółdzielni „Pomoc Budowlanym”.

Major Liskiewicz, który zainteresował się francuskim proszkiem zaalarmowany przez wydział zabójstw, swoimi „kanałami” otrzymał podobne informacje. Teraz należało sprawdzić, jak to wygląda od wewnątrz, w spółdzielni. Dlatego też porucznik skorzystał z drugiego danego mu adresu i powędrował na ulicę Śniadeckich, gdzie mieścił się oddział kontroli Związku Spółdzielczości Pracy. Tam wylegitymował się i poprosił o rozmowę dyrektora Kapalewskiego.

Mamy duże kłopoty - powiedział na wstępie - z jedną z waszych spółdzielni.

Którą?

„Pomoc Budowlanym” przy ulicy Ziemowita na Targówku.

Tam jest tylko jeden oddział tej dużej spółdzielni - wyjaśnił dyrektor.

Nie wiem, jak jest w innych oddziałach. Według naszych informacji na Targówku panuje ogromny bałgan i brakoróbstwo. Dzielnicowy jest bezradny. Może najwyżej nałożyć parusetzłotowy mandat, który i tak zapłacą z kasy spółdzielni, a wszystko pozostaje po staremu. Otrzymaliśmy także kilka anonimów, «e pracownicy spółdzielni kradną i wynoszą cenne surowce i gotowe produkty. Nasze obserwacje zdają się to potwierdzać.

Ooo? - zainteresował się dyrektor, który dotychczas ze zniecierpliwieniem wysłuchiwał skarg porucznika.

Nie chcemy robić niepotrzebnego alarmu i zwać na kark spółdzielni kontroli milicji ani Najwyższej Izby Kontroli. Uważamy, że to robi złą reklamę całej spółdzielczości pracy. Lepiej załatwcie sprawę we własnym zakresie i dopiero, jeżeli nadużycia będą ewidentne, dacie znać prokuratorowi.

Bardzo słusznie, panie poruczniku. - Cieszę się, że pan do nas przyszedł.

Byłoby dobrze, gdybyście trochę ich postraszyli. Nie wiem, co się tam dzieje, ale wystarczy spojrzeć przez płot, aby nie być zbudowanym panującymi tam porządkami. I to dosłownie na całym terenie spółdzielni.

Dobrze - uśmiechnął się dyrektor Kapalewski - postraszymy ich troszeczkę. Z innych źródeł też mamy wiadomości, że nie najlepiej gospodarują. Kontrolę tej spółdzielni zaplanowaliśmy na początek przyszłego roku, ale żeby panom iść na rękę, przyspieszymy ją.

To mówiąc dyrektor podniósł słuchawkę i nacisnął czerwony guziczek. Odezwała się sekretarka.

Czy jest Agata? - zapytał.

Zaraz sprawdzę - odpowiedziała sekretarka i dodała: - Właśnie jest. Pisze zalecenia z poprzedniej kontroli u kuśnierzy.

Niech zaraz do mnie przyjdzie - polecił Kapalewski i dodał zwracając się do oficera milicji - to nasza bardzo energiczna inspektorka. Boją się jej w spółdzielniach jak ognia. Podobno główni księgowi straszą nią swoje dzieci: „Nie zjesz kaszki, przyjdzie Agata”.

Po chwili w drzwiach stanęła przystojna blondynka, włosy krótko obcięte według ostatniej mody, jasnoniebieskie dzinsy i taki sam sweter z mohairu. Dziewczyna była ciut, ciut przytęga. „Przydałoby się - pomyślał porucznik - zrzucić z pięć kilogramów.”

Poznajcie się - przedstawił Kapalewski - pan porucznik z Komendy Stołecznej.

Agatowska jestem. - Pani inspektor energicznie uściśniła rękę Ciesielskiego.

Widząc zdziwioną minę oficera, dyrektor dodał: - Wprawdzie pani inspektor ma na imię Leokadia, ale wszyscy nazywamy ją Agatą. Już się do tego przyzwyczaiła i nawet się nie gniewa. Kiedy niedawno ktoś poprosił do telefonu panią Leokadię, ona sama odpowiedziała, że tutaj żadna Leokadia nie pracuje...

Pan dyrektor jak zwykle przesadza i opowiada dowcipy.

Pan porucznik nalega - dyrektor przystąpił do sprawy - na przyspieszenie lustracji spółdzielni „Pomoc Budowlanym”. Długo będzie pani pisać zalecenia dla futrzarzy?

Jutro skończę.

To dobrze. Pojutrze weźmie pani na warsztat tamtych z Ziemowita.

Kiedy miałam robić „Nysę” - zaprotestowała blondynka.

Do „Nysy” może pójść Marysia Łucznik. Tam nie ma żadnej filozofii. Da sobie radę. A pani pojedzie do „Pomocy Budowlanym”.

Skoro pan dyrektor tak uważa - zgodziła się pani inspektor.

Trzeba im trochę kota popędzić - tłumaczył Kapalewski. - Milicja skarży się, że tam panuje ogromny bałagan.

- Już ja im popędzę - obiecywała dziewczyna.

Porucznik Ciesielski po opuszczeniu wydziału kontroli udał się do najbliższego automatu. Kiedy wykręcił numer, odezwała się sekretarka dyrektora Kapalewskiego.

- Chciałbym rozmawiać z panią Agatowską - powiedział oficer. Mógł bez obawy wymienić swoje nazwisko, bo nie przedstawiał się ani dyrektorowi, ani przystojnej pani inspektor.

Zaraz poproszę - odpowiedziała sekretarka. Po chwili Ciesielski usłyszał:

Agatowską przy telefonie.

Przed chwileczką rozmawialiśmy w gabinecie dyrektora.

Ach, to pan? - dziwiła się dziewczyna.

Ponieważ będzie pani prowadziła kontrolę spółdzielni, chciałbym przedtem z panią zamienić kilka słów. Ale raczej poufnie. Nie dla uszu dyrektora. Czy mogłaby pani wyjść na pół godzinki z biura?

Jakoś to zorganizuję.

A więc czekam na panią w „Horteksie” na pierwszym piętrze.

Lody czy jakieś ciacha, a może po koniaczku? - zaproponował oficer.

Dziękuję - z żalem w głosie odpowiedziała dziewczyna - chętnie bym sobie strzeliła jeden koniak, ale i tak nie jestem w zgodzie z wagą. No i w pracy by zaraz plotkowali, że wychodzę na wódkę. Wystarczy herbata.

Sprawa przedstawia się tak - referował porucznik - mamy podstawy przypuszczać, że w

spółdzielni dokonuje się milionowych nadwyżek. Z zeosilem.

Co to jest? - zapytała pani inspektor.

Biały proszek. Bardzo drogi. Służy między innymi do wyrobu pudru i kremu. Tak się złożyło, że prowadzę śledztwo w bardzo poważnej sprawie, ważniejszej niż te kradzieże, ale ząębajęcej się z nimi. Dlatego potrzebna mi jest pani daleko idęca pomoc.

Może pan na mnie liczyć.

Chodzi mi o to, aby się pani rozejrzała w gospodarce materiałowej spółdzielni. Oni tego zeosilu używają do wyrobu smaru potrzebnego przy betonowaniu. Przypuszczam, że przez pewien czas nie dodawali zeosilu do tych smarów, a uzyskiwane nadwyżki materiałowe sprzedawali na wolnym rynku.

Rozumiem - odpowiedziała dziewczyna - sprawa jest prosta. Należy skontrolować w produkcji, ile tego smaru zrobili. Następnie obliczyć według receptury, ile powinni zużyć zeosilu. Z kolei sprawdzić, jaką go ilość zakupili i ile mają na stanie w magazynie.

Widzę, że mam do czynienia z fachowcem. Nie darmo księgowi straszą dzieci „Agatę”. Ja bym nie wiedział, jak się do tego zabrać.

Ach, więc dyrektor zdążył panu opowiedzieć i tę anegdotkę?

Chciałbym być z panią w codziennym kontakcie. Jak tylko pani stwierdzi nadwyżki zeosilu, od razu wkraczamy na plac.

Trudność może polegać na tym, że oni te nadwyżki już usunęli z terenu spółdzielni.

Chyba nie zdążyli. Od chwili kiedy powzięliśmy pewne podejrzenia, przy ulicy Naczelnikowskiej stoi kontrola drogowa, która zatrzymuje wszystkie ciężarówki. Sprawdza ładunki i dokumenty przewozowe. Nie mają możliwości wywiezienia.

Mogli to zrobić nocą. - Pani inspektor była oblatana we wszystkich kantach.

W nocy także pilnujemy. Nie zależy nam na złapaniu jakiegoś pojedynczego transportu, ale na położeniu ręki na całej nadwyżce.

Mogli już przedtem wyczyścić magazyn.

Chyba i tego nie zdążyli. Część na pewno puścili na wolny rynek, ale nie wszystko. Jeszcze dużo musiało tam zostać. Skok był przygotowany na kilka milionów.

Lubię takie sprawy - przyznała Agatowska.

Zaczyna pani pojutrze. Oto mój telefon. Proszę koniecznie codziennie dzwonić.

Dam panu mój domowy. Ze spółdzielni nie będę mogła swobodnie mówić. Niech się pan nie zdziwi, jeżeli odezwę się: „Mówi Agata, zadzwoń do mnie, kochanie, dziś wieczór o siódmej”.

Doskonale - ucieszył się porucznik - widzę, że nasza współpraca ułoży się wspaniale.

W pierwszych dniach takiej lustracji - zaczęła pani inspektor - najpierw zapoznaję się z bilansem, organizacją pracy w spółdzielni, obiegiem wewnętrznym dokumentów. Będę także musiała obejrzeć wszystkie oddziały „Pomocy Budowlanym”. A jest ich rozrzuconych po całej Warszawie z pięć czy sześć. Zanim konkretnie dorwę się do pańskiego zeosilu upłynie kilka dni lub nawet tydzień.

Będziemy tak obstawiali spółdzielnię, że mysz się nie wyslizgnie.

Zęby się tylko nie domyślili, o co chodzi.

Nie przypuszczam. Naczelnikowska to ulica przy której znajduje się sporo zakładów przemysłowych. Obok jest jeszcze ruchliwsza Radzymińska. Cóż więc dziwnego, że milicja drogowa właśnie tam się usadowiła? Zeosil jest biały, pakowany w worki z przezroczystego celofanu, nasza kontrola nie jest zatem uciążliwa dla wozów z innymi ładunkami i nie będzie wyglądała na specjalną szykanę.

Muszę wracać do biura.

A ja pozwolę sobie zatelefonować do pani pojutrze o godzinie ósmej. Dobrze?

Zgoda. - Blondynka podniosła się, ponownie energicznie uściśnęła rękę Ciesielskiego i wyszła z kawiarni.

Znowu trzeba było czekać. W ogóle, porucznik stwierdził, że to cholerne śledztwo, któremu pułkownik Niemiroch nadał kryptonim „sprawa dla jednego”, składa się głównie z czekania.

Porucznik przygotował sobie specjalny arkusz i zapisywał na nim kolejne rozmowy z Leokadią Agatowską.

Wtorek, 12 października: Nie mam jeszcze nic dla pana. Rozglądam się.

Środa, 13 października: Sprawdzam bilans spółdzielni i ostatni przeprowadzony remanent. Pozornie wszystko w porządku.

Czwartek, 14 października: Byłam na ulicy Ziemowita, stwierdziłam ogromny nieporządek w magazynie. Piątek, 15 października: Zażądałam kart materiałowych. Sobota, 16 października: Zdobyłam dwa oświadczenia pracowników spółdzielni na piśmie, że przez wiele miesięcy nie dodawano zeosilu do wiksilu. Poniedziałek, 18 października: Zarządziłam przeprowadzenie remanentu.

Wtorek, 19 października: Nic nie wiem, remanent trwa. Środa, 20 października: Badam przychody i rozchody zeosilu.

Czwartek, 21 października: Muszę się z panem jak najszybciej zobaczyć.

Na umówione spotkanie pani inspektor przyszła bardzo zdenerwowana.

Wczoraj - powiedziała - była w naszym oddziale okresowa odprawa. Omawiano wyniki pracy inspektorów. Prawie całe zebranie poświęcono mojej osobie. Formalny nalot! Jak ja śmiałam na własną rękę zarządzić remanent! Wręcz mi grożono najsurowszymi represjami, wyciągnięciem konsekwencji służbowych, aż do zdjęcia ze stanowiska.

Dyrektor Kapalewski?

Nie tylko on. Prezes „Pomocy Budowlanym” ma dobre plecy. Nalatywali na mnie prawie wszyscy z naszej „wierchuszki”.

A pani?

Powiedziałam, że remanentu nie odwołam i biorę za niego pełną odpowiedzialność.

Brawo!

Ale co się stanie - martwiła się dziewczyna - jeżeli ten remanent nic nie wykaże? Wtedy ze mną naprawdę będzie niedobrze.

- Sądzę, że potrafimy panią wybronić. Ale jestem zupełnie pewien, że nawet nie zajdzie taka potrzeba. A ci, którzy wczoraj na panią nalatywali, będą mieli bardzo głupie miny. Jeżeli pani wyrazi zgodę, wezwiemy ich, aby się z tego wytłumaczyli.

- Broń Boże! - zawołała dziewczyna. - Życ by mi potem nie dali!

Następne dwa dni upłynęły w nerwowej niepewności. Wreszcie trzeciego dnia w słuchawce telefonu odezwał się głos pełen triumfu.

- Remanent jeszcze nie skończony. Ale już w tej chwili ustalono ponad dwieście tysięcy złotych manka na oleju technicznym i ponad czterysta tysięcy nadwyżki zeosilu.

- To mało!

Remanent dopiero się rozkręca. Na pewno będzie więcej.

A co mówią ci, którzy tak na panią napadli?

Jak zwykle, teraz nabrali wody w usta.

Po trzech dniach spis zakończono. Wykazał ogromną nadwyżkę zeosilu w magazynach

spółdzielni. Ponad dwa miliony złotych, licząc tylko według cen oficjalnych. Lustracja wykazała, że głównymi twórcami tej nadwyżki byli technolog, który wstrzymał stosowanie zeosilu przy fabrykacji płynu dla betonów, oraz magazynier, który wykazywał zużycie białego surowca zgodnie z normami produkcji. Naturalnie członków gangu było znacznie więcej. Należeli do nich kierowcy i portierzy, a także pośrednicy upłynniający towar.

Major Liskiewicz uważał, że czas przystąpić do działania. Aresztowań dokonano jednego dnia. Przeprowadzono także przeszukania mieszkań członków gangu. Znalezione biżuterię, obce waluty i bardzo poważne kwoty w polskich banknotach, nie znajdujące usprawiedliwienia w oficjalnych zarobkach tych ludzi.

A porucznik Ciesielski zbierał dzinsy i granatowe marynarki.

Najważniejszy telefon porucznika

Po kilku dniach energicznego dochodzenia cały mechanizm przestępstwa był już zupełnie jasny dla fachowców milicji. Płyn do smarowania betonowych form produkowano w dwóch oddziałach spółdzielni. Główna wytwórnia mieściła się na Ziemowita, druga, dużo mniejsza, na Żeraniu. Zeosil składowano na Ziemowita, co gangowi pozwalało na swobodny wywóz surowca za bramę. Oddział na Żeraniu w ogóle nie był wtajemniczony w machlojki dziejące się na Targówku i wytwarzał wiksil zgodnie z recepturą.

Członkowie przestępczego związku pamiętali, że na Trasę Toruńską należy dostarczać wyłącznie właściwy produkt. Tam bowiem pracował inżynier Zygmunt Stojanowski, twórca receptury tego płynu, jedyny człowiek, który mógł się szybko poznać na fałszerstwie i zrozumieć jego przyczyny. Zdarzyło się jednak przypadkiem - a może banda była już tak rozzuchwalona powodzeniem, iż przestała na to zwracać uwagę - że na Trasę Toruńską pojechał transport z Ziemowita. Stało się to przyczyną poważnego zakłócenia toku prac przy betonowaniu podpór estakady. Tak poważnego, że nie uszło uwagi kierownictwa budowy.

Po paru dniach przesłuchań prowadzonych przez ekipę majora Liskiewicza i prokuraturę, jak to zwykle bywa, pomniejsi członkowie gangu, ratując własną skórę, zaczęli „pękać”. Z ich zeznań wynikało, że na czele stał, jako główny organizator, inżynier Waclaw Pakosz, pełniący rolę technologa i kierownika produkcji „smarówki” na Targówku. Jego prawą ręką był magazynier Aleksander Wiśniewski. Ci dwaj zagarniali lwią część zysku, niewielkie resztki przypadały pozostałym.

Przestępstwo zorganizowano tak sprytnie, że na piśmie wszystko się zgadzało. Nie tylko prezes spółdzielni, ale i jej główny księgowy, Stanisław Malinowski, nawet się nie domyślali, że za ich plecami są popełniane milionowe nadużycia. Dopiero żmudna analiza ogromnej ilości dokumentów oraz remanent w magazynie wykryły pomysłowo uzyskiwane nadwyżki importowanego surowca. Nadwyżki, których już nie zdołano rzucić na wolny rynek.

Przy wszystkich przesłuchaniach ani razu nie padło nazwisko Zygmunta Stojanowskiego. Ten kasek major Liskiewicz lojalnie zachował dla swojego młodszego kolegi, porucznika Andrzeja Ciesielskiego.

Tymczasem porucznik omal do szalu nie doprowadził pracowników Zakładu Kryminalistyki. Dostarczył im całą górę spodni. Nie tylko dzinsów. Obawiał się, że może pracownica pralni, pani Maria Bolecka, omyliła się i źle określiła tą poplamioną część męskiej garderoby. Z ciemnymi marynarkami, było jeszcze więcej kłopotów. Tu nie wystarczało zwykłe prześwietlenie promieniami podczerwonymi. Wymagało to wykonywania znacznie bardziej skomplikowanych zabiegów.

Kiedy szczęśliwie uporano się z tą robotą, zaproszono do Pałacu Mostowskich Marię Bolecką. Porucznik pokazał jej kilkanaście fotografii różnych spodni. Każde z nich miały jakieś plamy. Były tam dżinsy, spodnie ze sztruksu i popielatej elanowełny. Pracownica pralni nie zawahała się ani przez chwilę. Pokazała dżinsy z owalną plamą wielkości gęsiego jaja na prawej nogawce poniżej kolana.

- To te - powiedziała. - Doskonale sobie przypominam. Bandyta nosił te spodnie w momencie, kiedy zamordował inżyniera wysiadającego z samochodu.

Andrzej Ciesielski uznał, że nadszedł czas decydującej rozgrywki. Do pokoju wprowadzono Aleksandra Wiśniewskiego. Przy maszynie zasiadł, jak zwykle, podporucznik Antoni Szymanek. Po spisaniu personaliów przesłuchiwanego, porucznik zapytał:

Pan mnie sobie przypomina?

Widziałem pana w naszej spółdzielni. Wtedy, kiedy pękł worek z zeosilem.

Wtedy także wygadał się pan, że musiał oddać do pralni spodnie poplamione wiksilem. Ale dopiero później skojarzyłem te słowa z morderstwem popełnionym przez pana na Zygmuncie Stojanowskim. Wtedy też zrozumiałem, dlaczego tak zażarcie pan poluje na moją głowę.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

Wie pan doskonale, a ja mam nieodparte dowody. Zresztą zaraz pana z nimi zapoznam. Pan już przegrał, panie Wiśniewski, i nie pozostaje panu nic innego, jak przyznać się do swoich czynów. Sprawa jest bardzo poważna. Jedna zbrodnia i dwa” nieudane zamachy na funkcjonariusza milicji. A za to grozi kara śmierci. Szczere przyznanie się do czynu sąd uważa za okoliczność łagodzącą. Radzę się nad tym zastanowić.

Nikogo nie zabiłem - powtórzył Wiśniewski.

Uplanowaliście morderstwo wyjątkowo zuchwałe. Udało się. Ale zarówno wtedy, jak i później popełnił pan wiele błędów. Nie ma bowiem zbrodni doskonałej. Przestępca zawsze zostawia ślad.

Nie wiem, o czym pan mówi.

Słyszał pan kiedyś o mikrośladach?

Nie.

Szkoda. Wyłumaczę panu, co to są te mikroślady „. Otóż są to drobniutkie cząsteczki materii, często niewidoczne gołym okiem, na przykład kurz czy włoski materiału marynarki. Przestępca nie wiedząc o tym, zostawia je na dotykanych przez siebie przedmiotach.

Co mnie to może obchodzić?

Sądzę jednak, że zainteresuje pana to, co dalej powiem. Otóż na dwukilowym odważniku, który został znaleziony przy zwłokach Stojanowski ego, wykryto mikroślady zeosilu. Oto orzeczenie Zakładu Kryminalistyki. Może pan sobie je przeczytać. Nieodparty dowód, że inżyniera zabił ktoś, kto miał do czynienia z zeosilem. To był ślad wskazujący na waszą spółdzielnię, jako na środowisko pracy mordercy.

Wiśniewski milczał.

Na terenie spółdzielni, a ściślej mówiąc w magazynie, znaleźliśmy trzy komplety odważników. Jeden niepełny. Brakowało dwukilogramowego. Porównanie tego odważnika z pozostałymi wykazało, że należy do tego kompletu.

Cóż z tego? Odważnik mógł ukraść ktoś, kto przypadkowo przyszedł do spółdzielni. Albo morderca, żeby zrzucić na mnie podejrzenia.

Zgoda - przytaknął porucznik - ale mamy świadka zbrodni. Stał w bramie i pan go nie zauważył. Natomiast ten świadek, pani Maria Bolecka, widziała pana i zauważyła plamę na pańskich dżinsach.

Miał pan na głowie popielatą cyklistówkę i nosił pan jasny płaszcz, tak zwany „prochowiec”. Wielu pracowników spółdzielni zeznało, że wielokrotnie nosił pan taki płaszcz i taką czapkę. Nie znaleźliśmy ich u pana. Prawdopodobnie zostały zniszczone. Ale żal było panu w}Tzucić nowe dzinsy. Oto one. - Porucznik wyjął spodnie z szafy. - Pańskie?

Moje. I cóż z tego? Tam nie ma żadnej plamy.

Myli się pan. Wprawdzie oddał pan spodnie do pralni chemicznej, ustaliliśmy nawet której, lecz plama pozostała; Niewidoczna gołym okiem, to prawda, ale wyraźna w promieniach podczerwonych. Oto zdjęcie pańskich spodni dokonane przy pomocy tej techniki - to mówiąc porucznik podał Aleksandrowi Wiśniewskiemu fotografię, gdzie na nogawce spodni wyraźnie odcinała się plama w kształcie gęsiego jaja.

Przesłuchiwany człowiek wpatrywał się w okazane mu zdjęcie, jak gdyby ujrzał widmo.

Świadek zbrodni - wyjaśnił Ciesielski - rozpoznała te spodnie wśród kilkunastu innych. To pracownica pralni chemicznej. Ma „zawodowe oko”. Zaprotokołowaliśmy jej zeznanie. Chce pan przeczytać?

Nie.

Jedno się panu udało prawie bezbłędnie. To pierwszy zamach na moją osobę. Znowu pan ryzykował morderstwo w centrum miasta, pod bokiem milicji. Gdyby nie błyskawiczny refleks pani Stojanowskiej, nie rozmawiałbym z panem, chociaż i tak nie uniknąłby pan sprawiedliwości. Z tego zamachu, przyznaję szczerze, nie mamy żadnych śladów. Inna sprawa z bombą przesłaną mi do Pałacu Mostowskich. Operował pan w gumowych rękawiczkach, które nie pozostawiły śladów ani na książkach, ani na pudełku z materiałem wybuchowym. Ale miał pan tego dnia na sobie granatową marynarkę. Wystarczyło przesunąć rękawem po okładce drugiego, tego nie uszkodzonego tomu „Wielkiej Koalicji”, aby pozostały mikroślady, drobne włoski wełny. Oto marynarka. - Oficer milicji znowu sięgnął do szafy. - A oto orzeczenie Zakładu Kryminalistyki stwierdzające, że włoski znalezione na książce pochodzą z tej marynarki. Bomba była sporządzona ze spłonki i z prochu myśliwskiego. Te same spłonki i ten sam proch znaleziono u pana w domu. Jest pan myśliwym, członkiem koła łowieckiego i nabywał pan myśliwskie utensylia zupełnie legalnie. Naturalnie, z przeznaczeniem na polowanie, a nie zabijanie ludzi. W pana mieszkaniu znaleziono również drut, z którego została wykonana sprężyna bomby. Uważa pan, że potrzeba więcej dowodów? Wiśniewski nie odpowiadał.

- Ma pan prawo milczeć. Może pan nawet kłamać. To my, milicja i prokurator, musimy panu dowieść winy. Dowody, które zebraliśmy, zupełnie wystarczą dla sporządzenia aktu oskarżenia. Wystarczą także dla sądu. To nie będzie poszlakówka, bez względu na to czy pan się przyzna, czy nie. Czy pan powie prawdę, czy nadal będzie pan się wypierał swoich czynów. Zapomniałem jeszcze dodać, że urzędniczka poczty przy ul. Świerczewskiego także rozpoznała pana wśród okazanych jej zdjęć jako nadawcę paczki. Zapamiętała ten fakt, bo w jej karierze pierwszy raz zdarzyło się, aby ktoś nadawał paczkę na adres Stołecznej Komendy Milicji, instytucji mieszczącej się tuż za rogiem ulicy. Jeszcze raz powtarzam, pan przegrał, panie Wiśniewski.

Ja... ja nie chciałem zabijać. Pakosz mnie zmusił.

Jak to było?

Kradłem zeosil. W małych ilościach. Nie dowozałem surowca przeznaczonego do mieszalników i wynosiłem po parę kilogramów. Kiedyś złapał mnie na tym Pakosz. Śmiał się z mojej głupoty i powiedział, że tacy „detaliści” zawsze gniją w więzieniach. Trzeba zorganizować jeden wielki skok, który by przyniósł miliony. Wtedy właśnie przestaliśmy w ogóle dodawać zeosilu do wiksilu. Szybko powstały ogromne nadwyżki. Część ich wywieźliśmy pod pozorem przetrzutu do wytwórni na

Żeraniu. Reszty już nie zdążyliśmy sprzedać. Pewnego dnia przyszedł Pakosz i powiedział, że jest wsypa. Stojanowski spostrzegł, że wiksil nie odpowiada normom, zadzwonił do Pakosza i zagroził, że oddaje próbkę do analizy. Wiadomo było, jak to się skończy.

Wtedy przestraszyliście się i zaprzestaliście wywożenia zeosilu z magazynu?

Tak. Pakosz również kazał znowu dosypywać zeosilu do produkowanego przez nas wiksilu. A mnie powiedział, że jeżeli nie chcę co najmniej dziesięć lat siedzieć w więzieniu, trzeba Stojanowskiego sprzątnąć... Pakosz tłumaczył, że gdyby go Stojanowski nie znał osobiście, sam by to zrobił. A potem, kiedy pan był u nas w spółdzielni, także Pakosz posłał mnie na Wilczą. To jego żona telefonowała do pana i umawiała się w kawiarni podając się za Stojanowską. Z tą bombą to też jego pomysł. Wiedział, że poluję i mam proch. Przygotował mi rysunek, żebym wiedział jak zrobić. Od początku miał mnie w rękę i musiałem go słuchać. - Wiśniewski zupełnie wyczerpany zamilkł.

Na tym na dzisiaj skończymy - zdecydował porucznik. - Jutro znowu będę pana przesłuchiwał. Opowie pan szczegółowo, jak doszło do zawiązania przestępczej grupy i w jaki sposób przeprowadzaliście zamach na Stojanowskiego.

To on, ten łotr, namówił mnie do wszystkiego.

Sprawę będzie rozpatrywał sąd, on też oceni postępowanie każdego z was.

Po wyprowadzeniu aresztowanego Antoni Szymanek roześmiał się wesoło: - Nareszcie koniec!

Nie ciesz się - sprowadził go na ziemię porucznik. - Czekają nas jeszcze wielodniowe rozmowy z poszczególnymi członkami gangu. Prokurator musi dostać sprawę zapiętą na ostatni guzik. Przyznanie się głównego sprawcy to niepełne zwycięstwo. Należy zbadać kto był inicjatorem zbrodni, a kto tylko ślepym wykonawcą.

Wiem o tym. Ale najgorsze mamy poza sobą.

Tego dnia wieczorem Andrzej Ciesielski nakręcił znany sobie numer. Kiedy po drugiej stronie drutu odezwał się niski, melodyjny głos, porucznik powiedział: - Mówi Andrzej.

Z drugiej strony przez chwilę panowało milczenie.

Halo, słyszysz mnie?

Myślałam, że już nigdy nie zadzwonisz.

Dzisiaj nareszcie wyświetliliśmy całą sprawę. Zabójca Stojanowskiego jest aresztowany. Przyznał się do winy.

Tak...

Chciałem zapytać, czy mogę przyjść?-

Przyjdź jak najprędzej. - Piękna pani położyła słuchawkę.

„KB”